

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

8 OPOWIADAŃ
7 WIERSZY

POWIEŚCI FRAGMENTARYCZNIE:

KIESZEŃ W PRZESTRZENI, MARTA PAWLIK

PIEKŁO JEST PUSTE, ZUZANNA KŁOSEK

ARTYKUŁY:

SŁOWNICZEK REDAKCYJNO-KOREKTORSKI – CZĘŚĆ 3 ● MIĘDZY NORMĄ A DECYZJĄ. O TYM, SKĄD NAPRAWDĘ BIORĄ SIĘ ZASADY SKŁADU W POLSKIEJ TYPOGRAFII ● DETEKTORY AI VS. CZŁOWIEK ● ZAMEK NA SKALE. MIEJSCE SPOTKAŃ AUTORSKICH NA DOLNYM ŚLĄSKU ● USZLACHTNIENIA OKŁADEK KSIĄŻKOWYCH ● OD OBELOSA DO ZNACZNIKÓW W PDF-ACH, CZYLI HISTORIA ZNAKÓW KOREKTORSKICH ● FELIETON: TANIA KSIĄŻKA DROGO KOSZTUJE. KTO NAPRAWDĘ ZA TO PŁACI

FELIETON:

TANIA KSIĄŻKA DROGO KOSZTUJE. KTO NAPRAWDĘ ZA TO PŁACI

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

MAJ 2026

- 04 STANDARDOWE PRZYWITANIE OD
NACZELNEJ

OPOWIADANIA

- 06 PAMIĘTNIK POŻERACZA WSZECHŚWIATÓW
MAGDALENA HRABAK
- 18 GUMY DO ŻUCIA
MICHAŁ P. LIPKA
- 40 RĘKA TENEROSA
JÓZEF ŚWISTAK
- 59 DAR AVALEI
ANNA M. MOREN
- 81 WYPRAWA NA KSIĘŻYC
MICHAŁ P. LIPKA
- 90 POLITYK MUSI UMIEĆ
MICHAŁ P. LIPKA
- 104 TRAWIENIE
MICHAŁ P. LIPKA
- 114 OGIEŃ I BŁYSK
PAWEŁ JAKUB DOMOWNIK

POWIEŚCI

- 25 KIESZEŃ W PRZESTRZENI, ROZDZIAŁ 6 I 7
MARTA PAWLIK
- 67 PIEKŁO JEST PUSTE, ROZDZIAŁ 6 I 7
ZUZANNA KŁOSEK

ARTYKUŁY

- 13 SŁOWNICZEK REDAKCYJNO-KOREKTORSKI –
CZĘŚĆ 3
- 49 MIĘDZY NORMĄ A DECYZJĄ. O TYM, SKĄD
NAPRAWDĘ BIORĄ SIĘ ZASADY SKŁADU
W POLSKIEJ TYPOGRAFII
- 54 DETEKTORY AI VS. CZŁOWIEK
- 88 ZAMEK NA SKALE. MIEJSCE SPOTKAŃ
AUTORSKICH NA DOLNYM ŚLĄSKU
- 95 USZLACHETNIENIA OKŁADEK
KSIĄŻKOWYCH

- 111 OD OBELOSA DO ZNACZNIKÓW W PDF-ACH,
CZYLI HISTORIA ZNAKÓW KOREKTORSKICH
- 123 FELIETON: TANIA KSIĄŻKA DROGO
KOSZTUJE. KTO NAPRAWDĘ ZA TO PŁACI

POEZJA

- 5 SZEPTY ILUZJI
PIOTR ZEMSTA
- 12 PIERŚCIEN JEDNEGO KAMIENIA
KLAUDIA KAROLINA
- 17 DZIERLATKA
PIOTR ZEMSTA
- 53 KARTY LOSU
PIOTR ZEMSTA
- 58 ZERO GRAWITACJI. OGIEŃ
KLAUDIA KAROLINA
- 80 PRAWA ZAGUBIONE
PIOTR ZEMSTA
- 87 GWIAZDY WIEDZĄ
PIOTR ZEMSTA

MAPA CZYTELNIKA, CZYLI GDZIE WYBRAĆ SIĘ W NAJBLIŻSZYM CZASIE

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

MAJ 2026

COPYRIGHTS©2026 BY MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

REDAKTOR NACZELNA

Magdalena S. Matusiewicz (craft.swan.creations@gmail.com)

SKŁAD DPT

Magdalena S. Matusiewicz

Studio Literackie Swan Craft Creations (www.nocnaredaktorka.com)

ILUSTRACJE DO OPOWIADAŃ I POWIEŚCI

Kinga Witczak ([WITCH.ak Art](#))

Patryk Jakubiak

REDAKTORZY I KOREKTORZY

Magdalena S. Matusiewicz

Magdalena Dziekan (studiokreacji.magdadziekan@gmail.com)

Weronika Belowska ([Korekta.WB](#))

[Paulina Mika](#)

Magdalena Tomczak

Ewelina Bełz

Katarzyna Pyka

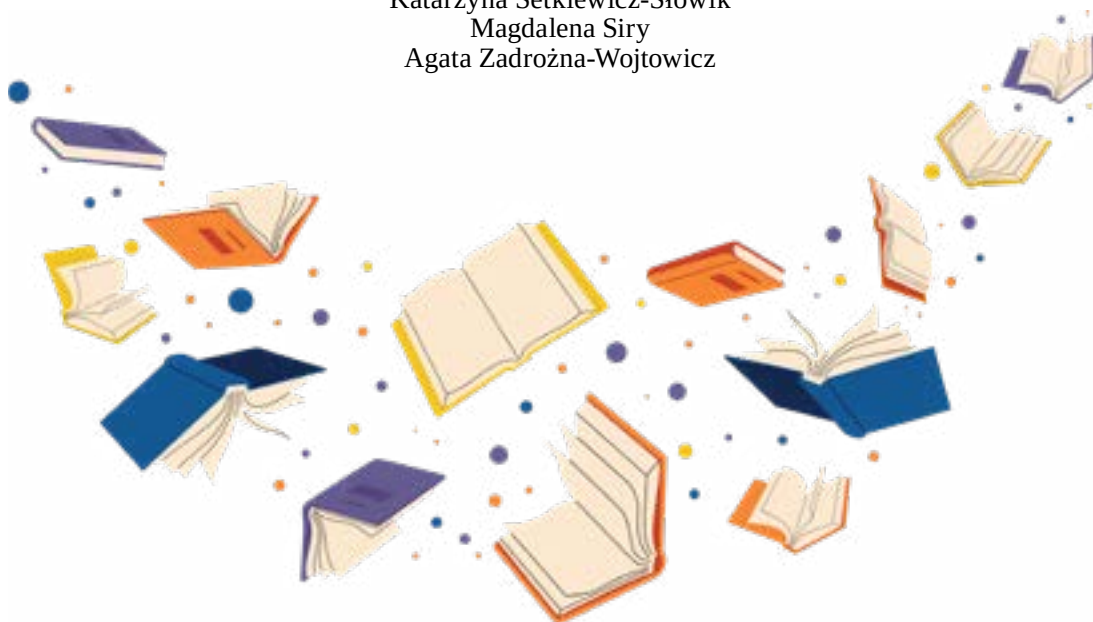
Natalia Rewers-Kasprowicz

Jolanta Sydor Rodrigues

Katarzyna Setkiewicz-Słowik

Magdalena Siry

Agata Zadrożna-Wojtowicz



FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

Drodzy Czytelnicy...

Kosmos i wiara mają ze sobą więcej wspólnego, niż mogłoby się wydawać. Całe życie ryzykowałam. Najróżniejsze sporty, szybka jazda motocyklem po wąskich drogach Norwegii i wiele innych (dziś jakże głupich) akcji. Młodość ma swoje prawa, prawda? I choć wciąż uwielbiam adrenalinę (szczególnie tą motocyklową), to zaczęłam patrzeć na to wszystko z tym procentem ryzyka, niczym Lauda siadający do swojego bolidu. A po ostatnim wypadku samochodowym, doszłam do wniosku, że to naprawdę cud wielkiego wszechświata sprawił, że wciąż tu jestem. I ta wiara, że nie zrobiłam jeszcze wszystkiego. Zarówno kosmos jak i wiara pozostają ogromne, niepoznane, pełne pytań, na które od wieków próbujemy znaleźć odpowiedzi. Dla jednych wiara będzie spokojem. Dla innych siłą, nadzieją, tradycją albo buntem. Tak samo kosmos – dla jednych jest nauką, dla innych tajemnicą, przestrzenią nieskończonych możliwości, miejscem narodzin wyobraźni.

Właśnie dlatego majowy numer „Fragmentarium” poświęcamy bogom, wierzeniom i kosmosowi. Tematom pozornie odległym, a jednak spletającym się ze sobą niemal naturalnie. Dawne bóstwa, zapomniane rytuały, nowe światy, gwiazdy, obce cywilizacje, pytania o sens istnienia – wszystko to wyrasta z tej samej potrzeby: pragnienia zrozumienia czegoś większego od nas.

Bo przecież sama wiara jest trochę jak kosmos. Nie da się jej zamknąć w jednej definicji ani ocenić jednakową miarą. Dla każdego oznacza coś innego. Bywa bliska i oswojona, ale potrafi też przypominać nieznaną galaktykę, szczególnie gdy patrzymy na dawne wierzenia czy religie innych kultur. I właśnie to jest fascynujące – ta różnorodność, tajemnica, ogrom.

Nie ma znaczenia, w co wierzymy ani jakie bóstwo – lub bóstwa – darzymy szacunkiem. Spotykamy się tutaj z innego powodu. Łączy nas miłość do słowa. Do pisania, czytania i tworzenia fantazji na własnych zasadach. Fantazji szerokiej, nieokiełznanej, czasem nieznannej – jak sam kosmos.

Dawniej kosmos wydawał się odległą przyszłością. Miejscem pełnym nieznanych gatunków, technologii i rzeczy niemożliwych do osiągnięcia. Kiedy dziś oglądam filmy z lat 80. i 90., w których rok 2030 jawił się jako niewyobrażalnie daleka era, łapię się na myśli, jak szybko pędzi świat. Technologia rozwija się nieustannie. Mamy sztuczną inteligencję, smartfony, samochody elektryczne, energię solarną. To, co kiedyś było fantastyką, powoli staje się codziennością.

A wiara? Ona wciąż istnieje. Nadal jest nasza, osobista, dla każdego trochę inna. I choć zmieniają się czasy, jedno pozostaje niezmiennie – wiara w słowo. W historię, która potrafi poruszyć drugiego człowieka. W zdania, które trafiają prosto do czyjegoś serca. W wyobraźnię, która daje wolność. Bo właśnie z wolnością najbardziej kojarzy mi się kosmos. Z zamiarem, którego nie sposób zamknąć w granicach.



Z literackim pozdrowieniem,
Magdalena S. Matusiewicz
Redaktor naczelna

PS Tak, to zdjęcie jest w pełni prawdziwe. Dawno, dawno temu jeździłam motocyklem i strzelałam do...
ludzi. Ale to w następnym numerze :)

SZEPTY ILUZJI

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

Jak wierzyć mam
słowom
tym
co przez konstelacje
wspomnień
niosą nas
czasu drogą
w iluzji barwy
przyodziane one
strojnie
Na zgubę
szepczą
czule słówka
nastrojone
Dusze ludzkie ranią
boleśnie
gdy prawdy
widmo
przez nie
przeięknie
Słowami zatrutymi
co przez
szczelinę
niczym gąbka
co
wodą nasięknie

PAMIĘTNIK POŻERACZA WSZECHŚWIATÓW

REDAKCJA: MAGDALENA SIRY

KOREKTA: KATARZYNA SETKIEWICZ-SŁOWIK

ROZDZIAŁ 1

KLINIKA UZDROWICIELA

WSZECHŚWIATÓW

Po raz kolejny zanurzam pędzel w gwiazdnym pyłe, aby wyleczyć tę wyjątkowo niezdarną – albo raczej przewrażliwioną – gwiazdę, która w ostatnim czasie odwiedza mnie zdecydowanie zbyt często. Jak zwykle nie widzę na jej powierzchni żadnego urazu, wręcz przeciwnie: dawno taka ilość mocy nie emanowała z niczego, co stworzyłem. Wiem jednak, że dopóki czegoś nie zrobię, nie pozbędę się tej pacjentki.

Jej życie jest pełne przygód. Zawsze raczy mnie nową historią: „Nie zauważyłam, że w moją stronę zmiierzają meteoroidy”, „Tańczyłam do kosmicznej ciszy, wypadłam z orbity i... BUM!”, „Zaczęłam gubić różne rzeczy. Gdzie nie pójdę, tam coś zostawiam”, „Czemu nagle tak urosłam?”, „Nie mogę pozbyć się tych rumieńców”, a niedawno nawet: „Ostatnio czuję się, jakbym miała wybuchnąć. Chyba nie powinno tak być. Przynajmniej nie tak szybko. Żyję dopiero od kilku miliardów lat”.

Większość tych wydarzeń nie jest dla niej niebezpieczna. Wręcz przeciwnie: pomimo swojego niewielkiego rozmiaru zazwyczaj to właśnie ona bywa zagrożeniem dla innych ciał niebieskich. Zawsze jednak, kiedy coś się dzieje, przylatuje do mnie, żeby zasięgnąć porady medycznej.

– Opowiesz, co tym razem ci się przydarzyło? – pytam w oczekiwaniu na kolejną nieprawdopodobną historyjkę.

Maluję pędzlem miejsce, które gwiazda uznaje za bolesne. Staram się użyć jak najmniejszą

ilość pyłu, ponieważ ta uparta gazowa kula wykorzystywała już znaczącą część moich mocy na przestrzeni tych wszystkich lat.

– Zamyśliłam się, powędrowałam za daleko, zboczyłam z drogi i nagle znalazłam się na Uranie! Nie zdążyłam uciec przed diamentowym deszczem. Te ostre kamienne krawędzie podrapały moją powierzchnię!

– Ile razy mam ci powtarzać, że niektóre miejsca nie są dla ciebie? Zdecydowanie powinnaś przestać się włóczyć. Nikt inny nie ma tylu problemów co ty! Poza tym diamentowy deszcz nie może zadrapać twojej powierzchni. Nie jesteś asteroidą. Węglowe kryształy wyparowałyby, zanim zdołałyby cię dotknąć.

Co za nieznośna mała gwiazda... Ale to przecież tylko moja wina. W końcu kto jest jej twórcą?

– A te siniaki?! – Pokazuje mi ciemne obszary na swoim ciełe.

– To plamy gwiazdne, są tam już od dawna. Tak za mną tęsknisz, że zaczynasz udawać kontuzję, byle tylko się ze mną zobaczyć?

– Niby dlaczego miałabym chcieć z tobą przebywać, skoro nic tylko się mnie czepiasz?! I jeszcze sugerujesz, że jestem nieszczerą!

Otocza mnie gęsty tuman iskrzącego pyłu, kiedy gwiazda gwałtownie odpycha mój pędzel. Wzdycha obruszona. Nie dość, że kłamie, to jeszcze jest niewdzięczna!

– Ej, ten pył ratuje cię za każdym razem. Przynajmniej taka jest jego funkcja. Ale co ty możesz o tym wiedzieć, skoro zawsze tylko udajesz, że masz kontuzję? Nie marnuj go! – upominam ją.

– Przepraszam. Masz rację – odpowiada. – Ale jestem twoim dziełem, więc wszystkie skargi i zażalenia składaj do samego siebie. W końcu to



ty decydujesz o wszystkim, co robię. Już więcej do ciebie nie przyjdę, chyba że ty sam będziesz miał inne plany.

No i odleciała...

Gwiazdny pył nie zdążył jeszcze wchłonąć się w jej ciało, jego resztki opadają powoli dookoła mnie. Prawdopodobnie nigdy więcej się już nie zobaczymy, a raczej to ona nigdy więcej nie zobaczy mnie. Ja pożegnam ją z oddali, kiedy rozświetli przestrzeń świecącą mgławicą. Jej czas w tym wszechświecie się kończy. Przy najmniej w obecnej postaci. Nie ukrywam, że jest to dla mnie ulga, ponieważ ilość gwiazdowego pyłu przeznaczonego na tę jedną gwiazdę kosztowała mnie wiele mocy.

Pył to w końcu esencja mojego istnienia. Esencja, z której powstaje życie. Muszę dzielić go między wszystko, co tworzę. Kreuję kosmos. W pewnym sensie to cudowny sposób na spędzanie wieczności, bowiem wszystko odbywa się według moich zachcianek, ale... Oczywiście, że w tej historii musi być jakieś „ale”.

Dotychczas wydawało mi się, że nie mam wyboru – w końcu tylko ja potrafię tworzyć różne wymiary i ciała niebieskie. Maluję kształty, z których powstają wszechświaty. Jednak ostatnio moje projekty stają się coraz mniej ambitne, chęci coraz słabsze, a sympatia do otoczenia coraz bardziej udawana. Przydarzają mi się też wadliwe dzieła, takie jak ta nieznośna gwiazda, co jeszcze bardziej pogłębia moje niezadowolenie. Wszystko wydaje się zmierzać w złym kierunku. Jakim cudem nie satysfakcjonuje mnie życie, skoro tworzę je bez żadnych ograniczeń?! Czuję się, jakby jakaś inna magiczna siła chciała pozbawić mnie radości i... dobra.

A w tym stworzonym przeze mnie wszechświecie nie powinno być zła. Ani jeden potwór nie został bowiem ożywiony przez mój pędzel. Nie mógłbym jednak przysiąc, że żaden nigdy nie pojawił się w mojej głowie. A tam przecież zaczyna się cały proces tworzenia.

Nawet teraz myślę o demonach.

ROZDZIAŁ 2

ROZKŁAD CIAŁ NIEBIESKICH

Ostatnie dni okazały się wyjątkowo nieproduktywne. Nigdy wcześniej nie przyszło mi walczyć z brakiem kreatywności. Najwyraźniej nawet ja mam ograniczoną ilość pomysłów. Od początku mojego istnienia nie zdarzyło mi się jeszcze nawet zaważyć. Wszystko zawsze miało sens.

Moje projekty nie były, nie są i nigdy nie będą perfekcyjne. Kiedyś próbowałem je takimi uczynić, jednak dotarło do mnie, że perfekcja nie istnieje, nawet dla kogoś, kto nie ma żadnych ograniczeń. Mimo wszystko zawsze udało mi się stworzyć harmonijny układ. Według własnego widzimisię. Jaki więc cel przyświecał mi w stworzeniu pojęcia ideału, skoro nigdy nie zależało mi na tym, by do niego dążyć? To była z mojej strony naiwność. I zapewne głupota. A teraz, kiedy widzę, jak bardzo oddalam się nie tyle od doskonałości, co od swojej dawnej normy, tym bardziej się wściekam.

Ten problem najprawdopodobniej pojawił się, gdy moim głównym zajęciem stało się tworzenie jedynie pustych form. Coraz częściej nie umiałem nadać swoim dziełom znaczenia, więc inne istoty zaczęły to robić za mnie. Im zależało bardziej niż mnie, ponieważ walczyły o przetrwanie, o zrozumienie sensu swojej egzystencji, o życie w szczęściu. A ja obserwowałem je zaintrygowany tworzonymi przez nie rozwiązaniami. Dałem im wolną wolę, ponieważ rozumiałem, że potrzebują pośredników, innego spojrzenia, aby we wszechświatach panowała różnorodność.

Po pewnym czasie pojawiły się jednak komplikacje. Ustalony przeze mnie porządek i zasady zaczęły być zmieniane i naginane. Mój własny świat przestał mi się podobać, lecz ciekawość, do czego jeszcze zdolne są te wszystkie małe istotki, okazała się silniejsza niż chęć powrotu do przyjętej wcześniej rutyny.

Wtedy też po raz pierwszy ogarnął mnie strach. Strach wywołany niemożnością przelania swoich własnych uczuć w tworzone obiekty.

Żadne głębokie emocje na tamtym etapie już mi nie towarzyszyły. Pozostało mi więc budowanie kształtów: galaktyk, planet, gwiazd, księżyców. O resztę musiał zatroszczyć się ktoś inny – moi pośrednicy.

I tak oto istoty, które są moim dziełem, rozmnażają się i budują swoją rzeczywistość według przyjętych przez nie norm. Ja jedynie tworzę nowe miejsca, które w przyszłości ktoś być może nazwie swoim domem. Oczywiście dla równowagi kreuję również siły niszczące.

Wciąż jednak słyszę błagania różnych bytów o pomoc i wsparcie, jakby łącząca nas więź była dla nich ukojeniem. Może to ludzie modlący się do energii wszechświatów i kosmicznych sił o to, by mogli odnaleźć swoją drugą połówkę, są w dużej mierze odpowiedzialni za to, że moje uczucia się wyczerpały? Muszę kiedyś zobaczyć, jak się miewa Ziemia, bo dawno mnie tam nie było. Czy bez mojego zaangażowania istnieje tam jeszcze miłość? Ziemianie zawsze wymagają uwagi i troski. Nie żeby w innych miejscach było inaczej – nawet planety, asteroidy czy najmniejsze cząsteczki materii potrzebują opiekuna. Ale tutaj wystarcza gwiazdny pył. Nie trzeba całej gamy empatycznych odczuć, których nie mam już w swojej pałecce emocji.

Dziś jeszcze nikt mnie nie odwiedził. Moja klinika nie jest pomieszczeniem, to po prostu przestrzeń kosmiczna, w której aktualnie przebywam. Lekarstwem na problemy ciał niebieskich jestem ja. Zazwyczaj opatruję asteroidy albo meteoroidy, które często się zderzają z innymi ciałami niebieskimi, sklejam planetoidy w jedną całość, uspokajam drgania pulsarów, goję pęknięcia księżyców lodowych albo lecę skały z oparzeniami od wiatru słonecznego. Nie wspomnę o dławiących się czarnych dziurach. Minęło wiele dni, odkąd tamta problematyczna mała gwiazda zawitała w klinice. Jestem ciekawy, jak się czuje. To z pewnością jej ostatnie chwile. Mimo to coś mnie do niej przyciąga, a wszystkie moje myśli skupiają się wokół niej. Pewnie dlatego najnowsze projekty mnie nie

zadowolają – są równie uparte jak ona. Nie czuję jej jednak w pobliżu, co może oznaczać, że wybrała się na kolejną „ryzykowną” wyprawę.

Póki nikt nie zakłóca mi spokoju, próbuję stworzyć nowe asteroidy. To jedna z prostszych czynności, do których nie potrzeba zbyt wiele gwiazdowego pyłu. Wszystkie jednak ulegają rozpadowi, kiedy tylko je kończę. Coś jest zdecydowanie nie tak. Ogarnia mnie również nowe, nieznanne mi wcześniej uczucie. Moja długowieczna pustka domaga się wypełnienia. Spoglądam na drobinki błyszczącego pyłu, będące pozostałościami po nieudanych asteroidach, i wchłaniam je. Potrzebuję jednak więcej mocy. W moją stronę nadlatują meteoroidy, które wyglądają nad wyraz... smacznie? Wybiegam im naprzeciw. Pod wpływem uderzenia zmieniają się w gwiazdny pył. Łapczywie pochłaniam lśniące drobiny. Chcę poczuć dawną potęgę.

To pierwszy raz, kiedy niszcę swoje dzieło. Dziwne uczucie. Czy to już odpowiedni czas, aby zacząć się martwić? Stworzenie każdego otaczającego mnie elementu wymagało dużo pracy, czasu i poświęcenia, nie mogę teraz wszystkiego... zjeść. Te kosmiczne skały tylko chwilowo nasyciły mój nagły głód, który oznacza, że nie mam już mocy tworzenia nowego gwiazdowego pyłu. A to może prowadzić tylko do jednego: końca wszechświata.

Nagle nieopodal dostrzegam wyjątkowo intensywny rozbłysk światła. Powstała supernowa. Jednak w tej okolicy nie było żadnych gwiazd, które miały się rozpaść w najbliższym czasie. Czyżby kolejny problem na horyzoncie? Nie jestem w stanie opanować sytuacji, ponieważ nie widzę już niczego dookoła. Pierwszy raz nie wiem, co dzieje się we wszechświatach. W moim życiu.

Dopiero po kilku chwilach odzyskuję świadomość. Wraz z nią ponownie budzi się głód.

Pożeram wszystko dookoła, jednak nie czuję nasycenia. Jeśli się nie opanuję, to wchłonę jedną po drugiej wszystkie galaktyki. Może to natchnie mnie do wykreowania czegoś nowego,

lepszego? Oczywiście, jeśli kiedykolwiek znowu uda mi się tworzyć za pomocą kosmicznego pyłu. W tej chwili czuję, że jeśli nie dostanę go więcej, to rozpadnę się na kawałki. Bez tego „kleju” jestem niczym.

Beta reading od kuchni.



Autor: Magdalena S. Matusiewicz

Wydawnictwo: self-publishing

Oprawa: twarda

Formaty: druk, e-book

Gatunek: poradnik

Gdzie kupić? www.nocnaredaktorka.com

Pierwszy poradnik dla beta readerów. „Beta reading od kuchni” to efekt mojej kilkuletniej pracy z tekstem jako: beta reader, redaktor, korektor, składacz.

To także powrót do moich:

- notatek z pracy z autorami,
- materiałów z kursów i warsztatów pisarskich,
- rozmów ze spotkań autorskich,
- książek o pisaniu (polskich i zagranicznych),
- wykładów i analiz twórców, którzy mówią o pisaniu od środka.

To wiedza praktyczna, stale używana i sprawdzona. Zebrałam ją i uporządkowałam po raz pierwszy w tak szerokim zakresie.

Co znajdziesz w środku?

Pierwszy tom to fundament pracy beta readera. Omawiam m.in.:

- rolę beta readera w procesie wydawniczym,
- analizę narracji (POV, typy narracji, błędy),
- konstrukcję bohaterów (motywacje, wiarygodność, konflikty),
- psychologię pracy z autorem,
- komunikowanie feedbacku,
- granice empatii i odpowiedzialności.

To książka dla tych, którzy chcą rozumieć — nie tylko reagować.

ROZDZIAŁ 3

WISIENKA NA TORCIE I KOSMICZNE
CONFETTI

Staram się wymyślić jakieś rozwiązanie. Najbezpieczniej dla wszechświatów byłoby, gdyby istniał jakiś sposób, żeby mnie unicestwić. Wtedy wszystko pozostałoby we względnym kosmicznym porządku. Jednak – z tego co wiem – taka opcja nie wchodzi w rachubę. W końcu to ja jestem wszystkim, co od zawsze istniało, istnieje i będzie istnieć. Głód staje się zbyt silny. W końcu postanawiam wchłaniać obiekty w takiej kolejności, by w jak najmniejszym stopniu zakłócić równowagę i harmonię kosmosu. Podobno niektóre istoty na jednej z planet, najprawdopodobniej Ziemi, słowem *kosmos* określają ład i porządek. Niech więc zostanie tak jak najdłużej.

Ukrywam się w czarnej dziurze, aby przemyśleć dalsze kroki. Staję się jak ona – zasysam wszystko. Być może jeżeli pozostanę w otchłani, w której nie ma niczego do pożarcia, to nie będę zagrożeniem. Wiem jednak, że jeśli chcę nadal tworzyć nowe ciała niebieskie, to muszę opuścić próżnię, bo tutaj nie da się kreować. Nie mam jednak odwagi stawić czoła ruinom swojego własnego życia.

Doskwiera mi głód. Jest zbyt silny, bym mógł tutaj pozostać. Muszę też się dowiedzieć, co spowodowało ten rozbłysk światła.

Na powierzchni czeka na mnie coś. Lub ktoś. Magiczna istota, która atakuje mnie, zanim ja sam zdążę rozpocząć polowanie. Szara, tajemnicza maź, byt bez stałego ciała emanuje mocą, która nie pozwala mi się ruszyć. Jakby trzymała mnie w żelaznym uścisku. Wcześniej nikt nie ważył się do mnie zbliżyć, a teraz ta dziwna istota, która wydaje się równie potężna co ja, napiera na mnie, jakby chciała, żebym implodował.

– A więc jednak zaplanowałeś nasze spotkanie. I kto tu za kim tęskni? – kpi wyraźnie.

Czyżbyśmy się znali?

– Nie będę udawać, że wiem, o co chodzi – odpowiadam szczerze.

– Nawet mnie nie rozpoznajesz? No dobrze, niech ci będzie.

Przybliża się, a ja czuję, że jeszcze chwila i zostanie po mnie jedynie proch. Jej moc sprawia, że wszystko dookoła drży. A może to skutek mojego strachu?

– To ja byłem tym gwiazdowym wybuchem, ale, jak widzisz, nie zmieniłam się w supernową. Wszystko dzięki tobie. Uwierzysz, że mam w sobie teraz więcej gwiazdowego pyłu niż ty? Mam obecnie więcej mocy niż twórca wszechświatów. Niesamowite uczucie!

Kłamliwa gwiazda z kliniki?! Owszem, jej czas się kończył, ale nie jest możliwe, by wybuch tego małego ciała niebieskiego był aż tak potężny. I by przetransformowała się w tę nieodgadnioną istotę. Przypomina demona z mojej wyobraźni.

– I co teraz? Chcesz odebrać mi władzę?

– Chciałam po prostu poczuć twoją potęgę. A że twoja łatwowierność pozwoliła mi zabrać od ciebie pył, to już twoja wina. Daj mi się nacieszyć mocą. Chcę coś wykreować. Albo coś zniszczyć!

– Ale przecież mieliśmy się już nigdy więcej nie spotkać. Sama tak mówiłaś.

– Mówiłam też, że spotkamy się, jeśli ty będziesz tego chciał. Bo jestem twoim dziełem. A że twoje myśli cały czas krążyły wokół mnie... Cóż, przyszłam na twoje wezwanie.

Nie wiem, co mam z tym wszystkim zrobić. Czuję, że jestem w patowej sytuacji. Bez moich mocy i z szaleńczą chęcią odzyskania swojego pyłu, nie jestem w stanie wygrać.

– Widzę, że zaplanowana przeze mnie wojna nie będzie konieczna, bo pokonam cię i bez swojego wojska. Ale zobacz chociaż, jak ładnie je wytresowałam w tak krótkim czasie...

Dookoła zaczynają zlatywać się asteroidy. Wyglądają, jakby chciały mnie zaatakować. Ale to nic nie da, bo prędzej to ja je wchłonę. Czy ta gwiazda jest aż tak głupia?

– Nie mam siły ani chęci walczyć – odpowiadam. – Wolałbym się zaprzyjaźnić. Samotność zaczęła mi doskwierać już wiele lat temu. Nie wiem, jak mogę rzec się władzy, ale jeśli

chcesz rządzić wszechświatami, jeżeli masz na to sposób, to próbuj. A jeśli chcesz ich zniszczenia, to mogę być twoim narzędziem, bo czuję, że aby móc się nasycić, w kilka chwil wypełnię to zadanie. Po prostu powiedz, czego chcesz, albo mnie unicestwij. Nie będę protestować.

Gwiazda się zastanawia. Czy ona naprawdę działa bez planu? Moje własne dzieło mnie tak zawodzi... Ale ostatecznie udało jej się mnie przechytryć.

– Możemy się przyjaźnić. Zawsze mogłam na ciebie liczyć. Skoro teraz i mnie czeka nieśmiertelność, to chętnie spędzę ją z tobą. Razem możemy zbudować lepsze wszechświaty. Ty stworzysz kształty, a ja nadam im znaczenie. Ale najpierw zniszczmy to, co już jest, by zacząć od nowa.

– W porządku – odpowiadam, nie kryjąc zadowolenia. – W takim razie możemy się chyba objąć, przyjaciółko. Nikt wcześniej nie był w stanie mnie dotknąć, chcę zaznać ciepła.

– Oczywiście, przyjacielu.

Czuję, jak jej bliskość zdejmuję ze mnie ciężar, który noszę od początku swojego istnienia. Nie jestem już jedyną istotą, od której wszystko zależy. Ulga... To wspaniałe uczucie, ale wiem, że nie mogę się w nim zatracić. Nie mogę pozwolić mu trwać.

Gwiazda zapomniała, że mimo wszystko jest moim dziełem. To ja mam władzę. Trzymam ją przez chwilę w swoich wiecznych objęciach, a potem wchłaniam – pozwalam wrócić do źródła, z którego powstała. I w końcu czuję, że głód już mi tak nie doskwiera. Najlepiej jednak najeść się do syta. A moje menu obejmuje wszystkie przysmaki wszechświatów.

KONIEC

MAGDALENA HRABAK

Magdalena Hrabak jest absolwentką twórczego pisania i filologii romańskiej. Interesuje się literaturą fantasy, podróżami i nauką języków obcych. Jest nauczycielką języka hiszpańskiego. Najbardziej lubi spędzać czas ze swoim żółciem i świnkami morskimi.

Wiedźma z Podhala. T.4. Wszystkowiedźma



Autor: Luiza Dobrzyńska

Wydawnictwo: OdeSFa

Oprawa: miękka

Gatunek: fantastyka, young adult

Gdzie kupić? www.odesfa.pl

Edyta Gwerska jest już pełnoletnia, ale przez interwencję cudem odzyskanej matki nie może pójść na wymarzone studia. Początkowo jest wściekła, wkrótce jednak okazuje się, że nie ma tego złego...

Pojawienie się krewnej, o której nic dotąd nie wiedziała, daje jej szansę na kontynuowanie nauki i poznawanie nowych odcieni magii.

Sprawy się komplikują, gdy ktoś, kogo uważała za przyjaciela, niespodziewanie próbuje ją wciągnąć w śmiertelną pułapkę...

Długo oczekiwana kontynuacja znakomitego cyklu rodzimego odłamu fantasy, pisanego już od 2010 roku.

Tom IV - Wszystkowiedźma jest absolutną nowinką.

PIERŚCIEŃ JEDNEGO KAMIENIA

(EIN-STEINA)

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

Dostrzegł cię w liczbach – nie mógł się mylić,
choć wiek musiał minąć, a czas ugiąć kolana,
by ludzkie oko wreszcie sprostało wizji.

Jeden, by galaktyki spiąć – jak pierścień Saurona,
wykuty w grawitacji, na krawędzi próżni,
majestatyczny, namacalny i groźny.

To kosmiczne halo, wykwitłe z ciszy gromad,
zrodzone z oddechu masywnych światów,
które, trzymając wartę na pierwszym planie,
naginają bieg dalekich fotonów, łamiąc mrok
w świetlisty łuk. To, o czym nie śmieliśmy śnić,
zyskało lśniąca krawędź dowodu.

Płonąca obrączka na palcu nicości,
rozciągnięta jak myśl, jak horyzont poznania,
zakrzywia prawa, domyka Wszechświat.

Nie uciekniesz już do krainy domysłów.
Osaczony przez wzory, schwyty w źrenicę,
stałeś się trofeum naszej ciekawości.

SŁOWNICZEK REDAKCYJNO-KOREKTORSKI

CZEŚĆ 3

REDAKCJA: JOLANTA SYDOR RODRIGUES

KOREKTA: MAGDALENA SIRY

KOREKTA TECHNICZNA: AGATA ZADROŻNA-WOJTOWICZ

Pierwsza część naszego słowniczka pojawiła się w listopadowym numerze magazynu – jeśli chcesz do niej wrócić lub nadrobić wcześniejsze pojęcia, link do pobrania znajdziesz [TUTAJ](#).

Przed Tobą druga część słowniczka, stworzonego z myślą o osobach stawiających pierwsze kroki w świecie redakcji i korekty tekstów, a także tych, którzy dopiero rozważają rozwój w tej branży. To kontynuacja podstawowej wiedzy, która pomaga lepiej zrozumieć specyfikę pracy z tekstem, proces wydawniczy oraz język, którym posługują się redaktorzy, korektorzy i wydawnictwa.

Jeśli zastanawiasz się, czy redakcja lub korekta to ścieżka zawodowa dla Ciebie, znajomość kolejnych pojęć i narzędzi pozwoli Ci świadomiej spojrzeć na ten zawód oraz ocenić, czy odnajdziesz się w pracy związanej z opracowywaniem tekstów.

Słowniczek może być również pomocny dla pisarzy i autorów, którzy chcą sprawniej współpracować z redaktorami, korektorami czy wydawnictwami. Zrozumienie terminów branżowych ułatwia komunikację, pomaga aktywnie uczestniczyć w procesie powstawania książki i lepiej wykorzystywać uwagi specjalistów.

Niezależnie od tego, czy planujesz zawodowo związać się z redakcją i korektą, czy po prostu chcesz uporządkować swoją wiedzę, druga część słowniczka pomoże Ci pewniej poruszać się w świecie edycji tekstów i świadomiej pracować nad własnym warszatem.

Korekta językowa – proces sprawdzania i poprawiania tekstu pod kątem zgodności z normami językowymi. Obejmuje eliminację błędów ortograficznych, interpunkcyjnych, gramatycznych oraz uchybień stylistycznych i typograficznych.

(Te ostatnie sprawdzane są w sytuacji, kiedy dany plik tekstowy nie idzie do druku, a jest dokumentem dopuszczonym do obiegu np. w firmie lub w formie umowy biznesowej. W innym przypadku błędy typograficzne korygowane są w trakcie korekty poskładowej, zwanej też techniczną).

Celem korekty językowej jest zapewnienie poprawności, spójności i przejrzystości tekstu przy zachowaniu jego oryginalnego sensu i stylu autora.

Komentarze korektorskie – uwagi i adnotacje wprowadzane do tekstu przez korektora, redaktora lub innego specjalistę, mające na celu wskazanie problematycznych fragmentów, niejasności lub błędów wymagających decyzji autora.

Komentarze stanowią element komunikacji w procesie opracowania tekstu i mogą zawierać pytania, sugestie zmian, propozycje rozwiązań lub prośby o doprecyzowanie treści.

Korekta techniczna – etap opracowania publikacji polegający na sprawdzeniu poprawności elementów technicznych i graficznych tekstu, szczególnie po składzie. Obejmuje kontrolę zgodności z makietą, odpowiedniego rozmieszczenia ilustracji, tabel i podpisów, ciągłości numeracji, spójności stylów oraz poprawności łamań i odstępów.

Celem korekty technicznej jest zapewnienie zgodności publikacji z założeniami edytorskimi oraz jej poprawnego i estetycznego wyglądu.

Errata – wykaz błędów zauważonych po publikacji utworu wraz z ich poprawkami, udostępniany czytelnikom w formie osobnego dokumentu, wkładki do książki lub informacji na stronie wydawcy.

Errata obejmuje najczęściej błędy, które nie zostały wychwycone na etapie redakcji i korekty, takie jak literówki, błędy rzeczowe, pomyłki w numeracji czy podpisach. Jej celem jest skorygowanie treści bez konieczności wprowadzania zmian w już wydrukowanym nakładzie.

Znaki korektorskie – zestaw umownych symboli i oznaczeń stosowanych w procesie korekty tekstu do wskazywania rodzaju i miejsca poprawek. Używane zarówno w korekcie tradycyjnej (na wydruku), jak i w plikach PDF.

Znaki korektorskie umożliwiają jednoznaczne przekazanie informacji o zmianach, takich jak usunięcie, dodanie, zamiana, przesunięcie fragmentu tekstu czy poprawa formatowania, i stanowią standardowy język komunikacji między



korektorem, redaktorem a składaczem.

Dzielenie wyrazów (łamanie wyrazów) – zasady dzielenia wyrazów do kolejnego wiersza tekstu w celu zachowania estetycznego i równomiernego składu.

Dzielenie wyrazów opiera się na regułach językowych (np. podział na sylaby) oraz zasadach typograficznych, które zapobiegają powstawaniu nieczytelnych lub niepoprawnych podziałów.

Marginesy redakcyjne – przestrzeń znajdująca się poza głównym blokiem tekstu, przeznaczona na uwagi, poprawki i oznaczenia redaktora lub korektora.

Marginesy redakcyjne są charakterystyczne dla pracy na wydrukach i umożliwiają czytelne oddzielenie ingerencji od treści właściwej. W środowisku cyfrowym ich odpowiednikiem są komentarze i adnotacje w plikach tekstowych lub PDF.

Łamanie tekstu – proces składu publikacji polegający na rozmieszczeniu tekstu i elementów graficznych na stronie zgodnie z przyjętymi zasadami typograficznymi i projektem graficznym.

Łamanie tekstu obejmuje m.in. ustalanie podziału na akapity i kolumny, dobór interlinii i wyrównania, kontrolę dzielenia wyrazów oraz integrację ilustracji, tabel i innych elementów wizualnych, tak aby zapewnić czytelność i spójność publikacji.

Nota wydawnicza – to część książki zawierająca podstawowe informacje o prawach autorskich, wydaniu i publikacji. Zazwyczaj znajduje się na odwrocie strony tytułowej (tzw. verso) i pełni funkcję informacyjną oraz prawną.

W nocie wydawniczej umieszcza się m.in. dane autora, tytuł książki, nazwę wydawnictwa, rok wydania, numer ISBN, nazwiska osób zaangażowanych w powstanie publikacji (redaktora, korektora, grafika, składacza, ilustratora), a także informacje o prawach autorskich i zastrzeżeniu kopiowania.

Często pojawiają się tam również dane drukarni, numer wydania oraz oznaczenia serii wydawniczej. Nota wydawnicza stanowi więc nie tylko formalny element książki, ale też źródło wiedzy o osobach i instytucjach, które przyczyniły się do jej powstania.

Stopka redakcyjna – część publikacji (książki, czasopisma, magazynu lub portalu), w którym zamieszcza się informacje dotyczące zespołu redakcyjnego i procesu wydawniczego. Stanowi niejako wizytówkę osób odpowiedzialnych za przygotowanie materiału do druku lub publikacji cyfrowej oraz dane kontaktowe wydawcy.

W stopce redakcyjnej zwykle znajdują się:

- nazwa wydawnictwa lub redakcji,
- adres i dane kontaktowe (adres pocztowy, e-mail, numer telefonu, strona www),
- skład zespołu redakcyjnego: redaktor naczelny, redaktorzy prowadzący, redaktorzy merytoryczni i językowi, korektorzy, sekretarz redakcji, konsultanci, graficy /ilustratorzy, składacz DTP,
- wydawca, drukarnia, intrologatornia,
- numer wydania i data publikacji (w przypadku czasopism),
- informacje o prawach autorskich i licencjach (często skrótowo).

W książkach stopka redakcyjna często jest potocznie utożsamiana z notą wydawniczą, choć w terminologii wydawniczej najczęściej mówi się „nota wydawnicza” dla książek, a „stopka redakcyjna” dla czasopism, gazet i portali internetowych.

Stopka redakcyjna jest zatem elementem formalnym, ale też wizerunkowym – pokazuje, kto stoi za treścią publikacji i nadaje jej wiarygodność.

Kolofon – to część książki, w której zamieszcza się szczegółowe informacje techniczne dotyczące publikacji. Zwykle znajduje się na końcu książki i obejmuje m.in. dane wydawnictwa, miejsce i rok wydania, numer wydania, użyte czcionki, format książki, rodzaj papieru, informacje o druku i intrologatorni oraz osoby odpowiedzialne za skład i przygotowanie publikacji.

Kolofon pełni funkcję dokumentacyjną i historyczną – pozwala zachować informacje o procesie wydawniczym i technicznym wykonaniu książki. W niektórych wydaniach literackich kolofon może również zawierać krótki komentarz o zastosowanych ilustracjach lub projektowaniu graficznym publikacji.

Dzięki kolofonowi czytelnik, bibliotekarz czy badacz mogą łatwo pozyskać istotne dane dotyczące powstania książki, a wydawca zachowuje formalną dokumentację techniczną publikacji.

Copyright (prawa autorskie) – zespół praw przysługujących twórcy utworu (np. tekstu literackiego), powstających automatycznie w momencie



WITCH.AK
ART
Pracownia Artystyczna
Kinga Witczak

- DIGITAL ART
- GRAFIKA WEKTOROWA
- ILUSTRACJE
- RYSUNEK TRADYCYJNY
- MALARSTWO
- PORTRETY

☎ 661-791-619 ✉ kingawitczak91@gmail.com 🌐 @WITCH.ak Art

jego stworzenia. Obejmują one zarówno prawa osobiste (związane z autorstwem, nienaruszalne i niezbywalne), jak i prawa majątkowe (dotyczące korzystania z utworu i czerpania z niego korzyści finansowych).

Copyright zapewnia twórcy wyłączność na decydowanie o sposobie publikacji, rozpowszechniania, powielania oraz modyfikowania utworu.

Licencja – forma prawnego zezwolenia na korzystanie z utworu, na ściśle określonych warunkach, udzielana przez właściciela praw autorskich innym zainteresowanym podmiotom.

Licencja nie przenosi praw autorskich, lecz określa zakres dozwolonego użytkowania, w tym m.in. pola eksploatacji (np. publikacja w formie e-booka, druku, online), czas obowiązywania, terytorium oraz ewentualne wynagrodzenie.

Formatowanie e-booka – proces technicznego i wizualnego przygotowania treści cyfrowej publikacji do poprawnego wyświetlania na różnych urządzeniach (czytnikach e-booków, tabletach, smartfonach).

Obejmuje m.in. strukturyzację tekstu, stosowanie stylów, optymalizację układu, dostosowanie grafik oraz zgodność z wymaganiami formatów plików (np. EPUB, MOBI), tak aby zapewnić czytelność, responsywność i poprawne działanie publikacji.

Teraz, gdy w Twoich rekach pojawiły się kolejne redaktorskie terminy, łatwiej będzie Ci odnaleźć się w świecie branżowych pojęć, typograficznych niuansów i procesu pracy nad tekstem. Każde z tych haseł to kolejny krok w budowaniu świadomości językowej oraz edytorskiej precyzji – a także sposób, by redaktorski szyfr stawał się coraz bardziej zrozumiały i oswojony.

Mam nadzieję, że z czasem ten pozornie skomplikowany świat stanie się dla Ciebie przestrzenią pełną inspiracji, wiedzy i twórczych odkryć.

A po kolejne hasła, ciekawostki i redaktorskie smaczki zapraszamy już do lipcowego numeru naszego magazynu, który będzie poświęcony twórczości dziecięcej i młodzieżowej do 18. roku życia. Właśnie wtedy ukaże się również trzecia część naszego słowniczka.



Po drugiej stronie wdzięczności. Dziennik



Autor: Anna Korczyńska

Wydawnictwo: self-publishing

Oprawa: twarda

Gatunek: dziennik wdzięczności, rozwój osobisty

Data premiery: czerwiec 2026

Gdzie kupić? www.podrugiejstroniestrachu.pl

Był moment w moim życiu, kiedy wiedziałam wszystko o innych, a nie wiedziałam nic o sobie. Potrafiłam troszczyć się o bliskich, spełniać oczekiwania i pomagać każdemu wokół, ale zapomniałam, kim jestem ja. Właśnie wtedy odkryłam wdzięczność.

Kilka minut dziennie i kilka zapisanych słów pomogło mi zatrzymać się, lepiej zrozumieć siebie, odzyskać spokój i przypomnieć sobie własne marzenia. Zrozumiałam, że wdzięczność nie zmienia świata wokół nas – zmienia nas. A kiedy zmieniamy siebie, zmienia się wszystko.

Ten Dziennik Wdzięczności stworzyłam po to, aby dać Ci przestrzeń tylko dla siebie. Przestrzeń, w której na chwilę zwolnisz, usłyszysz własny głos i przypomnisz sobie, jak wyjątkową kobietą jesteś.

Bo czasem jeden zapisany powód do wdzięczności może stać się początkiem najpiękniejszej podróży.

DZIERLATKA ZAGUBIONA

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

Patrzę
w spojrzenie
rozkojarzone
dzierlatki
co jakoby w konstelacji
czasu
się zagubiła
Uśmiech
na twarzy jej
błyszczący
nieśmiało
jakoby
z czasów innych
jej się tu przyleciało
figlarnie płąsa
jakby
miejsce owo znała

GUMY DO ŻUCIA

REDAKCJA: EWELINA BELZ

KOREKTA: AGATA ZADROŻNA-WOJTOWICZ

KOREKTA TECHNICZNA: KATARZYNA SETKIEWICZ-SŁOWIK

Część I

Można coś mijać całe życie, wiedzieć doskonale, gdzie jest – i że w ogóle jest – ale nawet tego nie zauważać, a już na pewno nie przykładać do tego faktu żadnej wagi. Ludzie robią tak cały czas. Przechodzą dzień w dzień obok jakiegoś sklepu czy osoby, by dopiero w pewnym momencie zdać sobie sprawę, że to jednak fajne miejsce, fajny człowiek, że warto zajrzeć, podejść, przekonać się.

On tak miał z gumami do żucia.

Była w jego mieście – niewielkiej mieścinie w zasadzie – taka uliczka, niedaleko miejskiego rynku, która zawsze zdawała się znajdować w cieniu górujących nad nią budynków. Parkowały tu taksówki, gołębie ozdabiały plac parkingowy białymi kleksami, jakby w genach zapisane miały wypróżnianie się tam, gdzie jest najwięcej samochodów, a nieliczne lokale gastronomiczne i sklepiki stanowiły istny wehikuł czasu – wystarczyło wejść i można było się przekonać, jak rzeczywistość wyglądała dwie, nawet trzy dekady temu.

I był też chodnik. Chodnik jak chodnik, można by rzec. Kawalek terenu pokryty betonowymi, kwadratowymi płytkami, na które nikt nie zwracał uwagi. Każdy chodził po nim niezliczoną ilość razy, ale nawet bez spoglądania w dół i tak wszyscy widzieli również niezliczone gumy do żucia wdeptane w nawierzchnię. Konstelacje białych plamek substancji, którą żuły kolejne usta przez kolejne lata, wypływanych, gdy tylko straciły smak, i zostawianych tu na pastwę losu.

Tu. W tym miejscu. Ale dlaczego?

Pamiętał, że gumy były tu od zawsze. Już w czasach szkolnych widział białe kropki pod

stopami, kiedy dreptał tą uliczką z plecakiem za dużym jak na takie dziecko. Wtedy wydawały się większe, ale poza tym nic przez te lata się nie zmieniły. Wciąż tu były, nikt ich nie zeskrobał, nie zdarły ich buty. Element lokalnego kolorytu, który nie mógł zniknąć.

Nie o to jednak chodziło.

Dotarło to do niego dopiero teraz, po tych wszystkich latach, które spędził na przemierzaniu miejskich alejek, ale kwestia wydawała się warta zastanowienia. Chodnik ciągnął się na długości dobrych stu metrów, po obu stronach ulicy. Potem zakręcał, obiegał kolejne budynki, łączył się z innymi chodnikami i przejściami, zbiegał, rozwidlał. A jednak to tylko tu, w tym jednym miejscu, były gumy. Niewielki obszar, może pięć metrów długości, od przecięcia się z uliczką prowadzącą w kierunku bazaru po wejście do sklepu z drobiazgami za grosze. Jakby tylko tu ludzie wypływali to, co żuły, chociaż mieli do wyboru całe mnóstwo innych powierzchni.

Dlaczego?

Nie powinno go to obchodzić, ale z jakiegoś powodu zaczęło. Zaciekało, zaintrygowało, aż przystał na moment rozejrzeć się, sprawdzić, czy podobnych miejsc jest więcej, ale nie było. Tylko ten chodnik.

Ruch był niewielki, ludzie w większości byli w pracy, niewielu miało tu czego szukać. Pchnięty impulsem wyjął telefon, zrobił kilka zdjęć wypłutych gum i poszedł dalej.

Zdjęciami nie miał jednak czasu się zająć. A przynajmniej nie tak szybko, jakby tego chciał. Planował je przejrzeć, skupić się na nich, tak po prostu, z czystej ciekowości. Ale okres, kiedy na

takie drobiazgi miał w życiu czas, skończył się wraz z nastoletnimi latami.

Praca. Zakupy. Dom. Sprząatanie. Wyjście z kimś odpadało, choć i tak nie miał nikogo – liczył, że na razie, ale to „na razie” przedłużało się od lat, od ostatniego związku, na który nie poświęcał dość czasu. Zanim ogarnął wszystkie sprawy, było już za późno, żeby nawet włączyć telewizor, a siedzieć do późna i wstać rano wypoczętym mózgiem, kiedy nie miał jeszcze trzydziestu lat.

Kolejny dzień spędził w pracy. Jeśli sięgał po telefon, to tylko po to, żeby spojrzeć na godzinę, odpisać na wiadomości od ludzi, których i tak miał gdzieś, z wzajemnością zresztą (pisali, bo tak wypadało, zwykle chcąc przede wszystkim

pochwalić się tym, co im wyszło). Miał trochę czasu rano, w drodze – tak samo jak miał chwilę tamtego dnia zrobić zdjęcia – ale wtedy nie miał do tego głowy.

„Cześć”. „Dzień dobry”. Skinienie głowy.

Witał się z ludźmi, pędzącymi przed siebie jak on. Znał te twarze, chociaż w większości nie pamiętał nawet skąd. Wymiana uprzejmości weszła w nawyk, jak poranne picie kawy i łykanie leków na zobojętnienie kwasów żołądkowych.

Potem czekał go jeszcze wyjazd, który przypomniał mu, że podróże atrakcyjne były tylko za dzieciaka, kiedy człowiek nie wyściubiwał nosa poza granice swojej miejscowości, a inne miasta jawiły mu się jako zupełnie nowy, bardziej cywilizowany świat. Teraz było to po



Przebudzeni LOG-1. Zresetowana



Autor: Klaudia Michnik

Wydawnictwo: KM Books, self-publishing

Oprawa: miękka

Formaty: druk, e-book

Gatunek: fantasy, science fiction

Gdzie kupić? www.klaudiamichnik.pl

„ZRESETOWANA” to początek serii „Przebudzeni” – mrocznej, emocjonalnej space opery o wolnej woli, buncie i niebezpiecznych pragnieniach w świecie, gdzie człowieczeństwo ma kod kreskowy.

Arienne Revan – dziewczyna bez przeszłości i bez prawa do przyszłości Jej życie to reset. Jej ciało – projekt. Jej przeznaczenie? Zaprojektowane przez mężczyznę, który chce odebrać całej galaktyce wolną wolę.

Z pomocą jednostki rebelianckiej Nocturnis Vult i dowódcy, który jej nienawidzi, Arienne musi złożyć swoją przeszłość z urywków krwi, kodu i cieni.

A kiedy jej własna druga jaźń zaczyna się budzić... Wszystko, co zna, stanie w płomieniach.

Bo zanim wybierzesz, kim chcesz być – musisz pokonać to, kim cię stworzono.

prostu opuszczenie szarego, betonowego punktu A, przejechanie równie burą mimo otaczającej ją zieleni drogą i zatrzymanie się na krótko w punkcie B, który też miał barwę popiołu.

Dopiero w weekend mógł zajrzeć do galerii zdjęć w telefonie. To, że w tygodniu cyknął fotkę gum do żucia wdeptanych w chodnik, niemal zupełnie wypadło mu z głowy. Miał jednak w pamięci smartfonu kilka rzeczy, które chciał wyczyścić – rzuty ekranu gazetek promocyjnych chociażby – i wtedy zauważył też pozostałe.

Po co je właściwie zrobił?

Czy odpowiedź miała jakiegokolwiek znaczenie?

Pracował jako grafik. Obrabiał obrazy, podkreślał rozdzielczość, wyostrzał, przerabiał, tworzył banery reklamowe, klimatyczne plakaty promocyjne i ładnie wyglądające wzory. Z fotki otoczonego krzewami chodnika zrobionej w słoneczny letni dzień, w kilka minut uzyskiwał nastrojowy, mroczny nocny plener, który skrywał coś niepokojącego, a z krzywych literek i fotografii rodzin na plaży – przyciągające uwagę logo. Nie wiedział, skąd brały się pomysły albo dlaczego coś czasem wpadło mu w oko. Nauczył się jednak działać pod wpływem impulsu.

Spojrzał na zdjęcia gum.

W dwie minuty można było zrobić z tego mapę nocnego nieba, pełnego gwiazd eksplodujących niczym na obrazach van Gogha, ale to byłby banał. Połączyć punkty? Odzwierciedlić ciekawy wzór, jaki tworzyć mógł jedynie chaos natury i przypadkowości? To już lepiej. Napis, który ukazywałby się w ścieżkach rytych świetlistymi kreskami w chodniku pomiędzy przeżutą masą też brzmiał nienajgorzej.

Mógłby zrobić to ręcznie, ale lata praktyki nauczyły go cenić czas. Wrzucił fotkę w program do liczenia i szukania połączeń między punktami, sprawdził, czy poprawnie oznaczył gumy (oznaczył), poprawił kilka drobiazgów i kliknął *run*. Wystarczyło poczekać. Wyniki przelatywały przed jego oczami szybciej, niż był w stanie rejestrować je wzorkiem.

To, co ostatecznie pojawiło się na ekranie, przypominało w dużej mierze mapy dróg wiążących się po bardzo nierównym terenie. Większość pozostałych wyników kojarzyła się z krzaczastymi, nieczytelnymi nazwami zespołów metalowych, jakie widniały na kiczowatych okładkach płyt i kiepskich jakościowo, ale za to drogich koszulkach.

Kilka ostatnich było zadziwiająco udanymi, symetrycznymi wariacjami na temat pentagramów.

To było... dziwne. Osobliwie wyglądało. Napisy jak ryte patykiem w ziemi podczas rytuału albo wycinane w żywym ludzkim ciele leżącym na czarnym ołtarzu. I pięcioramienne gwiazdy.

Ale dziwne było jedynie przez chwilę, dopóki nie pojawiła się logiczna konkluzja. Ktoś musiał zrobić to celowo. Żart dzieciaków, trwający od dawna projekt fanów metalu. Nikt tam nie wypluwał gum przypadkiem, po prostu jakieś małolaty – czy pod względem wieku, czy mentalności – od lat przyklejały przeżutą papkę do chodnika, tworząc wzór, o istnieniu którego wiedzieli tylko oni. Ich mały wielki sekret. Innego wytłumaczenia być nie mogło, bo nie tak działał ten świat.

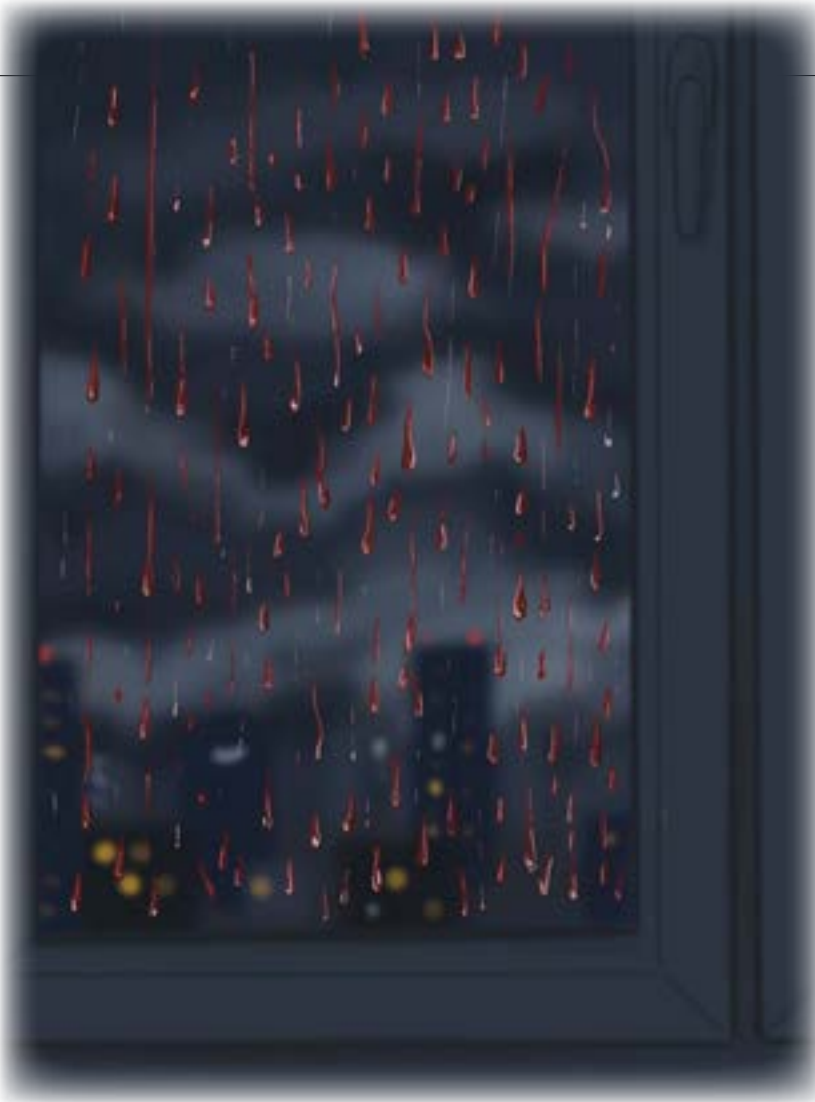
Zagrzmiało. Wyłączył więc komputer i poszedł zrobić sobie coś do jedzenia.

Nie zauważył, że kiedy siedział nad zdjęciami, zaczął padać deszcz. Tym bardziej nie zauważył, że krople miały krwiście czerwoną barwę. Ciężkie, gęste krople padające z nieba spływały po szybie powoli, leniwie niemalże, pokrywając ją rdzawymi zaciekami. Kiedy jednak w środku dnia zrobiło się ciemno jak w nocy, zauważył to i pomyślał, że oto po prostu burzowe chmury napłynęły nad miasto i wystarczy przeczekać.

Mylił się.

Część II

Wyszedł do pracy i brnąc przez wilgotne, lepkie uliczki, lawirował między przechodniami. Wydawało się, że samochodów przybyło, ale



spłynęły też strugi, rzeczki i strumyki i to ona zamiast deszczu lała się od ponad miesiąca z nieba koloru węgla. Szybko jednak gęstniała, tworzyły się skrzepy i zatory. Studzienki się zatykały, na rzekach zacinęły się mechanizmy jazów, a kanały przepustów zaczynały przypominać zwężone cholesterolowymi złożami żyły i trzeba było je przetykać.

W zakładach pracy, sklepach i dostępnych dla wszystkich budynkach zamontowano prowizoryczne ociekacze, dzięki którym można się było pozbyć z butów i parasoli czerwonej cieczy.

Z zagładą było jak z epidemiami. Chwilowy szok, przerażenie, próba zrozumienia, znalezienia metody, a potem wszystko wracało na swoje tory. Nie miało znaczenia, że apokalipsa została ogłoszona w towarzystwie ryku trąb, zgaśnięcia słońca i wody zamienionej w krew. Kto wierzył, że oto nadciąga koniec, albo się

prawda była taka, że po prostu każdy jeździł teraz wolniej, dzięki czemu było więcej czasu, żeby zauważyć pojazdy, tym wyrazistsze, że teraz, kiedy całą dobę panowała noc, stanowiły jedno z podstawowych źródeł światła.

Ludzie nie tkwili w domach. Jak zawsze wychodzili do pracy i na zakupy. Dzieci wróciły do szkół i normalnie się uczyły. W ostatnich dniach istnienia świata poprzedzających sądny dzień wielkiej apokalipsy i równie wielkiej zagłady, która powoli nadciągała od długiego już czasu, najwięcej problemów mieli pracownicy służb oczyszczania miasta, bo to oni musieli zajmować się posoką zalegającą na ulicach.

Przepowiadano, że słońce stanie się czarne, a księżyc czerwony, rzeki, morza i oceany zaś spłyną krwią. Problem był jednak taki, że krwią

modlił, albo szukał metody ratunku, bo jakiś sposób znaleźć się musiał. Kto nie wierzył – a ci stanowili większość – szybko dostosowywał się do nowych warunków i dalej ciągnął swój codzienny kram.

I tylko trąby wyły czasem, rozdzierając powietrze, jak dźwięk syreny alarmowej, przypominając, że odliczanie trwa, ale i na nie zwracano coraz mniejszą uwagę.

Zapotrzebowanie na materiały graficzne nie malało. Część klientów chciała jeszcze bardziej widowiskowych scen armagedonu, bo ich zdaniem ten prawdziwy nie wyglądał należycie epicko.

– Jest tak ciemno, że z nieba równie dobrze mogłaby padać woda – powiedział jeden z klientów. – Na filmach krwawy deszcz może

i fajnie wygląda, ale w rzeczywistości...? gdy cały czas panuje noc...?

Z końcem świata było jak z trupami i krwią – ludzie tak bardzo przywykli do ich popkulturowego wyobrażenia, że prawdziwy widok nie wywoływał w nich większych emocji.

Część klientów szukała jednak czegoś odmiennego: albo grafik przedstawiających sielskie obrazki, ku pokrzepieniu i uspokojeniu serc, albo projektów, które zapowiadaną zagładę miały przedstawić jako coś potencjalnie dobrego, z czego można było odnieść korzyści.

Obrazowało to sytuację w kraju i na świecie. Media katolickie i prawicowe grzmiały o spełnieniu się biblijnych prorocत्व, nadchodzącym dniu sądu ostatecznego i pokaraniu ludzi za ich grzeszne żywota, nawołując jednocześnie do nawrócenia i pokuty. Politycy z prawej strony sceny krzyczeli z mównic, zapewniając, że są jedyną opcją pozwalającą na przetrwanie kryzysu, bo jako jedyni zawsze głosili, że tak będzie. Ci z lewej odbijali piłeczkę, mówiąc, że oni na taki stan rzeczy nie dają zgody, ponieważ zawsze sprzeciwiali się bzdurnym wierzeniom i fanatyzmowi religijnemu, którego ucieleśnieniem był dzień sądu, i będąc w kontakcie ze swoimi partnerami z Unii Europejskiej, NATO i ONZ, bliscy są znalezienia rozwiązania, więc to do nich powinno płynąć wsparcie ludu. Zwłaszcza że nie można mieć pewności, iż to, co nadchodzi, faktycznie będzie złe. Na nowe i inne trzeba się otworzyć, przekonać, co ma do zaoferowania, i dokonać wymiany kulturowej, a nie od razu zakładać w swej nietolerancji to, co najgorsze.

A on po prostu pracował dalej, realizując zamówienia jednej i drugiej strony, wołając nikomu nie wspominając o gumach do żucia, satanistycznej symbolice, jaka się z nich wyłoniła, i o podejrzeniu, że jeśli dojdzie do końca świata, to właśnie on odpowiadać będzie za zagładę ludzkości. Zagłada co prawda go nie przerażała. I na tym polu sprawdzała się inna odwieczna filmowa prawda, że śmierć anonimowych milionów nie robi na nikim wrażenia, bardziej porusza

zgon jednej, ale bliskiej nam osoby – a on niktogo bliskiego nie miał. Przerażała go jednak perspektywa, że ktoś mógłby się dowiedzieć, bo to mogłoby oznaczać dla niego jakąś formę kary tu i teraz, tym gorszą, gdyby świat jednak się nie skończył. A nikt przecież nie chce być karany.

Koniec świata zapowiedziany był przez tych, którzy ogłaszali go wśród wycia trąb na godzinę czternastą czasu polskiego.

Nie miał pojęcia, czy godzina miała jakieś znaczenie symboliczne, czy nie, ale przekładało się to na wcześniejsze zamknięcie sklepów i miejsc pracy, więc z biura wyszedł w południe, które równie dobrze mogłoby być północą.

Ci, którzy ogłaszali, wspominali coś o rodzajach zagadek, tropów rozsianych po całym świecie, ale starał się nie słuchać za wiele. Mówili o muzyce ukrytej w supłach zrobionych na drucie kolczastym otaczającym jakąś posesję i o gumach wdeptanych w chodnik. O graffiti, w których krył się zawoalowany przekaz, i o układzie budynków tworzącym wzór widoczny jedynie z satelity. Ale on skupiał się wtedy na pracy i ignorował docierające do niego słowa i dźwięki. Dlatego kiedy ci, którzy ogłaszali, wspominali o tym, że wszystkie te elementy czekały na czasy, gdy ludzie będą na tyle rozwinięci i ciekawscy, by nie tylko je odszyfrować, ale i mieć najwięcej do stracenia w obliczu nadchodzącego końca (bo tylko wtedy odbieranie ma sens, gdy odbiera się to, co najcenniejsze) on koncentrował się na pracy. I dobrze mu to robiło.

Na godzinę przed porą wyznaczonego końca ludzie wyszli na ulicę. Naładowali do pełna telefony i tablety, żeby nie padły w trakcie filmowania. Niektórzy założyli odświętne ubrania, skropili się najlepszymi perfumami i zajmowali miejsca na dachach, a on po prostu spacerował, korzystając z wolnych godzin.

Był moment, kiedy czuł pewne podniecenie na myśl o tym, co nadciąga, ale ten czas już dawno minął. Teraz był tylko znużony tym wszystkim. Nie bał się umrzeć – odkąd stało się jasne, że po śmierci coś jednak na dusze czeka – ale nie miał

na to ochoty. Stanowiło to w końcu odpowiednik przewodniczki, na dodatek w miejsce, o którym za wiele się nie wie, a on przewodzący nie lubił. Gdyby było inaczej, czy nadal mieszkałby w tej miejscinie? Nie bał się jeszcze z innego powodu. Bo czy życie po życiu może być gorsze? Dobrzy trafiają do nieba i będzie im lepiej, źli pójdą do piekła, ale człowiek jest w stanie przyzwyczaić się do wszystkiego i wszędzie urządzić. Ból, cierpienie? Istota ludzka zniesie wszystko, wiedząc, że i tak nie może już umrzeć, więc i wypełniony ogniem oraz siarką wymiar nie będzie wiele gorszy od tego, co oferowała codzienność na Ziemi, a może nawet lepszy, bo tam nie będzie już chorób ani śmierci.

I tego się trzymał.

Zgodnie z zapowiedziami tych, którzy ogłaszali, koniec miał wyglądać epicko: czterech jeźdźców, siedmiogłowa bestia, nierządnicą babilońska i ogień lejący się z nieba w towarzystwie spadających gwiazd. I, jak wynikało z internetowego głosowania, największe zainteresowanie wzbudzała nierządnicą z Babilonu jako ucieleśnienie wszelkich rządów, wszelkiej seksualności, dziwactw, brudu i dewiacji. Mężczyźni oczekiwali wcielonego seksapilu, piękna i wulgarności sprowadzonych do n-tej potęgi, dlatego największe portale pornograficzne już od południa prowadziły relacje na żywo. Miały bez cenzury pokazać dosiadającą smoka kobietę ze wszystkimi pikantnymi detalami, na które każdy czekał.

Jak pokazywały liczby, pornografia – niczym nowa wiara – połączyła więcej ludzi we wspólnym oczekiwaniu niż przywódcy religijni, którzy kłócili się między sobą, czyje wierzenia są słuszne i mogą dać zbawienie.

Na kwadrans przed godziną czternastą napięcie czuło się już w powietrzu. Gęsta, ciężka atmosfera oblepiała ludzi niczym krwawy deszcz. Relacje z oczekiwania emitowały media na całym świecie, ukazując na ekranach, co się dzieje w różnych zakątkach globu, ale nikt nie zwracał na nie uwagi.

Na minutę przed godziną czternastą ludzkość jakby wstrzymała oddech. Deszcz się wzmógł, krew płynęła ulicami, czy to od nadmiaru opadów, czy może od wylanej rzeki. Robactwo, którego nie brakowało, odkąd zaczęło się całe to szaleństwo, jakby się rozmnożyło, brzęcząc wokoło. A potem huknęły trąby, niebiosy się rozstąpiły, padły liche, pojedyncze promienie słońca i trysnął ogień. Jakieś kształty kotłowały się na granicy widzialności, gdzieś w mroku i chmurach, naciągając nieuchronnie...

Zerwał się wiatr. Parasole odfrunęły i rozszarpane podmuchami opadły na ulice. Ziemia zadrżała, jakby miała pęknąć, a ludzie zaczęli krzyżeć. Niektórzy ze strachu, inni na wiwat, inni jeszcze, dopingując i oczekując.

A on stał. Patrzył. Czekał.

I miał nadzieję, że nie wyda się, kto otworzył pieczęć z gumy do żucia.

Część III

Dzień był słoneczny i niestety ciepły, niemal upalny, a przecież dopiero się zaczął.

Kiedy w końcu dotarł do pracy, był spocony, a koszula lepiła mu się do skóry. Palce ślizgały się po klawiszach, gdy wreszcie zasiadł do projektowania kolejnych grafik. Klimatyzacja nie dawała rady, ale nie dziwiło go to – wszystko było przeciążone, zmęczone i każdy, tak po prostu, jakoś musiał to wszystko przetrwać.

Starał się i dlatego nawet kawę pił mrożoną.

Dziś miał do ogarnięcia kilka projektów dla nowych wierzeń, kultów, wyznań, religii – jak zwał, tak zwał. Nie interesowało go to.

Miał być koniec świata, ale nie nastąpił. Czterech jeźdźców już niemal byli widoczni, nierządnicą na siedmiogłowym smoku miała objawić się w całej plugawej okazałości, a gwiazdy spadać na ziemię, jakby do jej stóp, ale coś poszło nie tak.

Zło miało zniszczyć świat i jedyne rozumne życie we wszechświecie, bo to byłby akt, *nomen omen*, czystego zła. Anihilacja dzieła bożego, triumf sił piekielnych. Długo można by mówić

i ci, którzy ogłaszali, długo mówili wśród ryku trąb. Nie słuchał ich za dobrze, ale wychodziło na to, że ci, którzy mienili się antychrystami i plugawicielami, wszyscy ci jeźdźcy Apokalipsy i bestie w liczbie trzech szóstek, nie za bardzo interesowali się ludźmi. Sprzedaż duszy w zamian za sławę, talent? To były jedynie wymysły tych, którzy chcieli stworzyć wokół siebie odpowiednią otoczkę. Opętania już dawno wyjaśniono chorobami psychicznymi. Kuszenie marnych synów i córek człowieczych? Ich nie trzeba było kusić. Jeśli wierzyć tym, którzy ogłaszali, zło kiedyś zrobiło swoje i na swoje czekało. Reszty dokonali za nie ludzie.

Dlatego teraz był tu i robił plakaty i ulotki dla nowych religii.

W upale świat śmierdział rozkładającą się krwią, której od kilku dni służyły starały się pozbyć. Krajobraz wyglądał jak po przejściu nawałnicy: połamane gałęzie, strzępy parasolek, wybite szyby i zawartość śmietników rozwiana na cztery strony świata, pozlepiana posoką i skrzepami. Ale życie toczyło się dalej.

Siedział więc i na to życie zarabiał, bo co więcej miał zrobić? Zastanawiać się nad tym, czy to, co się stało, było wielkim triumfem, czy porażką ludzkości? Jego to nawet nie interesowało. Prawda jednak była taka, że kiedy zło, a raczej Zło, zobaczyło w końcu, jak nikczemna stała się ludzkość w swoim rozpasaniu, wygodnictwie, dogadaniu sobie i krzywdzeniu siebie, może i w pierwszej chwili było zachwycone, ale trwało to zaledwie moment. Potem przyszła bolesna refleksja: ludzie byli tak źli, że doszczętne ich zniszczenie byłoby właściwie dobrym uczynkiem. Eliminacją tego, co najgorsze, najbardziej niszczące, zdradzieckie i brudne z całej rzeczywistości. A jak Zło mogło pozwolić sobie na zrobienie czegoś dobrego?

Przerobił kilka zdjęć, dostosował do oczekiwań i zapisał kilka projektów z różnymi barwami i czcionkami. Do wyboru, do koloru.

Zło znalazło się w pacie, który przerwał koniec świata. Ludzkość zaś dotarła do momentu,

w którym nowe religie jako ratunek przed końcem zaczęły głosić hasła o rozpasaniu, dogadaniu sobie i całej masie innych rzeczy, których ludziom i tak nie trzeba było mówić.

Dla niego nie miało to najmniejszego znaczenia. On zarabiał na oprawie graficznej dla takich tekstów, które akurat najlepiej się sprzedawały, czy niosły ze sobą coś dobrego, czy wręcz przeciwnie. I nie sądził, by umywał ręce albo je do czegoś przykładał. Po prostu wykonywał swoją pracę, jak wykonywać powinien ją każdy człowiek – najlepiej, najrzetelniej jak potrafił.

Wychodząc z biura, przeszedł chodnikiem, który zawsze pokryty był gumami, ale teraz gum już nie było. Może przestały być potrzebne, a może po prostu pozlepiane z krwią zostały usunięte wraz ze skrzepłą posoką – nie wiedział i to też nie miało dla niego znaczenia. Dla niego liczyło się tylko to, by nikt nie dowiedział się o jego udziale. Z drugiej strony... zawsze miał w zanadru ucieczkę na tamten świat.

Uśmiechnął się.

Przeszedł chodnikiem, mijając gumy, których już nie było, i poszedł dalej.

MICHAŁ P. LIPKA

Na koncie ma lokalnie wydane książki: „Księga Twardowskiego”, „Szafran” plus już na szerszy rynek pozycję non fiction: „Polski ‘Produkt’ Komiksowy”. Pisał też publicystykę m.in. do „Kawaii”, „Grabarza Polskiego” czy „Fabulariów”. Jego opowiadania były publikowane w „Szortalu na Wynos”, „Magazynie Histeria”, w magazynach: „Magazyn Biały Kruk”, „Fragmentarium”, na łamach jednego z najstarszych pism poświęconych fantastyce w Polsce – „Czerwonego Karła” czy w zinnie „Ka-Tet”, a także w antologiach: „Południowe Podlasie w innym wymiarze”, „Obłąkane historie”, „Zakamarki nocy”, „Konstelacja grozy. Spaczeni Lovcraftem” czy „Antologia z dreszczykiem”. Poza tym z komiksami pojawiał się w takich miejscach, jak magazyny: „Silmaris”, „Darmozin”, „Krwawnik 2”, „MangaMix Neo” czy „BZIK eXXXtra”.

KIESZEŃ W PRZESTRZENI

ROZDZIAŁ 6

REDAKCJA: MAGDALENA DZIEKAN

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA TECHNICZNA: KATARZYNA PYKA

Za oknem lał deszcz. Duże krople desperacko uderzały o szyby, jakby próbowały się wedrzeć do ciepłych pokojów. Addela leżała na łóżku i wpatrywała się w sufit. Nie mogła wyjść z podziwu, jak przyjemne mogłyby być poranki, gdyby za życia nie dusił jej kaszel. Przed śmiercią często budziła się w nocy, ponieważ płuca odmawiały jej posłuszeństwa. Dziś przespaa pierwszą noc od bardzo dawna. Lecz to nie był jedyny dylemat, nad którym się zastanawiała. Próbowła ułożyć sobie w głowie plan rozmowy zarówno z mecenasem, jak i lekarzem, by zdobyć informacje i nie wzbudzić podejrzeń. Musiała przyznać, że od pojawienia się Antona w jej ziemskim życiu zdążyła chyba zszokować już wszystkich.

No i był jeszcze Gustaw, który niestrudzenie wkładał się do jej myśli. Jego wczorajsze zachowanie było tak niecodzienne, że miała ochotę pobiec do jego pokoju i prosić o wyjaśnienie.

Westchnęła i usiadła na brzegu łóżka. Zerknęła na kolorowe pigułki, leżące na szafce nocnej. Nie zamierzała dziś ich zażywać. Wsunęła szufladę i wyjęła lniany woreczek, po czym przesypała wszystkie do środka. Pokaże je podczas wizyty lekarskiej i dokładnie wypyta, jakie mają zastosowanie. Zważyła zawiniątko w dłoni, zastanawiając się, od kiedy tak naprawdę się zaczęły jej problemy ze zdrowiem. Stwierdziła, że było to w dniu, w którym spadła z konia. I właśnie wtedy opiekę nad nią przejął doktor Mering.

Wstała i podeszła do okna, następnie jednym ruchem rozsunęła zasłony. Lutowe niebo wisiało nisko, a deszcz zacinął coraz mocniej. Skupiła się na torze spływających po szybie kropli. Pomyślała, że w jej kieszeni w przestrzeni najpewniej właśnie świeci słońce. Lubiła tak nazywać swoje miejsce w Elizjum. Było miłe i bezpieczne, niczym kieszeń w babcinym swetrze, w którym znajdują się cukierki.

– Do roboty – zmotywowała samą siebie i zaczęła się ubierać, by po chwili zejść na śniadanie.

W salonie przy stole siedział już Anton z filiżanką parującej kawy. Rozpoznała go tylko po ubraniu, bo rozłożona gazeta zakrywała mu całą twarz i w ogóle go nie było widać.

– Dzień dobry – przywitała się, siadając tuż obok.

Mężczyzna natychmiast zerknął na nią znad prasy.

– Dzieńdoberek! – Uśmiechnął się promiennie, jakby wcale nie ciążyły na nich pozaziemskie konsekwencje łamania przepisów. – Piszą o twoim zwycięstwie: „Addela Gemstone po raz kolejny stanęła na najwyższym podium. Jej rywalka Ofelia Black nie kryła zdenerwowania...”

– Zawsze piszą to samo – skomentowała arystokratka.

W tym momencie drzwi kuchenne się uchyliły i do pomieszczenia weszła Aleksandra, niosąc tacę pełną pachnących grzanek. Na widok swojej pracodawczyni stanęła jak wryta.

– Panienska już na nogach? – zapytała.

– Aleksandro, obawiam się, że zaczynam cię przerażać – zażartowała Addela, ale dziewczyna wzięła jej słowa całkowicie na poważnie i natychmiast zaczęła się tłumaczyć.

Gdy służąca wyszła, kobieta zabrała się za śniadanie, ale nie czuła takiego apetytu jak co dzień.
– Chyba nie potrafię być zabawna – rzuciła pod nosem, bardziej do siebie niż do swojego towarzysza.

– Ależ skąd, moja droga! Mnie bezustannie rozśmieszasz.

Addela spojrzała na Antona skonsternowana, bo jego słowa bynajmniej nie zabrzmiały jak komplement. Jeżeli zdawał sobie z tego sprawę, to nie dał w żadnym razie tego po sobie poznać.

– Anton, gdy będziemy dziś w kancelarii oraz w gabinecie lekarskim, pod żadnym pozorem nie przejmuj inicjatywy w rozmowie, dobrze? Zostaw to mnie. W zasadzie najlepiej by było, gdybyś się nie odzywał – poprosiła arystokratka.

– Ale w takim razie co mam robić. Zresztą jestem twoim narzeczonym...

– Przecież jesteś udawanym narzeczonym... – przerwała mu, ścisząc głos.

Po tych słowach zamilkł i zaczął ze smętną miną skubać bekon. Addela popatrzyła na niego zaskoczona. Czyżby go... uraziła? Już miała powiedzieć, co myśli o jego zachowaniu, gdy na schodach rozległy się kroki, a tuż za nimi donośny głos ciotki Felicji. Na samo jego brzmienie Addela cała się spięła. Ta kobieta najpewniej była osobą, która próbowała się jej pozbyć. Jej własna rodzina.

– A któż tak rano wstał? – zaszczębiotała ciotka. – A, to ty... – burknęła, gdy w pierwszym momencie ujrzała Antona, po czym za chwilę znów zmieniła ton: – I moja ukochana siostrzenica. Kluseczko, co się stało, że tak wcześnie wstałaś? Zazwyczaj odpoczywasz do południa.

Addela wyobraziła sobie, jak staje naprzeciwko ciotki i wykrzykuje jej swój żal, ale odpowiedziała tylko:

– Mam dziś trochę spraw do załatwienia z Antonem.

Towarzysz posłał jej uśmiech, więc albo minął mu posępny humor, albo wszedł w swoją rolę.

– Spraw powiadasz... a jakie to sprawy, jeśli można wiedzieć? – Felicja oraz wuj Mark dosiedli się do stołu.

Addela postanowiła zaryzykować.

– Spotykam się z mecenasem Donovanem. W przyszłym tygodniu zamierzam zmienić zapisy w testamencie. – Addela celowo wspomniała o ramach czasowych, jakby w rzeczywistości rozmawiała ze swoimi zabójcami.

Stwierdziła, że skoro dostała tydzień na śledztwo, to ten czas można też dać mordercy: może zaatakuje ponownie. Tym razem jednak będzie na niego przygotowana.

Ciotka zamarła, jakby się zamieniła w kamienny posąg. Wujek Mark spojrział na nią zaniepokojony i delikatnie położył dłoń na jej ramieniu, aż ta drgnęła gwałtownie, po czym powiedziała:

– Och! Przepraszam najmocniej. Zamyśliłam się. Tak szybko wyrosłaś i sama załatwiasz poważne sprawy...

Addela miała wrażenie, że ciotka zaraz się rozplacze. Patrzyła na słabe aktorstwo kobiety i się zastanawiała, jak wcześniej mogła się na to nabierać. Ta cała śmierć zmieniła jej podejście do życia.

– Mam prawie czterdzieści lat. Poradzę sobie. A z tego, co pamiętam, gdy byłam mała, to nie miałyśmy ze sobą kontaktu – rzuciła Addela.

Felicja natychmiast zmieniła wyraz twarzy: ze wzruszonego na zaskoczony. Siostrzenica nigdy nie mówiła do niej w tak bezpośredni sposób.

– Może pojedę z tobą, Kluseczko? Anton na pewno woli pozostać w męskim towarzystwie. Mark mógłby...

– Nie trzeba – wydusiła Addela, wymuszając na mięśniach twarzy, by ułożyły się w coś na kształt uśmiechu.

Przez chwilę usta Felicji otwierały się i zamykały jak u ryby wyrzuconej na brzeg. Wujek również wyglądał na zdezorientowanego. Jeszcze tydzień temu Addela byłaby przerażona taką reakcją rodziny. Najpewniej w pierwszym odruchu próbowałyby załagodzić całą sytuację, a później taplałyby się w wyrzutach sumienia.

– Podaś mi, proszę, sól? – Anton zwrócił się do swojej „narzeczonej”, a w jego głosie wybrzmiewały iskiereki śmiechu.

Chwilę później do salonu weszła Aleksandra, niosąc na srebrnej tacy zapieczętowaną kopertę. Podeszła do Addeli i podała jej list. Ta celowo, nie informując wujostwa, kim jest nadawca, przeczytała go ostentacyjnie przy stole.

– Najdroższy! – zwróciła się do Antona. – Wspaniałe wieści. Twoje spotkanie o szesnastej dojdzie do skutku.

„Pójdę do piekła”, pomyślała, gdy kątem oka zauważyła, jak ciotka wychodzi z siebie, by zająrzeć, kto był nadawcą listu. Ta gra coraz bardziej jej się podobała. „Nie do piekła – zreflektowała się w myślach po chwili – do mojej przytulnej kieszeni w przestrzeni”.

– Na mnie już pora. Muszę przygotować się do wyjazdu. Życzę przyjemnego śniadania – oznajmiła Addela, odchodząc od stołu z kopertą w dłoni, i ruszyła do swojego apartamentu. Gdy miała już wejść na schody prowadzące na górę, od drzwi wejściowych dobiegło radosne szczekanie. Obróciła się gwałtownie, a jej głupie serce przyspieszyło na samą myśl o Gustawie. Najpierw dopadły ją psiaki. Domagały się głaskania i uwagi, a po chwili zza rogu wyszedł rudowłosy trener. Nie wyglądał dobrze. Jego włosy nadal były zmierzwione. Opuchlizna nie zmaląła, a kolor sinia-ka nadal przypominał dojrzałą śliwkę. Pod drugim okiem również miał sińce, ale takie, które pojawiają się po nieprzespanej nocy. Jednak pomimo fatalnej prezencji mężczyzny, czas wokół jakby zwolnił. Addela obserwowała jego skupiony wzrok i zdecydowane ruchy. Gdy później wspominała tę chwilę, wydawało się jej, że wokół rozbrzmiewała muzyka.

– Ty już na nogach? Tak wcześnie? – zapytał trener, gdy tylko ją zobaczył, i od razu ruszył w jej kierunku. Addela jednak tak skupiła się na jego ruchach i na kształcie warg, gdy mówił, że nie usłyszała pytania.



Zorientowała się, że mężczyzna czeka na odpowiedź, kiedy przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią z wysoko uniesionymi brwiami.

– Co? Mówiłeś coś? – wydukała.

Gustaw się zaśmiał, a ona dostrzegła, że ma uroczo krzywe zęby.

– Pytałem, co się stało, że jesteś tak wcześnie na nogach – oznajmił, nadal się uśmiechając.

– A wiesz, kto rano wstaje... i tak dalej. – Spłonęła rumieńcem zaskoczona, że nie potrafi normalnie złożyć zdania.

Aby ukryć zażenowanie, zaczęła energicznie drapać Jane za uszami, aż psiak popatrzył zdziwiony na swoją właścicielkę.

– W takim razie może rzeczywiście zdążysz na nasz wspólny trening?

– Mhm – odparła kobieta, kiwając energicznie głową.

– Do zobaczenia. – Gustaw uściśnął jej dłoń i ruszył z psami w kierunku kuchni dla służby.

Addela stała jeszcze chwilę, trzymając się poręczy i próbując uspokoić rozdygotane ciało. „Co, do kurki wodnej, się ze mną dzieje?” – pytała siebie w myślach. Doskonale знаła odpowiedź. Było to przerażające, ale zaczynała się chyba zakochiwać. Ale dlaczego teraz? Przecież nie poznała go wczoraj, tylko pięć lat temu. Do tego wszystkiego jest na „warunkowym” i za kilka dni wraca do Elizjum. To nie czas na miłość.

Westchnęła ciężko. Sama siebie oszukiwała. Już dawno go dostrzegła. Tylko kamuflowanie uczuć wychodziło jej dobrze; doskonale wiedziała, że Gustaw nigdy nie spojrzy na nią tak, jak ona patrzyła na niego. Jednakże od momentu, gdy pojawił się Anton, coś się między nimi zmieniło. Była pewna, że sobie tego nie wymyśliła. „Czy powodem takiego stanu rzeczy była zazdrość?” Tyle pytań, tak mało odpowiedzi. Zaśmiała się w duchu. Przecież najważniejszym pytaniem było to, kto ją zabił. Nie mogła myśleć teraz o Gustawie. Powinna skupić się na najważniejszej kwestii.

W pośpiechu przygotowała się do wyjazdu. To będzie aktywny dzień. Miała nadzieję, że stan jej zdrowia pozwoli na takie wyzwania. Bała się z tego cieszyć, ale już od wczoraj ani razu nie zakaszłała.

Anton czekał na nią w salonie. Wyglądał tak, jakby założył świeży zestaw tych samych ubrań co dzień wcześniej. Nikogo więcej nie było.

– Ruszamy? – zapytał, gdy tylko ją zauważył.

Addela skinęła głową w odpowiedzi.

Gdy przemierzali wiejski krajobraz w drodze do stolicy, oboje pograżyli się we własny myślach.

– Muszę przyznać, że twoje wujostwo zachowuje się co najmniej dziwnie – powiedział urzędnik po chwili namysłu.

– Wiem. Ta rozmowa, którą wczoraj podsłuchałam wciąż siedzi mi w głowie. Oczywiście, to były jedynie urywki, ale... Cóż, jeżeli to rzeczywiście oni, to tobie również może grozić niebezpieczeństwo.

– O mnie się nie martw. Jestem niezniszczalny – oznajmił z dumą, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

– Mam nadzieję...

Do kancelarii dotarli około godziny dziesiątej. Choć wydawało się to niemożliwe, deszcz zaczął jeszcze mocniej niż o poranku. Anton niezgrabnie rozłożył parasol nad swoją towarzyszką, po czym podał jej ramię. Ulice były praktycznie puste. Gdzieniedzie przechadzali się jeszcze maruderzy wracający z zakupów czy spotkań, ale deszcz skutecznie zatrzymywał ludzi w domach.

– Jak się nazywa ten mecenas? – zapytał mężczyzna, osłaniając się przed kroplami deszczu wdzierającymi się pod parasol.

– Donovan – odparła Addela. – Jego żona uważa mnie za wariatkę. Mam nadzieję, że jej nie spotkamy.

Mężczyzna się zaśmiał, ale widząc minę swojej towarzyszki, natychmiast zamarł.

– Naprawdę? – zapytał, niedowierzając.

– Miło mi, że wydaje ci się to nieprawdopodobne. Niestety, tak właśnie jest.

Gdy dotarli do kamienicy, w której znajdował się zarówno gabinet, jak i mieszkanie mecenas, byli już całkowicie przemoknięci. Weszli po schodach, strzepując jednocześnie z siebie jak najwięcej wody. Fryzura kobiety, którą pomogła jej zrobić Aleksandra, oklapła i teraz smutne kosmyki włosów opadały na czoło.

Stanęli przed pięknymi dębowymi drzwiami. Addela celowo się nie zapowiedziała, licząc na efekt zaskoczenia, a tym samym lepszą sposobność na wycucie lojalności Donovana. Gdy zbliżyli się do wejścia i Anton uniósł dłoń, by zapukać, drzwi otworzyły się gwałtownie. W progu stał mecenas z żoną. Addela zawsze obawiała się starszego mężczyzny, który praktycznie nigdy się nie uśmiechał. Jeszcze bardziej przeraziła się wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzała uśmiech mecenas. Jego i tak dość mocno napięta skóra na twarzy naciągnęła się jeszcze mocniej, gdy wargi rozsunęły się w szerokim uśmiechu, ukazując rząd zębów, które dawno zapomniały o higienie.

– Witaj, Addelo, czekałem na was. Zapraszam do środka – oznajmił Donovan, po czym odsunął się, by mogli wejść.

Gabinet mecenas wyglądał dokładnie tak samo, jak go zapamiętała. Na środku znajdowało się ogromne dębowe biurko, a wszystkie ściany były zastawione regałami z książkami. Tuż przed biurkiem stały dwa krzesła.

– Siadajcie, proszę, moja żona zaraz przyniesie herbaty – oznajmił, po czym zajął miejsce naprzeciwko nich i złożył dłonie w piramidkę. Już miał się odezwać, ale arystokratka go ubiegła.

– Można wiedzieć, skąd pan wiedział o naszym przybyciu? Nie wysyłałam listu ani...

– Droga pani, to mój obowiązek wiedzieć takie rzeczy, w państwa przypadku jednak nie było nic szczególnego. Cały Londyn huczy o zaręczynach i rychłym ślubie. Czy będę nieuprzejmy, jeżeli zapytam, skąd ten pośpiech? – Mecenas wymownie spojrzął na brzuch kobiety.

Addela w pierwszym momencie nie zrozumiała, dlaczego mężczyzna wpatruje się w tak wstydliwą dla niej część ciała. Pomyślała nawet, że sugeruje jej, że przytyła, i już miała zasłonić się dłońmi, gdy nadeszło zrozumienie. Zaśmiała się wręcz histerycznie.

– Nie! Na Boga! Nie jestem w ciąży!

Mecenas Donovan odchrząknął.



– W takim razie nie rozumiem, czego ma dotyczyć nasze spotkanie – stwierdził skonsternowany.

W tym momencie drzwi do gabinetu się otworzyły i weszła żona mecenasa, niosąc na tacy filiżanki z herbatą oraz ciasteczka. Była to niezwykle wysoka kobieta o nienachalnej urodzie, ale nachalnym charakterze. Miała głęboko zakorzenione zasady i uważała, że każdy powinien ich przestrzegać. Jedną z nich był umiar w jedzeniu. Choć otyłość Addeli wynikała z choroby, a nie obżarstwa, pani Donovan uważała ją za kobietę złych obyczajów. Tym bardziej zaskoczył Addelę serdeczny uśmiech na twarzy gospodyni, gdy stawiała przed nią filiżankę. Arystokratka musiała odchrząknąć, aby wydobyć z siebie głos:

– Panie mecenasie, jestem tutaj, by zmienić zapisy w moim testamencie.

Mężczyzna się zawahał, po czym spojrzał wymownie na Antona, ten jednak był właśnie zajęty podziwianiem książek na półkach i zajadaniem ciastka.

– Panno Gemstone. Nie wiem, czy nie warto byłoby przed ślubem zawrzeć intercyzę. Nie zalecałbym zmiany testamentu w tym momencie...

– Nie o to chodzi – przerwała mu Addela, a w jej głosie zabrzmiał ton nieznoszący sprzeciwu, co zaskoczyło nawet ją samą. – Chcę dopisać do testamentu kilka punktów, które nie mają nic wspólnego z moim zamążpójściem. Ale najpierw chciałabym go jeszcze przejrzeć.

Mecenas nic już nie powiedział. Jego twarz stężała, a spojrzenie się wyostriżyło. Nie było już tak przyjazne jak jeszcze chwilę temu. Wstał i wyjął spod koszuli łańcuszek, na którym miał zawieszony mały klucz. Następnie podszedł do ogromnego obrazu na ścianie, przedstawiającego wiejski domek na tle ogrodu pełnego kwiatów. Tuż za nim znajdował się sejf, z którego gospodarz wyjął teczkę i podał ją kobiecie.

– Zostawię państwa. Proszę mnie zawołać, gdy będziecie gotowi – oznajmił Donovan oschłym tonem, po czym wyszedł.

Anton i Addela spojrzeli sobie w oczy i roześmiali się bezgłośnie.

– Dam głowę, że oboje podsłuchują pod drzwiami. – Urzędnik najwyraźniej doskonale się bawił całą tą sytuacją.

– Albo któryś z obrazów służy do podglądania – dodała kobieta, która poczuła się znacznie pewniej, gdy mecenas wyszedł z pokoju.

Otworzyła teczkę i wyjęła testament. Sporządziła go tuż po śmierci rodziców. To wtedy pierwszy raz w życiu zrozumiała, że nic nie jest pewne i lepiej zabezpieczyć wszystko z góry. Przejrzała dokument. Okazało się, że pamiętała doskonale, co w nim zapisała. Tylko jedno wypadło jej z głowy: pięć lat temu wprowadziła dopisek o tym, że Jane i Austen w razie jej śmierci mają zostać oddane Gustawowi.

– Nic nie zmienię – oznajmiła szeptem. – Wprowadzę jednak zapis, że w razie wątpliwości, że moja śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych, całość majątku przejdzie w ręce Domu Dziecka w Londynie oraz osób ujętych w testamencie, o ile nie przyczyniły się do mojego zgonu. No i dopiszę, że koniecznie należy przeprowadzić sekcję zwłok i śledztwo. Co ty na to?

– Myślę, że to wystarczy. A przy okazji się dowiemy, czy nasz pan mecenas potrafi trzymać głowę na kłódce, czy poinformuje kogoś o treści dokumentu.

– Dobra – odparła pewnie Addela. – Wołaj go.

Zmiany wprowadzili w ciągu następnej godziny. Donovan nie krył szoku spowodowanego nowymi zapisami. Próbował wypytać swoją klientkę o powody jej decyzji, ale ona skutecznie omijała temat. Podczas pożegnania atmosfera była inna niż przy powitaniu. Nie pojawiły się już żadne uśmiechy, a jedynie oficjalne uściśnięcie dłoni.

Gdy Anton i Addela dotarli do powozu, byli w wyśmienitych nastrojach. Czuli się trochę jak zwycięzcy w starciu ze smokiem i smoczą. Ich radość jednak nie trwała długo.

W jednej sekundzie się śmiali, a w następnej Anton stał się praktycznie niewidzialny, jakby został utkany z mgły. Addela chciała odruchowo złapać go za ramię, lecz jej dłoń przeleciała przez pustkę. Mężczyzna stał się niematerialny.

– Co się dzieje? – zapytała drżącym głosem.

– Kłopoty. Ktoś musiał zauważyć moją nieobecność. Muszę wracać natychmiast do Elizjum – wyjąkał zaniepokojony. – Postaram się wrócić jak najszybciej, by zdążyć na podwieczorek u Ofelii – oznajmił Anton, po czym zniknął.

Kobieta niemal krzyknęła, lecz w porę zatkała sobie usta dłonią, obawiając się, że stangret mógłby ją usłyszeć, jeśli ponownie nie zapanuje nad sobą. Wpatrywała się w miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu siedział jej wspólnik.

– Kurka wodna... – wyszeptwała.

Poczuła się opuszczona, a cała pewność siebie, którą jeszcze chwilę temu miała, zniknęła. Miała wrażenie, że za chwilę się popłacze. Zaczęła się zastanawiać, czy nie wrócić do rezydencji i tam poczekać na powrót urzędnika. Już miała poinformować stangreta o zmianie decyzji, gdy usłyszała w głowie cichy, męski głos należący do detektywa Rogera:

– Dawałaś sobie świetnie radę, zanim on się pojawił. Dasz radę i teraz.

Zawahala się. Musiała przyznać, że w rzeczywistości tak właśnie było. Czy Anton będzie z nią, czy nie, to przede wszystkim jej zadanie, by rozwikłać zagadkę własnej śmierci. Usiadła wygodnie, zacisnęła dłonie w pięści i uniosła dumnie głowę. „Poradzę sobie śpiewająco” – postanowiła, i w tym samym momencie powóz zatrzymał się przed wiktoriańskim budynkiem, w którym doktor Mering prowadził swoją prywatną praktykę lekarską.

Nabór na wrzesień – ogłoszenie hasa!

Przyjmujemy zgłoszenia przez formularz: <https://forms.gle/BJhd4hcM69rZNs359>

Termin nadsyłania tekstów od **1.07.2026 do 15.07.2026**. Hasła na ten miesiąc:



PIRACI I WODY GŁĘBOKIE ORAZ SZEROKIE – wszystko, co związane z piratami na oceanach, rzekach i morzach.

KRYMINALNE ZAGADKI W... – szaleństwo kryminalne. Nieważne gdzie, nieważne kiedy. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie. Prawo można łamać wszędzie.

Nie idziemy na skróty.
Szukamy treści, które coś niosą.
Do zobaczenia we „Fragmentarium”.
Gdzie słowa zyskują wolność.

Z pozorną pewnością siebie wkroczyła do środka. Jej pantofelki przemokły, co irytowało ją prawie tak samo jak zielone firany w oknach. Dłonie jeszcze delikatnie drżały, więc z całych sił ścisnęła uchwyt parasolki. Zatrzymała się i zamknęła powieki. Gdy je otworzyła, obok niej stał wysoki wąsaty detektyw. „Od razu lepiej” – pomyślała i podeszła pod drzwi gabinetu. Już miała zapukać, gdy drzwi się otworzyły, a w progu dojrzała uśmiechniętego, starszego lekarza. „Czy dziś wszyscy będą mnie tak witać?” Najpewniej mecenas Donovan już zdążył powiadomić swojego kompana, że Addela jest w mieście.

– Kogóż to moje stare oczy widzą? Panienska Addela Gemstone. Jestem zachwycony i zaszczycony. Zapraszam do środka – wy dobył z siebie lekarz, uchylając drzwi i wpuszczając ją do ciepłego wnętrza.

Gdy tylko przekroczyła próg, poczuła nieprzyjemny zapach dezynfekcji. Miała z nim wyłącznie złe wspomnienia. Wrażenie, że na powrót jest małą dziewczynką, stało się tak silne, że musiała wbić sobie paznokcie w dłonie, by się otrząsnąć. Nieco chwiejnym krokiem ruszyła prosto do gabinetu i usiadła na swoim stałym miejscu.

– Widzę cię w bardzo dobrym zdrowiu. Najwyraźniej nasza kuracja działa. Ostatnie trzy lata to ja musiałem się do ciebie fatygować. A tu proszę! – powiedział i klasnął w dłonie zadowolony.

Addela wpatrywała się w niego, starając się wyczuć fałsz w głosie. Czy ktokolwiek potrafiłby tak dobrze grać? Wiedziała jednak, że nie powinna mu ufać. Nie powinna ufać nikomu.

– Tak, czuję się wspaniale – odparła, uśmiechając się również najszczerzej, jak potrafiła. – Dlatego też tu jestem. Chciałam zapytać o skład leków, które przyjmuję.

Lekarz nasunął drucziane okulary na nos, jakby chciał sprawdzić, kogo tak naprawdę przed sobą widzi.

– Ale po cóż? To wiedza medyczna. Kobiety... Z całym szacunkiem – zreflektował się. – To trudny temat. Trzeba by znać chemię i biologię.

– A nie mógłby mi doktor po prostu powiedzieć, jakie reakcje wywołują? – zapytała, przeczuwając, że nie uzyska zbyt wielu informacji.

– Ale po co? – dopytywał.

I tu ją miał. W zasadzie nie spodziewała się takiego pytania. Liczyła, iż jako pacjentka ma prawo do choćby znikomej wiedzy. Na czoło wystąpiły jej kropelki potu. Zerknęła w stronę okna, gdzie stał detektyw Roger i palił fajkę. Gdy go ujrzała, odpowiedź sama się pojawiła.

– Piszę powieści detektywistyczne. Teraz głównym bohaterem będzie lekarz. Nie ukrywam, że wzorowałam się na panu, doktorze. Moja wiedza jest jednak zbyt uboga. Pomyślałam, że najlepiej wszystko zapamiętam, jeśli doktor opowie mi o moich lekach. Wszak najlepiej zapamiętujemy to, co dotyczy nas samych – kłamała mu prosto w oczy, czując się przy tym dziwnie.

– Och! Niezwykle mi miło. – Addela dostrzegła rumieniec na jego policzkach. – Rozumiem, że postać lekarza jest pozytywna?

– W rzeczy samej! – odpowiedziała, z poczuciem, że trafiła w dziesiątkę.

– Hmm... No dobrze. Myślę, że możemy się nad nimi pochylić. Przecież taka wiedza ci nie zaszkodzi, prawda? Poczekaj tu chwilę, przyniosę twój zestaw leków wraz z tabelami – odparł.

Po tych słowach wstał ociężale i wyszedł z gabinetu. Ona natychmiast się poderwała i podbiegła do szafki, w której lekarz trzymał karty pacjentów, i otworzyła szufladę z literą G.

Ręce się jej pociły, gdy wertowała kolejne nazwiska. W końcu natrafiła na swoją kopertę. Wyszarpnęła ją i w tym samym momencie usłyszała kroki lekarza tuż przy wejściu do gabinetu. Nie było szans, by zdążyła wrócić na swoje miejsce.

ROZDZIAŁ 7

Czas jakby zwolnił. Z każdym kolejnym oddechem Addeli kroki doktora Meringa rozbrzmiewały tuż przed drzwiami do gabinetu. Nie miała czasu na myślenie. Jednym gwałtownym ruchem podrzuciła falbaniastą suknię ku górze i włożyła kopertę pomiędzy jej udrapowania. Jeszcze tylko parę kroków do ściany i szybki obrót tak, by stać plecami do wejścia. I dokładnie w tym momencie, gdy jej wzrok zawisł na ogromnej wypchanej sowie, znajdującej się w gablocie naprzeciwko, drzwi do gabinetu zaskrzypiały. Arystokratka z całych sił starała uspokoić oddech i rozszalałe serce. Do tego jedną dłonią ścisnęła falbany sukni, w których ukryła swój łup.

Za plecami rozległo się chrząknięcie. Addela z szerokim uśmiechem spojrzała na lekarza.

– Cóż za piękny okaz, doktorze – oznajmiła z zachwytem, wskazując na skrzydlate straszdyło za szkłem. – Czy to trofeum z polowania?

Mężczyzna patrzył na nią podejrzliwie. Doskonale o tym wiedziała, postanowiła jednak udawać, że jest uosobieniem niewinności.

– Najmocniej przepraszam za moje wścibstwo – oznajmiła ze skrucą. – Nie pomyślałam, że to może być tajemnica...

– Nie, nie... – Lekarz w końcu zabrał głos. – Jestem zaskoczony, że cię to interesuje. Cóż, zaspokajając twoją ciekawość, muszę przyznać, że owszem. Jest to okaz z polowania i osobiście ustrzeliłem tego puszczyka.

Addela pokiwała głową z uznaniem, a przynajmniej miała nadzieję, że tak to wyglądało. Nigdy nie rozumiała tego całego zabijania dla przyjemności. Wróciła na miejsce i siadając, starała się przesunąć kopertę pod suknię tak, by spoczęła na jej kolanach. Za chwilę będzie potrzebowała wszak obu rąk.

Mering usiadł naprzeciwko i rozłożył przed nią cztery kartki, na których widniały różnego rodzaju wykresy, tabele i odręczne notatki. Na każdej z nich położył jedną kolorową pigułkę. Dziewczyna przeczuwała, do czego to zmierza.

– To są panienki podstawowe leki. Każda tabelka opisuje dokładnie, na co wpływają. Ta na przykład – wskazał na czerwony okrągły groszek – ma za zadanie wzmocnić odporność, a tym samym pomaga w walce z kaszlem, który dręczy panienkę od lat. I jak słyszę, od momentu gdy się

spotkaliśmy, ani razu panienka nie kaszlnęła. – Posłał jej dumne spojrzenie, a ona odruchowo się uśmiechnęła.

Addela jednakże doskonale wiedziała, że przestała kaszleć dokładnie w dniu, gdy przestała się stosować do zaleceń mężczyzny siedzącego tuż przed nią. Przez następne czterdzieści minut Mering opisał wszystkie pozostałe trzy specyfiki i z cierpliwością odpowiadał na pytania swojej pacjentki. Reszta pigułek kolejno odpowiadała za stabilizację ciśnienia krwi, dobry sen i uspokojenie. Przy ostatniej kobieta chwilę się zawahała. Rzeczywiście od momentu śmierci czuła się żywsza i bardzo możliwe, że największy wpływ na ten stan mogło mieć odstawienie leku, który ją otumaniał.

– Uprzejmie dziękuję, panie doktorze, mam jednak jeszcze jedno pytanie – zaczęła nieśmiało. – Omówiliśmy cztery z siedmiu zapisanych mi leków. Co z pozostałymi?



Lekarz spoważniał.

– Panienko, myślę, że ten temat możemy pozostawić na następne spotkanie – odparł nad wyraz spokojnie, dłonie jednak schował pod blat, by kobieta ich nie widziała.

– Nalegam. – Nie zamierzała odpuścić.

– Panienko Addelo, jakie ma pani wspomnienia z okresu, gdy dotarły do rezydencji wieści o zaginięciu panienki rodziców? – zapytał.

Arystokratka się zastanowiła. Celowo nie wspominała tamtego czasu. Był dla niej niezwykle bolesny. Miała poczucie, że jej spokojne i bezpieczne życie skończyło się w momencie, gdy pokojówka przyniosła list informujący, że statek, którym płynęli jej rodzice, utonął. To, co wydarzyło się później, zlewało się w różne obrazy pozbawione sensu. Z opowieści Agnes dowiedziała się, że doszło u niej do głębokiej traumy i załamania nerwowego. Nie była w stanie wstać z łóżka, a służba karmiła ją na siłę, próbując utrzymać przy życiu. Gdy doszła do siebie, zaczęły się problemy innego rodzaju. Miewała halucynacje. Widziała swoich rodziców całych i zdrowych. Kiedy o tym opowiadała, budziła niepokój u wszystkich wokół. Dopiero doktor Mering wyjaśnił jej, że to naturalna ochrona ludzkiego mózgu przed bólem i stratą. I rzeczywiście, w tamtym okresie liczba przyjmowanych przez nią medykamentów się zwiększyła.

– Nie pamiętam – skłamała, ciekawa, jak tym razem lekarz przedstawi jej swoje podejście.

Ten jednak wstał, powoli wyszedł zza biurka i oznajmił, że przyniesie herbatę, po czym wyszedł. Gdy wrócił i ponownie zasiadł naprzeciwko niej, wydawał się bardziej zmęczony.

– Ech – westchnął ciężko. – Należy zacząć od tego, jak działa ludzka natura. Co robią zwierzęta, gdy się boją? Na przykład drapieżnik? – zapytał.

Addela zmarszczyła brwi. „Czy teraz będzie ją przepytywał z przyrody?”, zastanowiła się, uprzejmie jednak odpowiedziała:

– Nie wiem, chowają się? – Było to pierwsze, co przyszło jej na myśl.

– Masz rację. Chowają się. Ludzie wbrew pozorom postępują podobnie. Kiedy się boją, czują się niepewnie, w pierwszym odruchu próbują się schować. Ty tak zrobiłaś, moja droga. – Czule położył swoją pomarszczoną dłoń na jej dłoni. – W wyniku przerażających wydarzeń twój umysł zamknął się w... nazwijmy to... bańce. Taka bańka była dla ciebie bezpieczna. W niej twoi rodzice nadal żyli. Ty jednak stawałaś się martwa dla świata zewnętrznego.

Addela poczuła, jak napływają do niej obrazy z tamtego okresu. Ona w ciemnym pokoju, wpatrująca się w sufit, jakby w marazmie. Ból nie do wytrzymania i pragnienie, aby zniknąć na zawsze. Gwałtownie pokręciła głową i odpędziła od siebie drastyczne wspomnienia.

– Te trzy tabletki są po to, byś była z nami. W tej prawdziwej rzeczywistości, a nie wymagowanej – wyjaśnił medyk.

– Rozumiem – wyszeptwała. – I o dziwo, naprawdę rozumiała. Wypierała tamte wspomnienia, choć i one stanowiły część jej samej. – Pójdę już. Bardzo dziękuję za pomoc doktorze – odparła, po czym uśmiechnęła się i wstała, podtrzymując kopertę, ukrytą pod spódnicą.

Starszy mężczyzna odprowadził ją do wyjścia.

– Najważniejsze, że czujesz się dobrze, panienko Addelo. Kiedyś usłyszałem coś, co pozostało ze mną na całe życie. Przeszłość się nie liczy. W niej już byliśmy i nie jesteśmy w stanie jej zmienić. Z kolei przyszłość to wielka niewiadoma. Tylko chwila obecna ma znaczenie. Wyłącznie to, co się dzieje tu i teraz. I zdradzę ci tajemnicę. Ja podobnie jak ty straciłem kogoś bliskiego. Moją córkę. I uwierz mi, że po tej stracie bardzo ciężko było mi pozostać w rzeczywistości... – powiedział, po czym ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

Addelę zapiekły kąciki oczu, więc jedynie skinęła mu głową i wyszła. Schodziła powoli po schodach, myśląc o słowach lekarza. Zatrzymała się na chwilę i wzięła kilka głębszych wdechów. Czuła, że niepewność zakradła się do jej umysłu. A co, jeżeli ponownie znajduje się w bańce, o której mówił lekarz, a wszystkie wydarzenia są jedynie wytworem jej wyobraźni? Albo jeszcze gorzej: umarła i tak wygląda jej piekło. Tylko dlaczego w takim razie wszystko, co jej się przytrafiło, wydaje się być tak realne. Z drugiej strony, może nie powinna odstawiać przynajmniej tych trzech białych pigułek? Niepewnie wyjęła z torebki zawiniątko z tabletkami. Zajrzała do środka i wyjęła leki, które pomagały jej pozostać w teraźniejszości. Przez krótką chwilę trzymała je w dłoni, po czym włożyła do ust i połknęła.

Chłodne, letowe powietrze orzeźwiło jej twarz.. Ku jej zaskoczeniu deszcz przestał padać, na bruku jednak utworzyły się ogromne kałuże. Nie martwiła się tym. Tuż przed nią stał powóz, a z kozła uśmiechał się do niej jej woźnica John.

– Wracamy do domu, panienko? – zagadnął wesoło, a arystokratce od razu poprawił się nastrój i odwzajemniła uśmiech.

– Wracamy – odparła, po czym wsiadła do powozu.

Wysłuchując się w równomierny stukot końskich kopyt, zaczęła rozmyślać o wszystkim, czego się dziś dowiedziała. Była pewna, że w jej teraźniejszości ma zdrowe zmysły. Nie potrafiłaby przecież tak wyraźnie sobie tego wszystkiego wyobrazić. I przede wszystkim dostrzegała ogromną różnicę: doskonale wiedziała, że detektyw Roger jest jedynie wytworem jej umysłu, a Anton nie. Gdy już prawie przekonała samą siebie, że nie jest wariatką, naprzeciwko pojawił się urzędnik, wykrzykując radośnie:

– Dzieńdoberek!

– Aaa! – krzyknęła przerażona, prawie bliska zawału.

– Przepraszam, wciąż zapominam, że ludzie dziwnie reagują w takich momentach – usprawiedliwił się Anton. Dało się zauważyć, że trochę rozśmieszyła go reakcja towarzyszki.

– Przez ciebie umrę ponownie! – ofuknęła go Addela, ale ciekawość wzięła górę nad złością. – Opowiadaj. Co się stało, że zacząłeś znikać?

Anton rozprostował ramiona ku górze, jakby dopiero co wstał, po czym rozpoczął swoją opowieść.

– Trafiłem na dywanik, ponieważ nigdzie nie mogli mnie znaleźć. Na szczęście usprawiedliwiłem się nagłym „wahaniem u klienta”.

– Co to takiego to wahanie? – zainteresowała się kobieta.

– Cóż, najprościej można to chyba wyjaśnić teorią tunelową. Słyszałaś na pewno, że niektórzy widzieli światelko w tunelu, lecz zawrócili. – Addela pokiwała głową. – No właśnie. To są dusze, które nie chciały jeszcze odejść do Krainy Umarłych i wróciły do Wymiaru Męki.

– Czy ja również mogłabym tak zrobić? – zapytała lekko drżącym głosem.

Anton spojrział na nią jakby trochę przestraszony, a jednocześnie smutny.

– Już nie... ten wybór jest tylko raz nam dany. Ty już trafiłaś do Elizjum – odparł.

Addela spojrzała na swoje dłonie. Nic nie potrafiła poradzić na to, że chciałyby mieć swoje „tu i teraz” wspomniane przez doktora Meringa.

– Uwierz mi. W Elizjum naprawdę jest cudownie. W tych pozytywnych aspektach niewiele się ono różni od tego wymiaru, a tych negatywnych praktycznie tam nie ma – uśmiechnął się. – No chyba, że tak jak ja, dasz się namówić pięknej i bardzo upartej kobiecie na odesłanie jej na ziemię.

Zamiast podziękować za komplement, Addela zaśmiała się panicznie. Pierwszy raz ktokolwiek prócz rodziców nazwał ją piękną! Szukała na twarzy Antona oznak, że tylko z niej drwi, ale on

wpatrywał się w nią wręcz z czułością. Już zamierzała zmienić temat na mniej krepujący, gdy nagle powozem szarpnęło z ogromną siłą. Kobieta wpadła na Antona, a ten w ostatniej chwili ją złapał, w przeciwnym wypadku skończyłaby na podłodze. Posadził ją pomiędzy sobą a ścianą i z całych sił osłonił ramionami. Wszystko się trzęsło, a pojazd przechylił się gwałtownie na lewą stronę. Drewno trzeszczało, jakby za chwilę całość miała popękać. Nastąpiło jedno gwałtowne uderzenie, potem drugie i powóz się zatrzymał.

Addeli świszczało w uszach, a łokieć, na którym leżała, bolał niemiłosiernie.

– Nic ci nie jest? – wysapał Anton, nadal ją osłaniając.

– Chyba... chyba nic – odparła, sama nie będąc pewna tego, co mówi.

Czuła, jak serce jej wali, a w głowie huczy. Była przerażona i zdezorientowana. Nie miała pojęcia, co się właśnie stało. Ból w łokciu przypominał jednak, że prawdopodobnie żyła.

Nagle usłyszeli pośpieszne kroki.

– Panienko! Panienko! – Przerażony stangret podbiegł do powozu.

– Nic nam nie jest! Spróbuj otworzyć drzwiczki, które są teraz na górze – polecił Anton.

Znowu usłyszeli kroki i skrzypienie desek, gdy mężczyzna najprawdopodobniej wspiał się na przewrócony pojazd. Przez moment nic się nie działo. Nagle drzwi gwałtownie się uniosły i odsłoniły szare niebo nad nimi, a po chwili w otworze ukazała się głowa stangreta.

– Wyciągnę panienkę. Niech mi panienka poda rękę – powiedział mężczyzna, po czym wsunął obie dłonie w otwór.

– Nie dasz rady. Jestem zbyt wielka – załkała kobieta.

Anton, którego twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od twarzy Addeli, rzekł z powagą:

– Powinnaś spojrzeć na siebie moimi oczami...

Arystokratka chciała opuścić wzrok, lecz nie potrafiła zrezygnować z takiego magicznego momentu.

– Dasz radę. W pierwszej kolejności musisz wstać. Później cię podsadzę, a John cię wciągnie.

Wiara, jaką w niej zasiał, wypełniła ją cichą pewnością. Skinęła głową.

Anton się przesunął, po czym podał jej ramię, by się na nim wsparła. Zaledwie chwilę później była już w pozycji pionowej, mimo bólu. Mogła nawet wyjrzeć przez otwarte drzwiczki powozu. Odległości były znacznie mniejsze, niż jeszcze chwilę temu jej się wydawało.

– Nie musisz mnie podsadzać. Spokojnie dam radę. Tylko przechowaj to – poprosiła kobieta i podała urzędnikowi kopertę ukrytą pod suknią.

Wyglądał na zaskoczonego, choć o nic nie pytał, za co była mu wdzięczna. Oparła jedną stopę o drewniane poręcze i wybiła się do góry. Co prawda wtaczana na szczyt czuła się jak głaz, ale po dłuższej chwili siedziała na brzegu wozu, z nogami opuszczonymi na krawędzi. John pomógł jej zeskoczyć. Gdy poczuła grunt pod nogami, miała ochotę ucałować ziemię. Chwilę później ujrzała Antona.

– Co się stało? – zwrócił się do stangreta urzędnik.

Mężczyzna wyglądał na przestraszonego.

– Nie wiem, szanowny panie. W jednej chwili wszystko było normalnie, a potem pękły lejce i szprychy w kole, a koń się spłoszył i stanął dęba. – Wskazał na zwierzę, kręcące się niedaleko na łące. – Potem nagle zerwał się do biegu i pociągnął nas za sobą. Ja zeskoczyłem i biegłem dalej za powozem, który po chwili się przewrócił. Myślałem... – opowiadał drżącym głosem, gdy spozjrzał na swoją pracodawczynię.

– Nic mi się nie stało – odparła arystokratka i pomyślała, że kiedyś najpewniej straszylaby go obniżeniem pensji.

– Obejrzyjmy zniszczenia – zaproponował Anton, po czym oddał Addeli kopertę i cała trójka ruszyła, by przyjrzeć się przednim kołom.

Kobieta nawet nie próbowała udawać, że ją to interesuje. To nie były sprawy, w których miałyby cokolwiek do powiedzenia. Mężczyźni jednak niczym detektywi kręcili się wokół, to zaglądając pod wóz, to z kolei oglądając koła. W pewnym momencie Anton ruszył w kierunku gniadego konia, by po chwili przyprowadzić go do zebranych.

– Spójrzcie, na moje oko lejce zostały lekko przecięte. – Podał im przedmiot na wysokość oczu, a oni spoglądali z zaciekawieniem.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś celowo próbował uszkodzić powóz? – zapytała z niedowierzaniem Addela. – Była to pierwsza myśl, jaka przyszła arystokratce do głowy.

– Tak, prawe koło wydaje się być odkręcone, ale tego nie mogę stwierdzić na pewno, gdyż uległo sporemu zniszczeniu.

– Panienko, to nie ja! – wykrzyknął nagle woźnica. – Ja nigdy, ale to nigdy, nie skrzywdziłbym panienki! Ja pamiętam panienkę, jak jeszcze była malutka jak szczypiorek. Ja nigdy... – W oczach mężczyzny błyszczały łzy.

– Spokojnie, John, nie podejrzewam ciebie. Sam mogłeś przecież zginąć – starała się uspokoić woźnicę. – Najwyżej potrącę ci parę funtów z wypłaty – oznajmiła, po czym puściła do niego oczko.

Była tak samo zaskoczona swoim zachowaniem jak on. Po chwili jednak oboje uśmiechnęli się szczerze, by już w kolejnej sekundzie śmiać się na całe gardło. Tego typu ostrzeżenia były codziennością dla służby Addeli. I choć nigdy nie wprowadziła swoich gróźb w czyn, to też nigdy się z nich tak nie śmiała. „Może rzeczywiście zwariowałam”, pomyślała.

– No to pewne kwestie mamy wyjaśnione – oznajmił Anton, po czym dodał: – Jesteśmy zaledwie kilometr od rezydencji. John, ty weź konia i jedź po pomoc, a my powoli ruszamy w stronę domu.

Woźnica spojrział jeszcze na Addelę, szukając u niej potwierdzenia, a kiedy skinęła głową na zgodę, natychmiast wsiadł na konia i pogalopował w stronę rezydencji.

– Jak się czujesz? – zapytał Anton, podając jej ramię.

– Stłukłam sobie łokieć, ale poza tym nic mi nie jest – stwierdziła. – To kolejna próba morderstwa, prawda? – Postanowiła zadać pytanie, które i tak wciąż wisiało w powietrzu.

– Myślę, że tak. – odparł. – To jednak zawęży nam nieco grono podejrzanych.

– Jak to?

– Osoba, która przecięła lejce, musiała wiedzieć, że zamierzasz dziś wyruszyć powozem – oznajmił.

Addela zastanowiła się przez chwilę.

– Ciotka i wuj wiedzieli. Zdążyliby to zrobić – odparła. – Ale mecenas i lekarz również się mnie dziś spodziewali.



Najprawdopodobniej albo dotarły do nich plotki o naszych zaręczynach, albo... ktoś z rezydencji ich powiadomił. – Nie podobała się jej, wcale a wcale, taka myśl, ale niestety to mogła być prawda – Ofelia również może mieć swojego człowieka wśród twojej służby – zastanawiał się Anton. – Dzisiaj mam z nią spotkanie. Pojadę do niej konno, tylko musisz mi rozrysować drogę.

– Z łatwością tam trafisz. To następna rezydencja obok naszej, na wschód – oznajmiła. – A co do służby, cóż, na przykład ogrodnik pracuje zarówno dla mnie, jak i dla niej – dodała.

– Hmm, to komplikuje nasze śledztwo. – Anton potarł dłonią brodę. – A jak poszło dochodzenie u doktora Meringa? – zapytał. – No i cóż to za tajemnicza koperta?

– Ukradłam moją kartotekę z jego szuflady – oznajmiła.

Anton aż przystanął, więc ona również musiała... Spojrzała na niego zaskoczona.

– Ukradłaś? – zapytał, śmiejąc się pod nosem.

– Właściwie to tak. – Chyba rzeczywiście teraz uświadomiła sobie, co zrobiła.

– No proszę, proszę... z panienką nie ma żartów – oznajmił Anton.

Miała wrażenie, że usłyszała podziw w jego głosie, więc zaczęła mu opowiadać, czego jeszcze dowiedziała się o swoich lekach. Pominęła jednak informację o trzech białych pigułkach trzymających ją „w rzeczywistości”.

Krajobraz powoli się zmieniał. Zaczęło się pojawiać coraz więcej drzew, a gdy dotarli na szczyt ścieżki, zobaczyli rezydencję Addeli.

– Spójrz na wschód – poprosiła. – Widać tam dom Ofelii. Jesteśmy sąsiadkami.

Anton pokiwał głową.

– Może wybiorę się na piechotę – zastanawiał się, kobieta jednak już go nie słuchała.

– Zapomniałam, jak tu pięknie. Od lat mnie tu nie było – powiedziała, choć doskonale wiedziała, ile lat już żyła zamknięta się we wnętrzach rezydencji. Osiem. Tyle, ile minęło od śmierci jej rodziców.

Ruszyli ścieżką w dół. W połowie drogi spotkali powóz, który wyruszył, by dowieźć ich do domu. Zdecydowali jednak, że wrócą na nogach, a woźnica powinien pojechać na miejsce wypadku i zabrać do rezydencji cenniejsze rzeczy. Domyślali się, że powozu już nie da się naprawić.

Gdy weszli do korytarza, natychmiast usłyszeli skrzeczący głos Felicji:

– Matko Święta! Kluseczko! Tak się bałam! – Owinęła Addelę ramionami niczym ośmiornica, a głowa dziewczyny wpadła pomiędzy ogromne piersi cioci.

Felicja nadal lamentowała, a jej siostrzenica zaczynała tracić oddech. Gdy już miała odepchnąć się od ciotki, ta nareszcie ją wypuściła i tlen znów miał szansę dotrzeć do jej płuc. Rozkaszła się natychmiast.

– Niepotrzebnie jechałaś, niepotrzebnie... Twój narzeczony – ciotka wypuła stwierdzenie z obrzydzeniem – powinien mieć świadomość, że jesteś taka krucha, a twoje zdrowie...

– Przestań ciociu! – krzyknęła Addela. W pierwszym odruchu chciała przeprosić, ale ostatnie wydarzenia dały jej nową siłę. – Wcale nie jestem krucha, a moje zdrowie jest w najlepszym porządku. Z kolei Anton, choć krótko, zna mnie znacznie lepiej niż ty!

Starsza kobieta zbladła, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy. Zaczęła ciężko dyszeć. Addela przez moment miała wrażenie, że zamierza uderzyć ją w twarz, po chwili jednak otwarta dłoń ciotki zacisnęła się w pięść.

– Naturalnie. Masz rację. Jak sama wspomniałaś, jesteś już dorosła. Nie powinnaś się przejmować starą ciocią, która kocha cię najbardziej na świecie i martwi się, by nic ci się nie stało – odrzekła Felicja i palcem wskazującym otarła łzę.

– Ciociu, to nie tak... – Wyrzuty sumienia dopadły dziewczynę niczym sępy, chcąc rozerwać ją na kawałki. – Ja nie jestem już małą dziewczynką, która... – Nie zdążyła jednak skończyć, bo za jej plecami rozległ się dzwonek do drzwi.

Anton, nie czekając na kamerdynera, otworzył drzwi.

– Panna Ofelia Black przysłała powóz po pana Antona – oznajmił nieznany mężczyzna.

Wszyscy zamarli, a ciotce natychmiast wróciły rumieńce. „Narzeczonego” nieco zdezorientowany odwrócił się do kobiet. Po chwili jednak odzyskał rezon. Jako że nadal miał na sobie podróżny płaszcz, oznajmił:

– No to jadę! Spotkamy się wieczorem, moja kochana – oznajmił, po czym pocałował dłoń przyjaciółki, puścił do niej oczko i wyszedł w zapadający zmrok.

Addela stała tyłem do Felicji i zastanawiała się, czy może by już tak przestać unikać trudnych pytań. Niestety, gdy człowiek odwraca się od problemów, te potrafią rozbrzmiewać wokół i tak też się stało w tym przypadku:

– Czy wyjaśnisz mi, dlaczego twój narzeczonego spotyka się wieczorami z twoim największym wrogiem? – Głos ciotki brzmiał twardo.

Dziewczyna westchnęła i się odwróciła, jednak to nie wzburzona mina Felicji ją zaniepokoiła, a spojrzenie Gustawa, który właśnie wyszedł z kuchni. A ona musiała przyznać przed samą sobą, że dostrzegła w nim coś, czego nie potrafiła nazwać.

MARTA PAWLIK

Z wykształcenia archeolog, z zawodu linergistka. Na co dzień pracuje z pacjentkami onkologicznymi, pomagając im wracać do normalności po leczeniu chemioterapią i mastektomii. Prywatnie mama 17-letniej Oliwii, i to dla córki pisze od dziesięciu lat powieści oraz opowiadania, które rosną wraz z nią. Do tej pory trafiły jedynie do szuflady, ale niczym nocne stwory powoli z niej wychodzą.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: [maki_papierowe](#)

REKA TENEROSA

REDAKCJA: NATALIA REWERS-KASPROWICZ

KOREKTA JĘZYKOWA I TECHNICZNA: JOLANTA SYDOR RODRIGUES

– A to jest gwiazdozbiór Hadrún. – Posłaniec zakręcił dłonią podwójną pętlę w powietrzu.

Trójka młodych Raskunów, zgromadzona wokół niego, podążyła wzrokiem za śladem narysowanym na niebie. Niewidzialny wzór łączył gwiazdy na nocnym firmamencie.

– To jest pasmo górskie, gdzie Teneros doznał trzeciej wizji! – dopowiedział Sargaki, najstarszy z trójki Raskunów. Uniósł ciemną, kosmatą, czteropalczystą dłoń i spróbował odtworzyć po Posłańcu schemat.

Przybysz przytaknął, spodziewał się takiej odpowiedzi, oznaczało to, że legenda Tenerosa zakiełkowała chłopakowi w głowie.

– Jednak bacznie obserwujcie gwiazdy – kontynuował Posłaniec. – Tam dzieje się więcej niż można przypuszczać. Ta jedna... – Wskazała na samotną, świetlistą kropkę na niebie, tuż obok gwiazdozbioru. – Nie należy do Hadrunu. To wędrująca gwiazda. Za rok, gdy będziecie jej szukać, znajdzie się w innym miejscu. To Fisya, której los splótł się z Tenerosem właśnie tam, w Hadrunie.

– Dlaczego ona się rusza? – spytał Zankrr, drugi Raskun, mniejszy, mocniej przygarbiony, bardziej ciekawy świata. Wzbudzał w Posłańcu niepokój za każdym razem, gdy zamiast pytać o Tenerosa, chciał wiedzieć więcej o otaczającym ich świecie. Przewrócił oczami, czego młody Raskun nie mógł zobaczyć w pustych, zaciemnionych oczodołach maski.

– Gwiazdy... – próbował wybrnąć Posłaniec – nie są stałe. Gdy Teneros stał się z Pożeraczem Świata, jego ostatni cios był tak potężny, że poruszył firmament. – Westchnął głośno. Zmyślił tę część, naginając ją do eposu. Nie mógł też

wprost wytłumaczyć, że to nie gwiazda, tylko planeta, bo Zankrr stałby się bardziej dociekliwy. Odległy świat fascynował, choć nie do końca powinien. Nie ich. Nie teraz.

Trójka Raskunów jeszcze uważniej wlepiła wzrok w rozgwieżdżone niebo. W żółtych oczach przeciętych pionowymi, wąskimi źrenicami, odbijały się miriady gwiazd, tworzące widoczny, jaśniejszy pas ramienia galaktyki. Raskunowie nazywali to Ostatnią Ścieżką Tenerosa do Świata Spokoju.

Posłaniec wstał i dał młodym osobnikom jeszcze nasycić się szerokim, nieskazitelnie czystym niebem, rozświetlonym tysiącami punktów. Wzory, kształty i konstelacje – to było najważniejsze – przesłanie malowane nie ręką, lecz wiarą i opowieściami.

Wyciągnął przed siebie nogi, wygiął się w tył rozprostowując kości. Od kilkugodzinnego siedzenia na twardym i zimnym kamieniu mięśnie dawały już o sobie znać.

Na tle nocnego nieba majaczyła skała niepasująca zarysem do reszty. Ciemny kontur jawił się jako postrzępiona, pełna ostrych krawędzi i niespokojnych linii sylwetka. Raskunowie pozostali zapatrzeni niebo. Pomrukiwali pomiędzy sobą, lecz nie słyszał o czym dokładnie.

Posłaniec przykleknął i wymacał u podstawy skały półkoliste wyżłobienie. W tej kompletnej ciemności musiał jakoś sobie poradzić. Włożył palce w rękaw i nastąpiło kliknięcie w jego dłoni. Na chwilę zalśniły iskry. W krótkim przeblasku dostrzegł w misie kupkę suchych źdźbeł trawy. Wypuścił głośno powietrze, gdy wszystko zgasło.

Kliknięcie. I kolejny jarzący się snop iskier spadł na ususzoną trawę, tym razem wzniecając

ogień. Żar błyskawicznie objął całe naczynie, a potem przenikliwą ciszę wypełniło trzaskanie rozpalanego chrustu. Gdy płomień wzniecił się, palenisko zaczęło rozświetlać najbliższą okolicę.

Posłaniec cofnął się o krok i spojrział zmęczonym wzrokiem na wylaniający się z mroku posąg. Pomarańczowe ogniki zatańczyły, podkreślając wątłym światłem wszystkie rzeźbienia.

Teneros – bóg urodzaju. Jego wykuta twarz była niedokładną wariacją raskuńskich rysów. Jedną czteropalczystą dłonią obejmował swoją kochankę, Fisyę, a drugą trzymał włócznie wbity w gardło Pożeracza Światła – pokracznej kreatury trzymającej w swej uzębionej paszczy kulę symbolizującą słońce.

Przy pomocy grubszej gałęzi Posłaniec przeniósł żar do dwóch mniejszych mis na obrzeżach paleniska, ustawionych na krzywych glinianych kolumnkach. Usypane w naczyniach, ususzone i zmielone, zioła błyskawicznie zajęły się

ogniem i buchnął gęsty, biały dym. Powietrze wypełnił słodko-gorzki aromat.

Dwójka Raskunów przybiegła zwabiona światłem i zapachem, ale jeden nadal siedział na skale i obserwował niebo.

– Zankrr! – warknął Posłaniec.

Raskun zerwał się. W mroku jego fluorescencyjne białka oczu zatańczyły krzywy taniec i zgrabnie dogonił pozostałych.

Wkroczyli w krąg światła przed posągiem Tenerosa. Przygarbione, dwunożne istoty, pokryte niemal czarnym, rzadkim futrem ustały się w szeregu.

– Na zakończenie dnia, zgodnie z tym, co winni wam przekazać członkowie plemina, będziecie modlić się o jedną rzecz, którą Teneros będzie mógł was obdarować – oznajmił Posłaniec. – Jest was troje, dokładnie tyle, ile wizji miał Teneros.

– Czy możemy prosić o wszystko? – spytała milcząca dotąd Ganira.

Wielkie czyny. Wizje profetyczne t.3



Autor: Emma Popik

Wydawnictwo: OdeSFa

Oprawa: miękka

Gatunek:

Gdzie kupić? [Wydawnictwo OdeSFa](#)

Daleka przyszłość. Podróże kosmiczne stały się rutyną, paliwo nie stanowi problemu, ludzkość kolonizuje nowe światy i tworzy nowe społeczeństwa ze sztucznie powołanych do życia istot.

Krysten, licencjonowany pilot kosmiczny, pomimo wszechpanującej demokratyzacji i polityki równościowej, nie potrafi się jednak uwolnić od wyższościowej dumy z bycia „prawdziwym” człowiekiem i protekcjonalizmu wobec „niższych” form.

Pewnego dnia ludzkość jednak spotyka Obcych, uważających cywilizację kosmicznego człowieka za żalostną, a samych ludzi za szkodliwych barbarzyńców. Krysten nagle musi postawić się w zupełnie nowej roli. Za przyzwoleniem Obcych, przerażony i zdezorientowany trafia do miejsca, którego istnienia nikt by się nie spodziewał i którego reguł zupełnie nie rozumie.

Kogo spotka Krysten? Czy odnajdzie swoje miejsce w nowych okolicznościach? Komu potrzebne są tytułowe wielkie czyny?

Przybysz skierował w jej stronę swoje puste spojrzenie, skryte za maską przypominającą czaszkę drapieźnika. Poprawił kaptur czteropalczystymi dłońmi, owiniętymi w paski skóry.

– O jedną rzecz – powtórzył. – Dla siebie lub dla kogoś. Wasze prośby muszą być świadome i szczerze. Pamiętajcie, że pewnego dnia wasz wódz uzna was za pełnoprawnych członków plemina, o ile przedstawicie mu dary Tenerosa. Czy jesteście gotowi?

Raskunowie szeroko rozwarli oczy i przytaknęli.

– Sargaki, ty pierwszy – nakazał Posłaniec.

Młodzik wystąpił przed szereg, wyprostował się. Sięgał przybyszowi nieco powyżej pasa. Stał na środku okręgu, przed paleniskiem. Jego pazurzaste stopy wbijały się głęboko w rdzawy pył. Potem padł na kolana i skrył twarz w wydłużonych dłoniach.

– O, potężny Tenerosie! – Unosił się i kłaniał ponownie. – Jako twój przyszły, wierny sługa i członek plemina, dziękuję ci za to, że chronisz nas przed głodem. W swej pierwszej wizji dostrzegłeś głód i pustkę. Wielbię cię za źródło, które otworzyłeś ze skał, dające życiodajną wodę, przyciągającą zwierzynę. Chcę cię prosić, byś obdarzył mnie słuchem, którego pozazdroszą mi inni łowcy, bym mógł utrzymać moje plemię z dala od głodu.

Na zakończenie modlitwy Sargaki wziął w obie dłonie garście rdzawego pyłu i posypał sobie po głowie. Wstał i wrócił do szeregu.

Następna już się wrywała Ganira. Od chłopaków odróżniały ją smuklejsze kształty, węższa szczeka i wydłużone powieki. W jej szklistych oczach odbijały się tańczące, pomarańczowe płomienie z paleniska.

Posłaniec zaprosił ją gestem dłoni. Padła na ziemię, dokładnie w tym samym miejscu, co Sargaki.

– Wszchemocny Tenerosie! – zagrzmiała charczącym, raskuńskim głosem. – Stojąc nad przepaścią, doznałeś wizji chmury robactwa przetaczającej się przez nasz świat. Wiemy, że

choroby są nieuniknione. Jednak ręka Fisyi, twej partnerki, ma prawdziwą moc uzdrawiania. Zjednoczyłeś się z nią, by stawić czoła zarazom tego świata. Proszę ciebie i Fisyę, by moja matka, pogrążona w chorobie, mogła wrócić do zdrowia, a będziemy ci wiernymi służkami do końca naszych dni.

Jak przystało na żeńskie osobniki, jedną dłonią – nie dwiema – sypnęła spod siebie pył na głowę. Wstała i ukloniła się głęboko. Posłaniec zauważył, jak w jej oczach wzbierają łzy. Stała w szeregu, na równi z Sargakim i Zankrrem. Drżała. Mięśnie pod jej powiekami wibrowały niespokojnie. Lecz była twarda. Jej modlitwa płynęła tak głęboko z serca, że ten ból niemal wypełniał goryczą powietrze.

Gdy po dłuższej ciszy Zankrr drgnął, by wystąpić z szeregu, Posłaniec niespokojnie się poruszył. Ich spojrzenia się spotkały. Żrenice Raskuna zwęziły się, gdy dostrzegły zionące pustką oczodoły maski przybysza.

Zankrr dotarł na miejsce, przyklęknął.

– O, Tenerosie! – wydobył z siebie niespokojnym głosem. – Ty widziałeś mrok i jego konsekwencje. Wygasanie świata. Ty pokonałeś potężnego Pożeracza Światła, przywracając równowagę we wszechświecie. – Odchrząknął. – Daj mi światło. Daj mi prawdę o naszym świecie. Chcę poznać w całości obce światy, jeżeli istnieją.

– Jesteś tego pewien?! – wtrącił się Posłaniec, przestępując z nogi na nogę. Pozostali Raskunowie wzdrygnęli się, zerkając z ukosa w stronę przybysza.

– Tak, jestem pewien – odparł Zankrr, biorąc pył w obie dłonie i następnie posypując nim czoło.

Posłaniec zamilkł. Wykonał jedynie rytualny gest, zamykający sesję modlitw i prośb. Gdyby Teneros mógł przemówić... Lecz jego posąg nawet nie patrzył na środek modlitewnego kręgu. Wzrok miał skierowany tuż nad linię horyzontu, tak jak podczas każdej wizji, by dostrzegać jak najwięcej.

– Wasze modlitwy zostały skierowane do Tenerosa. Szepty boga obfitości i urodzaju już się niosą tam, gdzie wzrok nie sięga – oznajmił Posłaniec i uklonił się głęboko. – Zakończyliście całą ścieżkę Tenerosa. Możecie teraz, tak jak on, udać się do Świata Spokoju.

Raskunowie się rozluźnili.

Przybysz pogonił ich w stronę wąskiej ścieżki wydeptanej pomiędzy ostrymi, szczybatymi skałkami. Bez słowa ruszyli w kierunku wioski.

Ten dzień był jednym z najważniejszych. Odbycie całej podróży śladami boga urodzaju zaczynało się o świcie. W plemienu panował zwyczaj, by tego dnia wstrzymać się od jedzenia, aby z czystym ciałem i umysłem przebyć drogę boga. Mogli tylko posiłkować się skistymi liśćmi, pozbawionymi walorów smakowych, ale zaspokajającymi głód.

Raskunowie powłóczyli chudymi nogami. Pazurzaste stopy wbijały się w pył, bezgłośnie rozsypując go dookoła przy każdym kroku.

Kręta ścieżka oplatała pobliskie wzgórze. Gdy dotarli na szczyt, w świetle gwiazd nocnego nieba ukazała się szeroka rozpadlina pośrodku równiny ciągnącej się po granice horyzontu. Kanion wypełniały liczne stoliwa, oddzielone wąskimi graniami i zapadliskami. A na szczycie najbliższego z nich mieściła się wioska. Kilkadziesiąt chat – okrytych wygarbowanymi i wypłowiałymi skórami rozwieszonymi na czerniejących, grubych kościach – zgromadzonych wokół ogromnej, skalnej misy z klarowną wodą.

Raskunowie ześlizgnęli się po stromych zboczach, by zaraz znaleźć się u stóp wzniesienia, na którym rozpościerała się wioska. Musieli jeszcze tylko dostać się na górę po chaotycznie skleconych balach, z wyschniętego, srebrzystego drewna, stanowiących jedyne wejście i utrudniające dostęp drapieżnikom.

Ku zaskoczeniu Posłańca Raskunowie zgrabnie wdrapali się na górę, jakby cały dzień nie odjął im ani trochę sił. Przybysz również wspiął się, ale nie tak zwinnie. Na szczycie trójka młodych zgodnie odwróciła się do przybysza.

– Dziękujemy ci, Posłańcu – wypalił Sargaki. Jego głos urywał się ze zmęczenia.

– Niech Teneros ma was w swojej opiece – odpowiedział, rozkładając czteropalczone dłonie i unosząc je ponad głowę. – Moja misja dobiegła dziś końca, a Świat Spokoju czeka na was z otwartymi ramionami.

Raskunowie rozpierzchli się i zniknęli pomiędzy chatami.

W wiosce panowała przyjemna cisza. Reszta mieszkańców od dawna spała. Świat Spokoju był miejscem, gdzie świadomość odpływała każdej nocy – nie był ani piekłem, ani rajem, lecz przystanią dla każdego strudzonego Raskuna, by następnego dnia mógł w pełni sił ruszyć na nieprzyjemne pustkowia. Jedyne Teneros pozostał w tym Świecie na zawsze, odpoczywając po zbawieniu świata.

Wykończony Posłaniec skierował się w stronę zbiornika wodnego położonego pośrodku zarówno wzniesienia, jak i wioski. Gdy poczuł przyjemny chłód bijący z sadzawki, przysiadł na brzegu. Chętnie zanurzyłby się i zmył całe zmęczenie i brud, lecz źródło, które wybiło spod ręki Tenerosa, było miejscem niemal świętym, a woda towarem deficytowym. Raskunowie mogli ją pić, lecz nie więcej niż osiem łyków w ciągu dnia. Ale nie mogli się w niej kąpać. Do tego służył oddalony o parę godzin drogi strumień.

Posłaniec spojrział w gwiazdy. Mimo że co roku tłumaczył konstelacje, tym razem wyjątkowo zapomniał o cyklicznej wędrówce planety po nieboskłonie. Czy to zmęczenie, czy inne sprawy zaprzątające jego głowę?

Błądził myślami nie wiadomo gdzie, przed oczami malowały się niewyraźne, szczytkowe, niepotrafiące skryształizować się obrazy. Jego umysł też już był na skraju wyczerpania, a do tego zachowanie Zankrra nie dawało mu spokoju.

Siedział wyjątkowo długo nad brzegiem zbiornika. Ociężale wstał i uważnie wsłuchał się w otoczenie, lecz cała raskuńska wioska twardo spała, z wyjątkiem paru łowców wysłanych na nocne polowania.

Spod płaszcza wygrzebał niedużą, skórzaną, zmatowiałą torbę. Ostatni raz upewnił się, że żaden Raskun nie kręci się po wiosce.

Tanecznym, acz ociążałym krokiem wyminął domostwa, aż znalazł się przy tym wybranym. Na bocznej ścianie widniała niezdarne zaszyta bruzda. Posłaniec wiedział dokładnie, gdzie każdy Raskun mieszka. Dosłownie każdy. Znał całą wspólnotę na wylot. Nasłuchiwał, nieruchomo stojąc przy namiocie. Potrzebował dłuższej chwili, by dosłyszeć miarowe oddechy i rozpoznać je wszystkie. Trzy. Tyle naliczył, to się zgadzało.

Ostrożnie postawił krok i bezszelestnie odchylił poję wejścia. Wewnątrz, pod ścianą drzewa dorosła samica i wtulone w nią dziecko. Jej tułów unosił się z każdym powolnym oddechem. Maleństwo, przytulone twarzą do jej brzucha, dygotało uszkami. Brakowało tylko dorosłego samca i jego włócznie, więc musiał polować na równinie. A w nogach matki spał Sargaki. Tak jak Posłaniec myślał, chłopak padł po całym dniu. Wszyscy padają. Co roku.

Przybysz włożył ostrożnie dłoń do torby i zaczął wymacywać palcami przedmioty. Pokiwał na boki głową, wmawiając sobie, że mógł się przygotować wcześniej. Długie, krótkie, zimne i kanciaste skarby – miał ich dużo, lecz interesował go ten jeden, zakrzywiony.

Wyciągnął wygładzone i wygięte w literę „S” drewno z wydrążonymi dziurkami. Kilium – instrument z włożoną pustą kością. Gdy Sargaki nauczy się na nim grać, jego słuch zmieni się nie do poznania. Będzie wylapywać drobne tony w otoczeniu, niesłyszalne dla przeciętnego Raskuna, a to zmieni go w prawdziwego myśliwego, zabójcę tropiącego słuchem i sprytem, nie tylko siłą.

Położył kilium bardzo powoli i ostrożnie u stóp Sargakiego, nie

chcąc zbudzić malucha. Wstrzymał oddech. Dłonie mu drżały. Gdy instrument spoczął na ziemi, Posłaniec się wycofał. Niespokojnym krokiem oddalił się od domostwa, powłócząc nogami przez gęstwinę skórzanych namiotów. Dopiero wtedy odetchnął z ulgą.

Nerwowo i niezdarne zaczął szperać w torbie w poszukiwaniu następnego przedmiotu. Wołałby nie ryzykować jeszcze bardziej, choć i tak teraz będzie musiał. Znalazł to, co chciał.

Domostwo Ganiry mieściło się na przeciwnym krańcu wioski i nie bez powodu. Świadczyły o tym sznurki z nawleczonymi bladymi kłami i kolorowymi koralikami. W ten symboliczny sposób zmarła głowa rodziny pozostawała w swoim domostwie. Ojciec małej Raskunki przed paroma miesiącami, podczas polowania, spadł z klifu. Raskuńska kultura wymagała, by



samotne i niezwiązane z drugą połową osobniki zamieszkiwały jak najdalej od stawu pośrodku wioski.

Posłaniec stanął przed domem. Zerwał się lekki podmuch wiatru, muskający zwisający nad wejściem przyozdobiony sznurek. Zawieszane na nim zęby i paciorki zabrzączały melodyjnie, objijając się o masywną kość konstrukcji.

Przybysz nie chciał czekać. Wziął ozdobę w dłoń, uniósł ją i przewiesił przez fragment konstrukcji. Brzęczenie ustało niemal natychmiast i wtedy zerknął do środka.

Ganira zasnęła niemal w wejściu, leżąc na brzuchu, miała wykręconą głowę w bok i oddychała lekko charcząc. Nie ona była jednak teraz w jego kręgu zainteresowań. Jej matka spała spokojnie w drugim końcu namiotu, wciśnięta w skórzaną ścianę.

Początkowo Posłaniec próbował zrobić krok nad Ganirą, lecz szybko zrezygnował. To zbyt ryzykowne. Wycofał się.

Obszedł konstrukcję, aż znalazł się z tyłu, gdzie dostrzegł wyraźne wybrzuszenie – ledwo zauważalnie unoszące się i opadające. Matka Ganiry.

W dłoni Posłańca pojawił się cylindryczny przedmiot wypełniony fioletową cieczą. Drugą dłonią wyciągnął metalową igłę i przykręcił ją do reszty. Uniósł strzykawkę w górę, lekko nacisnął tłok, aż na końcu pojawiła się fioletowa kropelka.

Ostrożnie wymacał odpowiednie miejsce. Przebił się strzykawką przez skórzaną ścianę i wbił igłę w Raskunkę. Po drugiej stronie nastąpiło poruszenie, lecz Posłaniec jednostajnym, płynnym ruchem wycisnął całą zawartość.

Szybko zabrał strzykawkę i włożył do torby. Nerwowo rozejrzał się dookoła. Matka Ganiry zajęczała. Nie widział, co się dzieje w środku, ale domyślał się, że ból po nakłuciu i otrzymaniu antybiotyku będzie się utrzymywał do rana.

Na wszelki wypadek odsunął się ostrożnym krokiem i skrył za kolejnym domostwem. Czuł,

Boginiśka. Między siłą a wrażliwością



Autor: Aleksandra Gmyrek

Wydawnictwo: Moana, self-publishing

Oprawa: miękka

Formaty: druk, e-book

Gatunek: literatura piękna

Gdzie kupić? [Virtualo](https://www.virtualo.pl), www.nocnaredaktorka.com



Jak nazwać kobietę, która z jednej strony potrafi sama poukładać swoje życie, podejmować decyzje, zarabiać, działać i nie potrzebuje nikogo, żeby „dać sobie radę”... a z drugiej strony wciąż lubi bliskość, wsparcie, ciepło, obecność drugiego człowieka i nie udaje, że jest z kamienia?

Jak nazwać kobietę, która nie chce być ani „grzeczna i wygodna”, ani przesadnie twarda i odcinająca się od wszystkiego, tylko po prostu... sobą?

Gdzieś pomiędzy tymi wszystkimi definicjami, pomiędzy etykietkami, które świat tak chętnie przypina, a tym, co naprawdę czujesz w środku, pojawia się przestrzeń, której nikt wcześniej dobrze nie nazwał. I właśnie w tej przestrzeni rodzi się „Boginiśka”.

To brakujące słowo dla kobiety, która nie mieści się w schematach. Która nie chce wybierać między siłą a wrażliwością, niezależnością a potrzebą bliskości, rozumem a intuicją. Która przestaje dopasowywać się do gotowych ról i zaczyna tworzyć własną definicję siebie – na swoich zasadach.

jak cały lepi się od potu. Zakręciło mu się w głowie. Przykucnął, podparł czoło maski dłonią i wziął głęboki oddech.

Siedział skulony i nasłuchiwał.

Niespokojne ruchy matki musiały zbudzić Ganirę, bo teraz słyszał dwa charkliwe głosy dochodzące z ich domostwa. Na szczęście nie poniosły się dalej. Bywało, że rozdrażniona, zaszczepiona samica potrafiła w środku nocy postawić na nogi pół wioski. Raskunowie wciąż borykali się z pasożytami przenoszącymi rozmaite choroby. Żadne wywary plemiennych znachorów parzone z tutejszych ziół by sobie z tym nie poradziły.

Raskunki się uspokoiły. Posłaniec odetchnął. Zapewne wielkoduszna i empatyczna Ganira pocieszyła swoją matkę. Teraz wiedział, że może się oddalić.

Zostawiając za sobą obie samice, przemierzając pogrążoną we śnie wioskę, lecz czuł jakiś niewytłumaczalny ciężar spoczywający na jego barkach. I nie chodziło o skórzaną torbę wypełnioną przedmiotami.

Zankrr. Im bardziej Posłaniec zbliżał się do jego namiotu, tym bardziej nie chciał tu być. Kolejne kroki stawiał coraz mniej pewnie. Odpychały go inność i przewrotność Raskuna. Nikt wcześniej tego nie robił – on był pierwszym, który zaczął pytać o więcej. Plemienna codzienność, brud i pył pustkowi miały go ukształtować na łowcę zdolnego bez opamiętania tropić i polować – nie na wizjonera. Rozgwieżdżone niebo mogło w końcu przyciągnąć ciekawość któregoś z nich, ale według Posłańca nigdy nie było na to dobrej chwili.

Dotarł do domostwa ostatniego z młodych Raskunów. Uniósł głowę, kierując wzrok na gwiazdy. Tam czaił się świat o wiele gorszy, niż Zankrr mógłby sobie wyobrazić. Przybysz uwielbiał ten widok, choć był zdania, że z większą wiedzą wiąże się większa odpowiedzialność.

Nie spodziewał się słów Zankrra. Do końca modlitwy liczył, że Raskun zmieni zdanie. Od rana, gdy przechodzili przez całą drogę Tenerosa, wszystko obracało się wokół boga obfitości

i jego darów. Pustkowie nie wybaczało, Raskunowie mieli tego świadomość, a święci małżonkowie czuwali nad ich plemieniem. Zankrr nie wyróżniał się, dopiero po zajściu słońca ujawnił swe zainteresowanie nieboskłonem.

Posłaniec stał przed namiotem. Nawet wsunął rękę do torby, próbując znaleźć tam cokolwiek, co mogłoby pokrywać się z fascynacją i prośbą Zankrra. Nic jednak nie znalazł. Co miałby dać? Co pomoże mu sięgnąć gwiazd i nie będzie wyglądać jak przedmiot z obcej cywilizacji?

Pokręcił głową.

Nie, pomyślał. To osobny przypadek.

Ruszył sprawnym krokiem w stronę pokracznej drabiny, poprawiając pasek torby wrzynający się w ramię. Ostatni raz odwrócił głowę w stronę namiotu Zakrra.

Suche bale zatrzeszczały pod jego ciężarem. Stopa omsknęła mu się o wytarte, srebrzyste drewno, na szczęście asekuracyjnie złapał wystający korzeń i utrzymał równowagę.

Wspiął się na pobliskie wzgórze, ostatni raz rzucając okiem na raskuńską wioskę. Znał te wszystkie domostwa i nawet stąd, przy wątłym świetle gwiazd, potrafił rozpoznać te trzy, w których spały młode osobniki.

To był już koniec. Koniec ciężkiego dnia. Wróci tu za rok i potem znów policzy domostwa, a później Raskunowie, gdy go ujrzą, wyjdą mu naprzeciw orszakiem powitalnym. Obdarowani podziękują za włączenie w krąg pełnoprawnych członków plemienia. Pozostali złożą u jego stóp hojne plony rocznej pracy.

Najpóźniej do jutrzejszego wieczora, będzie wiedział, jaki los spotka Zankrra. Jeżeli nic się nie wydarzy, będzie pierwszym wyrzuconym z plemienia osobnikiem z tego pokolenia. Wzdrygnął się na samą myśl, że będzie musiał stanąć z nim twarzą w twarz.

Gdy oddalił się od wioski, ściągnął rękawice i wyprostował w obu dłoniach piąte palce, skrętnie ukrywane i zgięte przez cały dzień. Drżały niespokojnie. Przez wiele godzin niedokrwienia zsiniały, teraz nabierały purpurowej barwy. Czuł w nich elektryzujące mrowienie. Podwinął rękaw

i na ekranie bransolety dokładnie sprawdził informacje pogodowe. Niż kontynentalny przybędzie tu za trzydzieści siedem minut.

Pustkowie na planecie Adasid rozciągało się na setki kilometrów. Niewyobrażalne połacie suchego lądu spowite niekończącym się morzem rdzawego pyłu wprawiały w zdumienie, a raskuńska wioska pośrodku tej nicości stanowiła jedyną znaną w tych rejonach formę cywilizacji.

Jedyną... Żywą...

Gdy wdrapał się na rozległą wydmy, zobaczył to, czego Raskunowie woleliby nie widzieć. Ogromny kanciasty kształt, wbity głęboko w pył kompletnie nie pasował do tutejszego, niemal pustynnego obrazu. Posłaniec dobrze znał ten widok, stanowiący jedyną formę nawigacji na rozległych pustkowiach. Mijał go co roku i co roku przypominał sobie to samo.

Gdy kilkadziesiąt lat temu na Adasid dotarła wojna, wszystko się załamało. Upadły złożone ekosystemy i skomplikowane łańcuchy pokarmowe. Zmienił się klimat na planecie, gdzie surowce były drenowane do granic możliwości. A potem, gdy ludzie opuszczali ledwo dychającą Adasid, ktoś zainteresował się tym, co jeszcze ledwie żyło.

Ten wrak boleśnie o tym przypominał. Posłaniec stanął tuż przy rozłożystym skrzydle, zakończonym zardzewiałymi lufami dział, i wtedy coś go tknęło.

Zankrr musiał tu być. I próbował zrozumieć. A nawet gdyby nie chciał, pytania nasuwały się same. Raskunowie pamiętali o żelaznych demonach, które zjawiły się na niebie i wyrządziły im tyle krzywd.

Bransoleta na nadgarstku zabrzęczała. Posłaniec nerwowo spojrział, wyrwany z zamyślenia. Minuty dzieliły go od nadejścia niżu. Musiał się pospieszyć. Ściągnął maskę, otarł spoconą twarz. Ciężko oddychając, wdychał łapczywie resztki rzeńskiego powietrza.

To już tam, za skałą na wzgórzu.

Parę minut nie wystarczyło. Najpierw poczuł lekką bryzę muskającą pylastą równinę, ale zaraz gwałtowny podmuch wiatru uderzył z impetem,

jakby próbował ściągnąć z posłańca płaszcz. Mężczyzna złapał za ubranie z całych sił.

Ostatnie kroki stawiał nierówno i pokracznie. Wichura wciąż przybierała na sile. Doczłapał na szczyt piaszczystego wzgórza, zwieńczonego brunatną skałą. A zaraz za nią odnalazł swój statek. O wiele mniejszy niż mijany wrak, lecz wciąż spory.

Dobrnął do bocznych drzwi i wyciągnął spod płaszcza kartę dostępu. Pomachał przed panelem, aż zaświeciła się zielona dioda. Drzwi rozwarły się z sykiem, rozpychane siłownikami.

Przybysz, nie zwlekając, ściągnął najszybciej jak umiał wszystkie ubrania, wrzucił je bezceremonialnie i zamknął w ciemnozielonym kontenerze. Maskę odłożył na bok.

Skręcił w prawo i wcisnął się do niedużego, kwadratowego pomieszczenia. Wduśli przycisk i z sufitu niemal natychmiast trysnęły strużki zimnej wody. Wystawił język i brał łapczywie każdy łyk, obmywając jednocześnie ciało z rdzawego pyłu. Tego roku celowo zmienił fryzurę. Ostrzygł się krótko, by jego dość bujne i kręcone włosy przestały zbierać skarby i drobiazgi ze wszystkich planet. Domycie tego trwało dniami.

Dopiero po długim natrysku wymęczone mięśnie rozluźniły się, a oddech się uspokoił.

Gdy zmył cały brud i wytarł się syntetyczną tkaniną, orzeźwiony sięgnął po przygotowany wcześniej luźny i wygodny strój. Lubił tę szarą zieleń przyozdobioną doszywaniem czarnymi pasami. Poprawił rękawy. Wziął ze sobą maskę noszoną na twarzy cały dzień.

Przeszedł do kabiny pilota i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Za szybą wichura rozszalała się na dobre. Pył szurał o metalowy kadłub, smagając kokpit.

Przybysz odłożył maskę i uruchomił główny pulpity. Palce już rozpoczęły wędrówkę po klawiaturze – z wyjątkiem piątych, wciąż dochodzących do siebie po całym dniu.

Otworzył system meldunkowy. Robił tak co roku. I co roku zastanawiał się, kto siedzi po drugiej stronie monitora.

Misja zakończona sukcesem – napisał. – Troje Raskunów osiągnęło wiek dojrzały. Odnotowano zmniejszenie populacji o jednego osobnika. Jeden zakażony, podano antybiotyk. Zanotowano dziewięć nowych urodzeń. Meldujący: Joran, sektor Adasid.

Na odpowiedź nie musiał czekać długo.

Dziękuję, Joran. Czy odnotowano anomalie?

Krótką i lakoniczną odpowiedź, lecz tym razem Joran nie mógł odpowiedzieć tak, jak co roku, że nic nadzwyczajnego nie odnotował. Widział przed oczami Zankrra, patrzącego w niebo.

Palce zastygły nad klawiaturą i opadły po dłuższej chwili, by napisać wiadomość:

Jeden osobnik wyłamał się ze schematu. Pyta o prawdę, obserwuje gwiazdy, chce poznać kosmos. Czy mam podejmować jakies kroki?

Ostatnie zdanie napisał, przełykając ślinę. Nigdy, w swoim wieloletnim życiu nie spotkał się z czymś takim. Zawsze wszystko działało schematycznie, przewidywalnie aż do bólu.

Wlepił wzrok w ekran i migający kursor. Zastanawiał się, czy nie napisał za dużo?

Oczekiwanie na odpowiedź zmieniło się w jakąś niezrozumiałą pustkę w jego umyśle. Świszczący dźwięk ocierającego się o kadłub statku pyłu wprawiał Jorana w dziwny trans.

I wtedy na ekranie zaczęły pojawiać się kolejne słowa:

To naturalny etap. – Joran odetchnął z ulgą, czytając to zdanie. – Przekroczył założony plan o trzy kroki.

Co się z nim stanie? – odpisał mężczyzna. – Po zostawienie go może podburzyć całą populację.

Jutro zabierzesz go ze sobą. To standardowa procedura. Raskunowie nie mają jeszcze swojego przedstawiciela w galaktyce. Meldunek przyjęty, wracaj do bazy.

Joran przetarł oczy ze zdumienia. Przeczytał wiadomość kilkanaście razy, zanim do niego dotarł jej sens. Przytaknął i spojrzał na swoją maskę, przypominającą czaszkę pustynnego drapieznika.

– No, Tenerosie... – wypalił. – Ale się porobiło.

Gdy uruchamiał silniki, zabrzmiał basowy pomruk, a nieprzyjemne drżenie wypełniło cały kokpit. Joran pociągnął za wolant i statek się wzniosł. Potrzebował trochę czasu, by przebić się przez piaszczystą wichurę. A potem, gdy wszechobecny szum gwałtownie ustał, otwarło się przed nim spokojne, rozgwieżdżone niebo. Patrzył tam, gdzie Zankrr.

Badania były jednoznaczne i bezlitosne: społeczeństwa religijne miały większą wolę przetrwania gatunku. Teneros miał ich w swojej opiece.

Joran jeszcze raz pogładził dłonią swoją maskę.

JÓZEF ŚWISTAK

Józef Świstak Muzyk, kompozytor muzyki klasycznej i metalu progresywnego. Uwielbia science-fiction, w szczególności postapo, dystopie i upadające systemy. Na co dzień zajmuje się korporacyjnymi cyferkami i tabelkami. Poszukuje schematów w naszej rzeczywistości i nie omieszcza przelewać swoich myśli na papier czy w muzykę.

MIEJSCA W SIECI:

Facebook: <https://www.facebook.com/jozek.swistak.52>

Instagram: [jozef_swistak](https://www.instagram.com/jozef_swistak)



WILDPRINTS^{EU}
PRINT & PUBLISHING

TWOJA HISTORIA
TWOJA KSIĄZKA
TWOJE CZYTAŁNICTWO
MIE Drukujemy

Print on demand – sposób na wydanie książki bez ryzyka

<ul style="list-style-type: none">  Rozszerzone wydanie książki bez ryzyka: pełnego niesprzedanych egzemplarzy i rozprawy z wysokiej jakości  Minimalne ryzyko finansowe autora i elastyczne zarządzanie publikacją  Bardzo przyjazne dla środowiska – mniej nadruków, mniej odpadów 	<ul style="list-style-type: none">  Każdy egzemplarz powstaje dopiero po złożeniu zamówienia – bez konieczności inwestowania w duży nakład  Utrzymanie wysokich standardów jakości druku offsetowego z gwarancją powtarzalności  Czas realizacji zamówienia: zazwyczaj 3-3 dni robocze
--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------

 Nowoczesne wydawanie książek z Wildprints.eu

MIĘDZY NORMĄ A DECYZJĄ

O TYM, SKĄD NAPRAWDĘ BIORĄ SIĘ ZASADY SKŁADU W POLSKIEJ TYPOGRAFII

REDAKCJA: MAGDALENA SIRY
KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA
KOREKTA TECHNICZNA: KATARZYNA PYKA

W środowisku redaktorów i składaczy od lat krąży pojęcie „dyrektywy składu”, choć w rzeczywistości nie jest to dyrektywa w pełnym tego słowa znaczeniu. Termin ten bywa przywoływany – półżartem, półserio – jako zestaw zasad, których „należy przestrzegać”, choć rzadko kiedy ktoś potrafi wskazać jeden, konkretny dokument, który miałby je w pełni definiować. Mówimy tu więc o czymś, co realnie wpływa na sposób pracy, a jednocześnie pozostaje rozproszone, niejednoznaczne, częściowo odziedziczone po tradycji, częściowo wypracowane w praktyce.

Na przestrzeni lat pojawiła się próba uporządkowania tego obszaru w postaci dokumentu znanego jako „Polska norma. Zasady składania tekstów w języku polskim”, funkcjonującego pod potoczną nazwą norma.pl. To opracowanie bywa dziś traktowane jako najbliższe temu,



co można nazwać „rzeczywistym standardem”. Nie dlatego, że zostało ogólnie narzucone, lecz dlatego, że odpowiada na realną potrzebę spójności. Aby zrozumieć, dlaczego właśnie ten dokument zaczyna pełnić taką rolę, trzeba najpierw zobaczyć szerszy kontekst i zrozumieć, z czego składa się system zasad, którym posługujemy się na co dzień.

„Norma...” nie jest zbiorem porad ani luźnych obserwacji. Należy przyjąć, że jest to system, który pozwala podejmować decyzje w sposób

konsekwentny. W praktyce oznacza to przede wszystkim rozdzielenie poziomów, które wcześniej często się przenikały: tego, co należy do poprawności językowej, tego, co wynika z konwencji zapisu, oraz tego, co pozostaje w gestii decyzji redakcyjnej lub projektowej. To rozróżnienie okazuje się istotne, bo właśnie jego brak był przez lata źródłem wielu nieporozumień.

Choć powszechną praktyką jest to, że norma.pl jest przekazywana od składacza do składacza po prostu jako link prowadzący do jej treści (znajdziesz go na końcu artykułu), to podstawową rolę punktu odniesienia nadal pełnią przede wszystkim publikacje o charakterze podręcznikowym.

Najbardziej rozpoznawalną pozycją w omawianym temacie jest *Edycja tekstów* Adama Wolańskiego, która pomaga redaktorom i korektorom odpowiednio wykonywać swoje usługi. Jej znaczenie trudno przecenić – przez długi czas była (i nadal jest) jednym z nielicznych szeroko dostępnych opracowań, które w ogóle poruszały kwestie związane z przygotowaniem tekstu do publikacji. Jednocześnie jej charakter sprawia, że nie może być traktowana jako zamknięty system zasad typograficznych. To książka o redakcji tekstu w szerokim sensie: łączy zagadnienia językowe, edytorskie i w pewnym zakresie typograficzne, ale nie rozdziela ich w sposób jednoznaczny.

To właśnie ten brak jednoznaczności często powoduje różnego rodzaju napięcia. W praktyce wydawniczej książka Wolańskiego bywa uznawana za główny punkt odniesienia nawet w sprawach, które wykraczają poza jej rzeczywisty zakres. Tymczasem sama publikacja nie jest wolna od niespójności, a nawet – co bywa

podnoszone w środowisku – od błędów składu. Nie oznacza to, że należy ją odrzucić. Trzeba jednak czytać ją świadomie: jako zapis pewnej praktyki, a nie jako normę, która rozstrzyga wszystkie wątpliwości. Sama dość często korzystam z tej pozycji, mając jednak na uwadze to, że książka jest dla mnie głównie źródłem informacji redaktorsko-korektorskich, gdy jednak zajmuję się składem, jest mniej pomocna.

Odmienny od Wolańskiego porządek reprezentują książki poświęcone typografii jako projektowaniu. Na szczególną uwagę zasługuje *Typografia książki. Podręcznik projektanta* Michaela Mitchella i Susan Wightman, dostępna w Empiku czy na Allegro. Bardzo polecam tę pozycję jako punkt wyjścia dla początkujących składaczy. To obszerna księga, ale objaśnia wszystko naprawdę dokładnie i przejrzysto.



Źródło: <https://lubimyczytac.pl/ksiazka/158435/typografia-ksiazki-podrecznik-projektanta>

Punkt ciężkości przesuwają się tutaj wyraźnie z poprawności na odbiór. Autorzy nie zajmują się tym, czy zapis jest zgodny z normą językową, lecz poruszają kwestię funkcjonalności tekstu jako formy wizualnej. Analizują rytm kolumny, relacje między światłem a czernią, proporcje marginesów, wpływ kroju pisma na percepcję treści. To perspektywa niezbędna, ale działająca na innym poziomie niż norma.pl.

Zestawienie tych trzech źródeł – normy, podręcznika redakcji i opracowania typograficznego – pozwala zobaczyć coś istotnego: zasady składu nie tworzą jednorodnego systemu. Są wynikiem nakładania się różnych logik. Pierwsza z nich dotyczy poprawności zapisu i jest

związana z językiem. Druga dotyczy spójności redakcyjnej, czyli tego, czy tekst jako całość jest konsekwentny i czytelny. Trzecia wreszcie odnosi się do projektu – do tego, jak tekst wygląda i jak jest odbierany.

Problemy pojawiają się wtedy, gdy te poziomy zostają pomieszczone. Gdy decyzja projektowa zaczyna być traktowana jak norma językowa albo gdy zasada ortotypograficzna jest ignorowana w imię estetyki. Klasyczne przykłady takich napięć można znaleźć choćby w kwestiach justowania tekstu, wcięć akapitowych czy dzielenia wyrazów. W jednym ujęciu będą to zagadnienia poprawności, w innym – narzędzia kształtowania rytmu kolumny, jeszcze w innym – element tradycji wydawniczej związanej z konkretnym językiem.

Na tym tle norma.pl pełni funkcję porządkującą. Nie zastępuje ani refleksji redakcyjnej, ani myślenia projektowego, ale wyznacza granice, w których mogą się one swobodnie poruszać. To jej największa siła. Jednocześnie to również powód, dla którego coraz częściej jest traktowana jako główne źródło zasad polskiej typografii użytkowej. Jak dotąd nie została przekonująco podważona ani zastąpiona innym, równie spójnym opracowaniem. Stąd też nasuwa się myśl, że to właśnie ta norma powinna być głównym punktem odniesienia dla korektorów i składaczy.

Wniosek ten jednak nie zamyka dyskusji. Przeciwnie – otwiera ją na innym poziomie. Zamiast pytać, która książka „ma rację”, warto zacząć pytać, do jakiego rodzaju problemu dana zasada się odnosi. Czy chodzi o poprawność językową? O konsekwencję zapisu? O jakość odbioru wizualnego? Dopiero taka diagnoza pozwala świadomie dobrać właściwe narzędzie.

W tym sensie współczesna „dyrektywa składu” nie jest jednym dokumentem ani zbiorem sztywnych reguł. Jest raczej sposobem myślenia: świadomością, że tekst funkcjonuje jednocześnie jako struktura językowa i jako forma wizualna, a każda decyzja podejmowana w procesie redakcji i składu musi uwzględniać oba te wymiary.

Ostatecznie więc nie chodzi o to, by znaleźć jedno niepodważalne źródło. Chodzi o to, by umieć poruszać się między nimi – wiedzieć, kiedy które z nich powinno mieć głos decydujący.

Pozwoliłam sobie to uporządkować w formie list.

Norma jako system

Norma nie jest zbiorem wskazówek ani katalogiem dobrych praktyk. Jej siła opiera się na trzech filarach:

1. Rozdzieleniu poziomów decyzji

Norma odróżnia:

- reguły obowiązkowe,
- zalecenia,
- warianty dopuszczalne.

To pozwala uniknąć traktowania wszystkiego jako „jednej prawdy”.

2. Spójności systemowej

Zasady dotyczą wielu obszarów jednocześnie:

- interpunkcji,
- zapisu liczb,
- zapisu skrótów,
- znaków typograficznych,
- odstępów.

I – co bardzo ważne – są ze sobą powiązane.

3. Dostosowaniu do współczesności

Norma uwzględnia realia pracy:

- w składzie cyfrowym,
- w programach takich jak InDesign,
- przy automatyzacji procesów.

Wolański – między autorytetem a praktyką

Książka *Edycja tekstów* Adama Wolańskiego przez lata pełniła funkcję podstawowego punktu odniesienia dla redaktorów. Jej znaczenie pozostaje duże, ale jej rola bywa przeceniana.

Warto jasno powiedzieć, czym ta publikacja jest – a czym nie jest.

To kompendium redakcji tekstu, obejmujące:

- zagadnienia językowe,
- praktykę edytorską,
- elementy typografii.

To nie system normatywny typografii:

- nie rozdziela wyraźnie poziomów zasad,
- nie tworzy spójnego modelu decyzyjnego.

To opis praktyki, nie jej formalizacja:

- zawiera niespójności,
- zawiera błędy składu,
- bywa niekonsekwentna w przykładach.

To wszystko nie przekreśla wartości tej pozycji, ale jasno określa jej miejsce: jest źródłem pomocniczym, nie podstawowym.

Typografia książki – perspektywa projektowa

Typografia książki Michaela Mitchella i Susan Wightman reprezentuje inny porządek. Autorzy zajmują się przede wszystkim tym, jak tekst funkcjonuje jako forma wizualna. Ich podejście obejmuje:

- rytm tekstu i kolumny,
- proporcje i marginesy,
- relację między światłem a czernią,
- hierarchię elementów,
- czytelność jako doświadczenie odbiorcy.

Nie rozstrzygają kwestii ortotypograficznych dla języka polskiego – i nie jest to ich zadaniem. Operują na poziomie uniwersalnym.

Trzy porządki – jeden tekst

Zestawienie tych źródeł pokazuje wyraźnie: zasady składu nie należą do jednego systemu.

Wynikają z nakładania się trzech różnych logik:

- normy językowej – co jest poprawne,
- redakcji – co jest spójne i konsekwentne,
- projektu – co dobrze działa wizualnie.

Gdzie pojawia się napięcie

Niektóre decyzje w składzie wymagają szczególnej wnikliwości, bo znajdują się na styku tych trzech porządków. Przykłady:

Justowanie tekstu

Może być:

- dopuszczalne normatywnie,
- tradycyjnie preferowane,
- ale problematyczne wizualnie (rzeki czy rynny, nierówny rytm).

Dzielenie wyrazów

Jest:

- regulowane przez normę,
- wykorzystywane w redakcji,
- ale przede wszystkim wpływa na kompozycję kolumny.

Takie przypadki pokazują, że w pracy edytorskiej pojedyncza perspektywa nie wystarcza.

Najczęstszy błąd w praktyce

Największym problemem nie jest brak zasad, ale ich niewłaściwe użycie. Najczęstsze błędy to:

- traktowanie jednego źródła jako kompletnego,
- stosowanie zasad bez rozpoznania ich charakteru,
- mieszanie poziomu normy z poziomem projektu,
- ignorowanie kontekstu publikacji.

Efektom jest nadmierny rygoryzm albo chaos.

Model świadomej pracy

Coraz częściej w praktyce przyjmuje się model trójpoziomowy:

1. **Poprawność (norma)** – to tutaj rozstrzyga się kwestie zapisu i zgodności z językiem. Punktem odniesienia jest norma.pl.

2. **Spójność (redakcja)** – dotyczy konsekwencji w obrębie całego tekstu. Wspiera się zarówno normą, jak i doświadczeniem redakcyjnym oraz opracowaniami takimi jak *Edycja tekstów* Wolańskiego.

3. **Forma (projekt)** – obejmuje decyzje wizualne: rytm, światło, czytelność. Tu istotna staje się wiedza typograficzna:

- czytelność,
- rytm,
- estetyka,
- decyzje typograficzne.

Fundamentalna jest kolejność: najpierw poprawność, potem spójność, na końcu forma.

Co więc z tą „dyrektywą składu”

W sensie formalnym nie istnieje, ale funkcjonuje w sensie praktycznym – jako sposób pracy, który opiera się na:

- normie jako fundamencie,
- redakcji jako procesie porządkującym,
- projektowaniu jako decyzji końcowej.

Podsumowując

Norma.pl nie zamyka dyskusji, ale ją porządkuje.

Wolański nie jest normą, ale pozostaje ważnym punktem odniesienia.

Typografia książki nie daje reguł językowych, ale uczy widzenia tekstu.

Dopiero razem te trzy źródła tworzą całość i dopiero ich świadome użycie pozwala przejść od stosowania zasad do ich rozumienia. To właśnie jest moment, w którym skład przestaje być tylko techniką i staje się świadomym projektowaniem tekstu.

[Link do dokumentu znajdziesz TUTAJ](#)

KARTY LOSU

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

Losu pani
kosmiczna
galaktyki przemierza
drogę
krętą konstelacji
Wokół szelest tańczy
kart
co prawdy znają
w pustce cichym
szepem
je opowiadają

DETEKTORY AI VS. CZŁOWIEK

KRYTYCZNA ANALIZA TECHNOLOGII, KTÓRA PRÓBUJE UDAWAĆ OBIEKTYWIZM

REDAKCJA: KATARZYNA SETKIEWICZ-SŁOWIK
KOREKTA: NATALIA REWERS-KASPROWICZ

Detektory treści generowanych przez AI miały być odpowiedzią na chaos w świecie informacji. Swoistym technologicznym narzędziem do różnicowania tekstów stworzonych przez człowieka i przez maszynę. Sitem, które oddzieli prawdziwe od sztucznego. Problem polega na tym, że – jak to w sianie – są w nim dziury, i to systemowe.

Ten artykuł nie będzie wyważony, bo i sama rzeczywistość taka nie jest.

Fundament błędu: detektor nie wie, tylko zgaduje

Detektor AI nie rozpoznaje autorstwa. Nie ma dostępu do procesu powstawania tekstu ani możliwości poznania intencji twórcy. Potrafi jedynie analizować statystyczne wzorce językowe:

- przewidywalność słów,
- długość zdań,
- powtarzalność struktur,
- jednolitość stylu.

W praktyce detektor nie wykrywa AI – wykrywa styl podobny do AI. A to ogromna różnica. Czasem dobry, uporządkowany tekst człowieka może wyglądać jak wygenerowany maszynowo, natomiast chaotyczny tekst AI – jak stworzony przez człowieka.

W moim odczuciu to zwykła zgadywanka. Mówię tu całkiem poważnie – otrzymanie w ten sposób prawidłowego wyniku to jak wygrana w totka.

Dlaczego detektory się mylą (i będą się mylić)
Odpowiedź składa się z kilku elementów.

Modele szkolą się na ludzkim języku. AI nie tworzy własnego stylu. Korzysta z tego, co znajduje w Internecie, i uczy się na:

- książkach (np. publikowanych na Wattpadzie),
- artykułach,
- blogach,
- forach,
- komentarzach.

Czyli w efekcie uczy się na nas, co prowadzi do tego, że styl AI stanowi statystyczne uśrednienie stylu ludzi, a styl ludzi coraz częściej jest inspirowany AI.

Powstaje pętla:

CZŁOWIEK → AI → CZŁOWIEK → AI

Granica między człowiekiem a sztuczną inteligencją się rozmywa.

Poprawność staje się podejrzana

Detektory często uznają teksty za wygenerowane przez model językowy, jeśli są:

- logiczne,
- spójne,
- gramatycznie czyste,
- ustrukturyzowane.

Czyli... dobre. To prowadzi do wielu absurdów. Student pisze poprawnie – dostaje zarzut: „korzystanie z AI”; autor poradnika pisze jasno – pojawia się diagnoza: „wysokie prawdopodobieństwo AI”.

Wniosek jest przerażający: im lepiej piszesz, tym bardziej jesteś podejrzany.

Przykład: Frankenstein jako AI

Jeden z użytkowników TikToka wrzucił do detektora fragment *Frankensteina* Mary Shelley. Wynik: 91% AI! Link [TUTAJ](#).

To nie jest drobny błąd, to kompromitacja metodologii. Bo jeśli klasyczna literatura zostaje uznana za sztuczną, to oznacza, że detektor nie analizuje autorstwa, tylko dopasowuje swój filtr do współczesnych wzorców.

Klasyka często:

- jest uporządkowana,
- ma stały rytm,
- używa powtarzalnych struktur.

Czyli ma dokładnie te cechy, na które są wyuczzone detektory. Pamiętajmy, że to na klasyce uczymy się czytania i pisania. To klasyka dała podłoże dla współczesnego języka.

Różne detektory – różne wyniki

W swojej pracy, jeszcze zanim rozpocznę redakcję tekstu danego autora, korzystam z kilku detektorów. Ktoś mógłby powiedzieć, że po tym wszystkim, co napisałam, to hipokryzja. Ale takie sprawdzenie pozwala lepiej przewidzieć potencjalne reakcje przyszłych czytelników. W social mediach jest pełno hejterów gotowych upolować debiutanta tylko po to, aby go hejtować na którejś z grup społecznościowych. Taki detektor może mi pomóc (w porozumieniu z autorem) podjąć decyzję, jak bardzo mogę ingerować w tekst – wszystko po to, żeby uniknąć późniejszych oskarżeń.

A oto, co pokazały mi trzy różne detektory analizujące ten sam materiał:

- detektor A – 20% AI,
- detektor B – 65% AI,
- detektor C – 5% AI.

Skąd taka różnica? Każdy system:

- używa innych danych treningowych,
- ma inne progi decyzyjne,
- inaczej definiuje „podejrzaną styl”.

Nie istnieje więc jeden standard. Wygląda to tak, jakby trzy termometry w tym samym miejscu i czasie pokazywały trzy różne temperatury, a my musielibyśmy zdecydować, która z nich jest właściwa.

Krótkie formy: fabryka powielania

Tu zaczyna się realny problem, ponieważ AI jest masowo używane do:

- postów,
- ogłoszeń,
- maili,
- newsletterów.

Daje to oczywiście taki efekt:

- setki tysięcy tekstów o tej samej strukturze,
- minimalne różnice,
- identyczna składnia.

Powstaje język uśredniony: neutralny, poprawny, niewyróżniający się – i to właśnie ten język detektory identyfikują jako pochodzący od AI. Ale uwaga, ludzie sami zaczynają tak pisać. Tak jak kiedyś uczyliśmy się języka na klasycznej literaturze, tak teraz, w dobie social mediów, kiedy tradycyjne czytelnictwo powoli zanika, uczymy się na postach i artykułach – czyli materiałach, które coraz częściej tworzy AI.

My, homo sapiens, w swojej leniwej naturze (byle szybko i prosto):

- kopiujemy schematy,
- inspirujemy się gotowymi tekstami,
- optymalizujemy je pod szybkość.

To nie sztuczna inteligencja przejmuję język, tylko język staje się coraz bardziej zunifikowany. Ba! Można nawet zakupić gotowe e-booki z setkami gotowych szablonów kopiuj-wklej, które nota bene zapewne zostały stworzone przez jedną z wersji AI.

Poradniki – szczególny przypadek fałszywych oskarżeń

Rynek jest zalewany poradnikami w stylu:

- jak pisać książkę,
- jak zarabiać online,
- jak kupować na Temu.

I teraz pojawia się bardzo ważne pytanie: dlaczego detektory często oznaczają je jako stworzone przez AI?

Bo taki rodzaj tekstu z natury:

- jest uporządkowany,
- zawiera listy,
- używa prostego języka,
- unika dygresji,
- powtarza struktury.

Wszystko przez to, że odpowiednio skonstruowany poradnik ma za zadanie utrwalać wiedzę w procesie czytania. Ten sam materiał jest więc w nim powielany w różnych formach, aby po lekturze więcej zostało w naszych głowach. Przypomina to podręczniki szkolne. Mikrobiologia w podstawówce, gimnazjum czy liceum jest w nich opisana tak samo, ale w każdej kolejnej szkole dochodzi coraz więcej szczegółów. Takie książki idealnie pasują do wzorca AI. Sęk w tym, że to nie dowód na ich sztuczność, ale cecha tych typów tekstów. Detektor nie rozumie konwencji danego gatunku, widzi tylko wspomnianą już statystykę.

Granica, która przestaje istnieć

Najbardziej problematyczna sytuacja wygląda tak: człowiek pisze treść, wrzuca ją do AI i prosi o uporządkowanie.

Co powstaje? Twórz o następujących cechach:

- wiedza: ludzka,
- doświadczenie: ludzkie,
- styl końcowy: częściowo AI.

Co stwierdza detektor? Że to tekst wygenerowany przez sztuczną inteligencję. Jest to jednak uproszczenie, ponieważ AI nie stworzyło wiedzy, tylko ją przekształciło.

Sztuczna inteligencja jest jak redaktor, tylko szybszy i bardzo często darmowy. Pytanie, czy korzystanie z takiego rozwiązania to oszustwo? Nie zawsze, ale tutaj wchodzimy już w kwestię etyki. Z kolei odpowiedź na pytanie, czy detektor rozróżnia tekst po redakcji ludzkiej i maszynowej, jest prosta: nie.

AI jako narzędzie

Dziś ludzie chcąc przyspieszyć swoją pracę, poprawić styl czy uporządkować myśli, zamiast robić to sami, korzystają z modeli językowych lub (ci bardziej odpowiedzialni) ze wsparcia redaktorów i korektorów. Nie ma nic złego w działaniu z pomocą dodatkowych osób. Tak samo jak nie jest oszustwem używanie pralki czy samochodu. Również AI to narzędzie jak każde inne. Problem zaczyna się wtedy, gdy ktoś sprzedaje treść wygenerowaną przez sztuczną inteligencję jako własne, oryginalne dzieło twórcze.

I tu wszyscy przeciwnicy AI, w tym ja, się zgadzają – takie działanie jest problematyczne w literaturze, ponieważ:

- osłabia zaufanie odbiorcy,
- może naruszać prawo konsumenta.

Czytelnik nie chce kupować algorytmu, ponieważ chce otrzymać od autora:

- jego doświadczenie,
- jego głos,
- efekt jego procesu twórczego.

AI uczy się bez kontroli

Jak pisałam na początku, modele językowe uczą się na:

- dobrych tekstach,
- złych tekstach,
- manipulacjach,
- uproszczeniach.

Nie oceniają, czy to, co kryje się za treścią, to prawda, lecz szacują prawdopodobieństwo. To z kolei sprawia, że mogą:

- powielać błędy,
- utrwalać schematy,
- homogenizować język.

Detektory są trenowane na tych samych danych. Oznacza to, że system oceniający i system twórczy korzystają z tego samego źródła błędów. To zamknięty obieg.

Rozmowy o detektorach (i ich złudnej pewności)

Pomysł na ten artykuł zrodził się na skutek wielokrotnie powracających dyskusji, czy dany tekst został wygenerowany przez AI, czy nie. Gdy w poście znajdują się nawet drobne błędy językowe, zaraz pojawiają się atakujące komentarze, że to konsekwencja używania sztucznej inteligencji. Jeśli okładka książki wygląda jak stworzona z AI, od razu jest stawiany zarzut, że sam tekst też powstał w ten sposób.

Niedawno słuchałam rozmowy Sylwii Cegieły z pisarką i lektorką Roksana Samagalską (zob. [Rozmowa dostępna tutaj](#)). Roksana opowiada w niej o efektach swojego testu detektorów. W tego typu dyskusjach zwykle pojawia się ten sam problem:

- jedna strona wierzy w skuteczność takich narzędzi,
- druga wskazuje na ich ograniczenia.

Najczęstszy błąd to traktowanie wyniku procentowego jako faktu – a przecież to tylko szacunek modelu, jak wróżenie, czy jutro spadnie deszcz, czy nie. Należy pamiętać, że ocena 70% nie znaczy, że to na pewno AI. To znaczy jedynie, że tekst przypomina dane, które detektor uznaje za AI. A to nie to samo.

Oczywiście zdarzają się przypadki, w których dowody na to, że książka została stworzona z AI, są jasne – jak w tych słynnych historiach z fałszywymi przypisami czy promptem pozostawionym w tekście. To akurat było bardzo nieprofesjonalne, a nawet pokuszę się o stwierdzenie – to było zwykłe oszustwo.

Ktoś powie, że to wina redaktora, bo źle sprawdził. Owszem, to prawda, ale w takich sytuacjach główna wina leży po stronie autora, który posunął się do nieuczciwych działań.

Jak funkcjonować w takim chaosie

Po pierwsze pamiętajmy, że detektory AI, płatne czy darmowe, nie są:

- dowodem,

- wyrokiem,
- wiarygodną metodą rozstrzygania autorstwa.

Są one jedynie wskaźnikiem stylistycznym i narzędziem pomocniczym, ale bardzo podatnym na błędy. Realistycznie podchodząc do tematu, nie należy ślepo ufać otrzymanym wynikom, a już na pewno nie oskarżać nikogo na podstawie wyliczonych procentów. Możemy w ten sposób zaszkodzić i sobie, i autorowi. Nigdy nie wiemy, kto i jakimi metodami jest gotów walczyć o swoje dobre imię.

Analizując kontekst i proces powstawania treści, należy zaakceptować i zrozumieć ograniczenia stosowanej pomocy. Przede wszystkim jednak nie wolno mylić oceny stylu z wnioskowaniem o autorstwie.

Detektory nie rozwiązują problemu identyfikacji autora, a jedynie upraszczają go do poziomu, który okazuje się niebezpieczny. Może to prowadzić do:

- oskarżania niewinnych,
- przepuszczania faktycznego użycia AI,
- zniechęcania do dobrego pisania.

A jaki jest w tym wszystkim największy paradoks? Im bardziej język staje się uporządkowany, tym bardziej nienaturalnie wygląda. I wtedy detektor mówi: to nie człowiek. Tylko że to nadal człowiek.

ZERO GRAWITACJI.

OGIEŃ

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

Ogniu unoszący się w nicości,
wyrwany z grawitacyjnych kajdan,
nie tniesz już przestrzeni dawnym gniewem.
Twoje gorące języki, niegdyś dzikie,
wiją się teraz jak luminalne węże –
zbyt ciche, by pochłaniać światy bez pamięci.

Twój owal, gładki jak skóra stygnącej gwiazdy,
hipnotyzuje obcą, błękitną czystością.
Świetliste halo pulsuje rytmem,
jak oddech Wszechświata tuż przed snem,
jak cisza pęczniejąca między galaktykami,
gdy czas drży na krawędzi własnego wygasania.

Planety dryfują powoli, jasne i nietknięte,
przed nimi otwierają się już tylko białe dziury –
mroźne bramy narodzin, gardziele przemiany.
Podczas gdy czarne, nasycone wiecznością
zapadły się w sobie i zniknęły
jak ostatnie cienie dawnego kosmosu.

A ty, ogniu –
nie szukasz już nieba, bo niebo jest wszędzie.
Trwasz bez pionu, kulisty i senny,
bez kierunku, bez ciężaru, bez prawa upadku.
W zerowej grawitacji tańczysz bez wysiłku,
jakby to właśnie brak ciężaru był twoim paliwem.

DAR AVALEI

REDAKCJA: AGATA ZADROŻNA-WOJTOWICZ

KOREKTA: NATALIA REWERS-KASPROWICZ

KOREKTA TECHNICZNA: EWELINA BELZ

Rzeka była spokojna, a jej woda czysta niczym górski kryształ. Leciutkie zmarszczki mieniły się w żółtawym świetle zachodzącego słońca. Wysokie sosny szumiały cicho kołysane delikatnym wiatrem. Jego podmuch cesał także żdźbła wysokich traw i gałązki krzewów. W oddali dało się słyszeć klangor przelatujących żurawi, natomiast całkiem blisko odbywał się koncert świerszczy, które bezustannie cykały, dodając swą grą uroku wieczorowi. W powietrzu unosił się subtelny zapach polnych kwiatów, których Alia nazbierała pod lasem.

Wystarczyło na skromny bukiet. Dziewczynka pociągnęła za błękitną wstążkę we włosach, a kok, który ta podtrzymała, rozsypał się kaskadą czarnych loków. Pospiesznie owinęła tasiemkę wokół łodyg kontrastujących ze sobą czerwonych maków i błękitnych chabrow. Wspięła się na szary głaz i upuściła bukiet do rzeki. Delikatny nurt zabrał prezent i poniósł go zgodnie ze swym biegiem, wywijając przy tym wolnymi brzegami niebieskiej kokardy.

Alia obserwowała cały proces do momentu, gdy bukiet był na tyle daleko, że nie mogła go dostrzec. Obróciła się i zeskoczyła ze skały wprost w płyciznę. Woda była chłodna, ale nie lodowata. Sięgała jej zaledwie do kostek. Pomyślała, że skoro i tak już się zamoczyła, to pochłapie się jeszcze trochę. To mógł być ostatni ciepły wieczór tego roku. Żal byłoby nie skorzystać.

Kiedy uznała, że ma już dość zabawy i czas wracać do domu, napotkała spojrzenie zielonych, mądrych oczu swojego prapradziadka. Stał nieopodal, a ona była tak zajęta rozchłapywaniem wody, że nawet nie zauważyła, kiedy się zjawił. Kiedyś podobno miał włosy takie same jak

ona, tylko krótsze. Dziś na czoło opadały mu posiwiałe pukle. Ubrany był w białą koszulę, brązowe spodnie, wysokie buty ze skóry i swoją ulubioną, ciepłą pelerynę, z którą praktycznie nigdy się nie rozstawał.

Alia pospiesznie wyszła z wody, poprawiła niebieską sukienkę i odgarnęła z twarzy niesforne loki. Usiadła na głazie, jak gdyby nigdy nic.

– Nie udawaj. – Uśmiechnął się łagodnie. – Wystarczająco długo tutaj stoję.

– Więc wszystko widziałeś? – Jej policzki okrył rumieniec.

– Zgadza się.

– Przepraszam... – wyszeptwała. – Wiem, mam już dwanaście lat, a zachowuję się jak mała dziewczynka. Nie mogłam się powstrzymać... To było silniejsze ode mnie... Nie powinnam była. Jest tyle pracy, tyle rzeczy do zrobienia w gospodarstwie, a ja się bawię. Już nie będę, dziadku, obiecuję. Ale proszę cię, nie mów rodzicom, bo znów będą się na mnie złościć.

– Oczywiście, że im nie powiem, bo nie zrobiłaś niczego złego. Życie nie składa się tylko z pracy, obowiązków i powinności. Czasami należy też pomyśleć o sobie. O tym, czego ty chcesz i co jest dla ciebie ważne. Odrobina egoizmu nie zaszkodzi.

– Naprawdę tak myślisz? – dopytywała zdumiona. – Czy mówisz tak, bo jestem twoją wnuczką?

– Mówię tak, bo tak uważam i co więcej, sam stosuję tę zasadę. – Wyjął z kieszeni peleryny mały bukiet i wrzucił go do rzeki. – Widziałem, że mnie wyręczyłaś, ale skoro już nazbierałem kwiatów, to dziś Bogini Wody otrzyma podwójne dziękczynienie.

– Za co my dziękujemy, dziadku? – Zwróciła na niego spojrzenie zielonych oczu. – Kiedyś opowiadałeś mi legendę o poświęceniu Avalei, ale niewiele z tego pamiętam. To było lata temu...

– Jeśli chcesz, to chętnie opowiem ją ponownie. – Uśmiechnął się szerzej.

– Chętnie posłucham. – Odwzajemniła uśmiech.

– Dobrze więc... – urwał i podjął, gdy usiadł na głazie naprzeciwko wnuczki. – Bardzo dawno temu. W zamierzchłych czasach, gdy ludzie nie potrafili jeszcze żyć...

Było szaro i pochmurno. Wokół panowała ciemność i dotkliwy upał. Ziemia była sucha, spękana i nieurodzajna, a ludzie biedni, nieporadni, dręczeni przez gorąc, głód oraz pragnienie. Na kontynencie istniało jedno plemię, które wędrowało po nim w poszukiwaniu lepszego życia, lecz wszystkie ich starania nie przynosiły najmniejszych efektów. Sfrustrowani i bez nadziei

byli o krok od poddania się, stojąc naprzeciw trudności.

Ich beznadziejną sytuacją przejęło się Pięć Bogiń, które postanowiły zstąpić na ziemię, by ratować swój lud. Jedne pojawiły się pod swą boską postacią, inne przychodziły w snach. Aynavel sprowadziła na kontynent wiatr, który przepędził uporczywy upał i rozproszył ciemne chmury. Rhaelia dała ludziom ogień i nauczyła ich, jak się z nim obchodzić. Mourneth pomogła im oswoić się ze śmiercią. Galthera dała nieszczęśliwcom nasiona roślin i zwierzęta, lecz ziemia była na tyle nieurodzajna, że roślinność nie wzeszła, a większość zwierząt padała z głodu. Susza miała zająć się Avalea, najmłodsza i najmniej doświadczona z boskich siostr. Przypadło jej jednak, jak się okazało, najtrudniejsze zadanie...

Sama nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Bardzo chciała pomóc, starała się sprowadzić na kontynent wodę. Próbowala już kilka razy, w różnych miejscach, lecz jej próby kończyły się niepowodzeniami. Stworzyła już

Wiedźma z Podhala. T I - Jesteś na to zbyt młoda



Autor: Luiza Eviva Dobrzyńska

Wydawnictwo: OdeSFa

Oprawa: miękka

Gatunek: fantasy, young adult

Gdzie kupić? [Wydawnictwo OdeSFa](#)

Opowieść o miłości, przyjaźni, samotności i niezwykle trudnych, ale dojrzałych decyzjach, jakie musi podjąć nastoletnia Edyta. Nadprzyrodzone zdolności, jakimi obdarzyła ją matka natura, niekiedy utrudniają życie i kontakt z rówieśnikami. Okazuje się jednak, że bywają też bardzo pomocne.

Wyśmienita pozycja dla marzycielek, które chciałyby się oderwać od rzeczywistości. Doskonała alternatywa dla zagranicznych opowieści o magii i czarach.

Pozycja pierwsza w nowej serii naszego wydawnictwa: „SlaFa! – Sławiańska Fantastyka!”.

Książka ta powinna się spodobać nie tylko pokoleniu wychowanemu na „Harrym Potterze” J.K.Rowling, ale też młodszym i starszym odbiorcom. To co od razu rzuca się w oczy: swojskość, klimat wsi, zapach lasu, słowem wszystko to co fani prozy Sapkowskiego piszą na temat gry „Wiedźmin 3: Dziki Gon” i dodatku „Serce z Kamienia”.

kilkanaście jezior, kilkadziesiąt źródeł i rzek, ale gdy wracała w tamte miejsca następnego dnia, już ich nie było. Zupełnie jakby rozplywały się w mrokach nocy, pozostawiając po sobie na powrót suchą, spękaną ziemię. To było niesamowite i osobliwe zarazem. W końcu na dary innych bogiń ciemność nie miała żadnego wpływu, a dar Avalei znikał za każdym razem, gdy ta się od niego oddalała.

Co było tego przyczyną?

Czyżby jej starania nie wystarczały?

Po kolejnej porażce była zmuszona podjąć bardziej zdecydowane kroki. Zmierzała w stronę obozowiska, które na noc rozbili członkowie plemienia. Jej bujne, ciemne włosy falowały na wietrze, podobnie jak materiał błękitnej, skromnej sukienki. Piach zgrzytał pod trzewikami, w powietrzu unosił się kurz i lekki swąd dymu z ognisk. Była bardzo blisko, gdy ją dostrzegli.

– Stój! – krzyknął jeden, wyciągając niedopracowany nóż.

– Kim jesteś i czego chcesz?! – Dołączył do niego drugi, dzierżąc wyszczerbiony topór.

W krótkim czasie dołączyli do nich inni. Wszyscy trzymali jakąś broń. Nie była głupia. Wiedziała, że nie ma sensu powoływać się na boski rodowód i dary swoich sióstr. Istniało zbyt duże ryzyko, że wezmą ją za obłąkaną. A to, jak wtedy by ją potraktowali, mogłoby skutecznie odwieść ją od dalszej chęci pomocy. Przygotowała sobie zmyślny rodowód. Miała wiele czasu na myślenie, gdy ku nim zmierzała.

Uniosła ręce w geście kapitulacji.

– Spokojnie. Nie mam złych zamiarów.

– Kim jesteś?! – zapytał mężczyzna w szarej tunice oznaczonej krzywymi szwami.

– Na imię mi Avalea.

– Skąd się wzięłaś? – zwróciła się do niej kobieta w beżowej, prostej sukience. – Nigdy wcześniej cię nie widzieliśmy.

– Pozwólcie mi ogrzać się przy ogniu, to wszystko wam powiem.

Ciszę wypełniły szepty naradzających się mężczyzn. Narada przeciągała się. Po chwili zaczęły dołączać do niej również kobiety. Dyskusja

stawała się coraz bardziej burzliwa, aż w końcu ponad szmerami przebił się głos, którego właściciel przyciągnął spojrzenie Avalei.

– Dajcie spokój! To tylko jedna dziewczyna! – rzekł młodzieniec o zielonych oczach i czarnych, kędzierzawych włosach opadających mu na czoło.

– Taki jesteś pewny? – dopytywał chłopak z łukiem, który nie wydawał się być solidny. – A co, jeśli ona tylko tak niewinnie wygląda?

– Właśnie – wtórowała mu starsza kobieta okryta baranią skórą. – Mało to napotkaliśmy na swojej drodze dziwactw? Niektóre z nich też wydawały się ładne i niewinne na początku, a potem atakowały pazurami.

– Ona jest zupełnie sama. – Wskazał kędzierzawy. – Jest nas tutaj tylu, że nawet gdyby nagle wyrosły jej szpony i kły, to zdołamy odeprzeć atak.

Pozostali przyglądali się zielonookiemu przez dłuższą chwilę, potem znów zniżyli głosy do szeptów. Ostatecznie potaknęli głowami, a jeden z nich poklepał kędzierzawego po ramieniu i wskazał w jej stronę. Gdy chłopak zmierzał ku niej, oni przezornie zajęli miejsca przy ogniu, zostawiając sporych rozmiarów pusty plac.

– Jestem Merin. – Skłonił lekko głowę. – Zgodzili się żebyś usiadła z nami przy ognisku, ale zanim to zrobisz, nakazali mi cię ostrzec. Jak widziałas każdy z nas ma broń, której nie zważamy się użyć, jeśli spróbujesz nas zaatakować lub okraść. Rozumiesz?

– Rozumiem, ale możecie być spokojni – mówiła łagodnym tonem. – Nie zamierzam was skrzywdzić.

– Od dawna wędrujemy po kontynencie w poszukiwaniu lepszego jutra. Natrafialiśmy na różne niebezpieczeństwa: smoki, krucze harpie, wilki jaskiniowe i dzikie zwierzęta... Niekiedy łagodność jest najlepszym kamuflażem, bo ofiara nie spodziewa się ataku.

– Zapewniam, że nie zamierzam atakować. Szukam tego samego, co wy.

– Więc zapraszamy.

Merin wskazał jej drogę, a następnie miejsce przy ognisku. Okazał się nim być ten spory

obszar z dala od członków plemienia. Trzymali się na dystans, ale nie spuszczała z niej oka, a broń pozostawiała w zasięgu każdego z nich. Tylko Merin usiadł w pobliżu. Nie wiedziała, czy dlatego, że jej ufa, czy ze względu na brak innego wolnego miejsca. Bardzo chciała wierzyć, że jest to oznaka jego zaufania.

– Teraz możesz nam opowiedzieć, jak się tu znalazłaś – przypomniał jej.

– Jako dziecko odłączyłam się od swojego plemienia.

– Plemienia? – zdumiała się młoda kobieta. – To istnieje jakieś inne plemię poza naszym?

– Nigdy żadnego nie spotkaliśmy – dodał starzec.

– Ja również nie spotkałam żadnego do tej pory. Moje było niewielkie – snuła zmyśloną historię. – Nie przewidziałam konsekwencji samotnej wędrówki. Zgubiłam się, a gdy udało mi się odnaleźć nasze obozowisko, nikogo już tam nie było. Pewnie uznali, że coś mi się stało i odeszli. Od tamtej pory musiałam sobie radzić sama.

– To godne podziwu, że udało ci się przeżyć w pojedynkę. Musisz być zmęczona i głodna. – Merin wyciągnął dłoń, by sięgnąć po porcję chleba dla gościa.

– Nawet o tym nie myśl! – sprzeciwił się ten z nożem. – Co innego ogrzać się przy ogniu, a co innego marnować jedzenie na obcą!

– Właśnie! – poparła go kobieta w szarej sukience. – Może jutro sami nie będziemy mieli co jeść.

Merin odłożył bochenek, za to przebrał na pół swój kawałek i podał część przybyłej.

– Idiota – szepnęła jakaś dziewczyna.

– Wariat. – Starzec pokręcił głową z dezaprobatą. – Jeszcze będziesz głodował.

– Wolę głodować niż patrzeć, jak głodują inni. – Merin wzruszył ramionami. – Na szczęście dorobiłem się dwóch koców. – Uśmiechnął się szczerze. – Szkoda by było przecinać.

Potem wszyscy jedli już w ciszy, a po posiłku ułożyli się do snu. Każdy w miejscu, w którym do niedawna siedział. Merin podał Avalei koc, tak jak obiecał, a ona w końcu zdecydowała zapytać go o gest życzliwości, choć długo biła się z myślami.

– Dlaczego to zrobiłeś? – szeptała, by nie zwracać uwagi innych.

– O czym mówisz? – Spojrzał zdumiony.

– Oddałeś mi okrycie i część swojego jedzenia, choć jutro sam możesz nie mieć czego włożyć do ust.

– Przyzwyczyłem się do tego.

– Do głodu?

– Do tego, że ktoś obok mnie ma gorzej.

– Myślałam, że na tym świecie... – Zawahała się, by nie powiedzieć za wiele.

– Co?

– ...nie ma takich ludzi, jak ty.

Obudziła się jako pierwsza. Postanowiła wykorzystać moment. Wstała w pośpiechu i odeszła



spora odległość od obozowiska. Gdy natrafiła na zagłębienie w ziemi uklękła i dotknęła dłońmi suchego piasku, a po chwili w jego miejscu pojawiło się niewielkie jezioro. To był jej plan. Miała zamiar utrzymać ludzi przy życiu tak długo, aż nie przyjdzie jej do głowy trwałe rozwiązanie problemu suszy.

Musiała spędzić na klęczkach kilka minut, bo w głowie jej wirowało. Utrzymywanie ludzkiej sylwetki oraz sprowadzenie wody w to pozbawione nadziei miejsce kosztowało ją wiele wysiłku. Jej boskiej postaci nie krępowało do tej pory żadne ciało, więc była to dla niej nowa sytuacja, w której nie do końca potrafiła się odnaleźć. Nie rozumiała praw natury, głodu, pragnienia i potrzeb, ale aż nadto dostrzegała spowodowane nimi cierpienie. O byciu człowiekiem wiedziała tylko tyle, ile udało jej się zaobserwować, przebywając w podniebnych pałacach, gdzie miała do dyspozycji cały kosmos. Ludzka postać i marwa pustynia nie były naturalnymi warunkami życia bogini, ale musiała wytrzymać przynajmniej, dopóki nie znajdzie rozwiązania.

Wróciła do obozowiska, gdy tylko poczuła się lepiej. Merin jeszcze spał, podobnie jak inni, ale postanowiła skrócić ich odpoczynek. Nie wiedziała, jak długo jeziorko utrzyma się tym razem.

– Merinie, obudź się! – krzyczała. – Wszyscy się obudźcie!

– O co chodzi? – Kobieta w szarej sukience wyjrzała spod koca.

– Czemu ona wrzeszczy od świtu?! – Uniósł głowę starzec.

– Chodźcie ze mną! Zobaczycie, co znalazłam.

– Oby to rzeczywiście było coś godnego uwagi – rzucił starzec wygrzebując się z posłania.

Avalea poprowadziła ludzi wprost do jeziorka, a oni już na sam jego widok stali się nie do poznania. Największa zmiana dotyczyła ich oczu, w których pojawił się wreszcie błysk nadziei. Tej, której od dawna nie dało się u nich dostrzec. Jedni przecierali powieki ze zdumienia, nie dowierzając w to, co widzą. Inni pochylali się nad przejrzystym lustrem i przy-

glądali wodzie. Trwali tak przez dłuższą chwilę, a potem, ponaglani jedni przez drugich, znosili i napełniali naczynia, i sprowadzali zwierzęta, by je napoić. Resztkę, która została, wykorzystali na kąpiele i pranie odzienia.

Poczucie bezpieczeństwa oraz świadomość, że nie będą musieli odczuwać pragnienia przez parę kolejnych dni, sprawiły, że rozmawiali ze sobą, żartowali, śmiali się... Stali się zupełnie innymi ludźmi – nie przypominali w najmniejszym stopniu tych, których Avalea zastała przy ognisku. Coś tak zwykłego sprawiło im ogromną radość. Ten widok ją rozczyłił. Wiedziała jednak, co stanie się za kilka godzin. Nie chciała do tego dopuścić, nie chciała, by ponownie los odebrał im szczęście. To było zwyczajnie niesprawiedliwe, dlatego w jej głowie zapadła niepodważalna decyzja.

Przez kolejne tygodnie Avalea wstawiała przed wszystkimi i biegła w stronę zagłębienia, w którym jeszcze poprzedniego dnia znajdowało się jeziorko. Klękała, dotykała dłońmi spękanej ziemi, a w tym miejscu na powrót pojawiała się czysta, chłodna woda. Dzień w dzień poranki wyglądały tak samo, co odbiło się na jej zdrowiu, a to z kolei nie uszło uwadze członków plemienia.

Któregoś popołudnia zaczepiła ją Irma.

– Dobrze się czujesz? – zapytała wyglądając szarą sukienkę. – Jesteś strasznie blada. Może to choroba?

– Nie jest chora – odparł Merin, który nagle się przy niej pojawił. – Zwyczajnie źle sypia. Jak my wszyscy ostatnio.

– Racja. – Pokiwała głową Irma. – Ja też prawie wcale nie śpię. Cały czas się martwię...

– Czym?

– Czy to nie dziwne, że jeziorko utrzymuje się w tamtym miejscu przez tak długi czas? Rozejrzyjcie się. Wokół panuje taka susza, że woda już dawno powinna wsiąknąć w ten piach. Do tego słyszałam plotki, że podobno Nasyr chce, by plemię osiedliło się w tym miejscu na stałe. Właśnie ze względu na jeziorko, które ma nam zapewnić stały dostęp do wody. Doprawdy nie

wiem, jakim cudem jeszcze nie wyschło, ale nie podoba mi się to. Co, jeśli wybudujemy chaty i zagrody, a woda nagle wyparuje? Porzucić to wszystko i odejść? Czy zostać i cierpieć z pragnienia? – przerwała na chwilę, po czym podjęła: – Kto wie, może gdzieś w świecie czekają na nas rwące rzeki, morza i wodospady? Może są bliżej, niż się wydaje, ale przez tę wątlą kałużę już się nie dowiemy. – Minęła Avaleę i Merina i rzuciła do nich przez ramię: – Mam dziwne wrażenie, że nie na długo nam ona wystarczy.

– Wszystkiego za mało – rzucił Merin, gdy Irma odeszła. Wyglądał na wzburzonego. – Już zapomnieli, jak umieraliśmy z pragnienia. Zamiast cieszyć się tym, co mamy, szukają nowych problemów.

– Ona może mieć rację. To niewiele, szczególnie gdyby zwiększyła się liczba zwierząt i upraw, a do tego przyszliby na świat nowi członkowie plemienia... – urwała, a świat wokół niej rozmył się niebezpiecznie. Pociemniało jej w oczach, w głowie wirowało, w uszach huczało. Kolana stały się miękkie na tyle, że nie była w stanie utrzymać się na nogach. Na szczęście Merin był obok i ochronił ją przed upadkiem.

– Avaleo, słyszysz mnie? Co ci jest? – pytał zmartwiony.

Chciała mu odpowiedzieć, jakoś go uspokoić, ale nie znalazła w sobie wystarczająco dużo siły. Poczła jak ją podniósł, długo trzymał w ramionach, a potem ułożył na czymś miękkim. Było ciepło i cicho. Gdy odzyskała przytomność, jej oczom ukazało się wnętrze chaty. Leżała na posłaniu, a on siedział przy niej i gładził jej włosy. Uśmiechnął się, kiedy na niego spojrzała, potem pomógł jej usiąść i podał naczynie z wodą. Wypiła łączywie, a następnie opadła na posłanie.

Obudziła się w środku nocy. Merin siedział w oddali i cerował koszulę w nikłym świetle paleniska. Czuła się już zupełnie dobrze, więc wstała, a potem usiadła przy nim.

- Wszystko w porządku? – zapytał troskliwie.
- Już tak. Dziękuję, że mnie nie zostawiłeś.
- Jak bym mógł?

– Wszystkie są do zszycia? – zapytała wskazując stos ubrań, a gdy potwierdził, dodała: – Chętnie ci pomogę. Przynajmniej tak będę się mogła odwdziaczyć. Ostrzegam jednak, że mam do tego dwie lewe ręce.

– Na pewno nie jesteś w tym gorsza ode mnie.

Roześmiał się życzliwie, po czym podał jej igłę i nici, muskając przy tym jej dłoń. Nie zabrała ręki. On też nie. Przez chwilę siedzieli w ciszy, słuchając trzaskania ognia w palenisku.

– Zimno ci? – zapytał w końcu.

– Trochę.

Przysunął się bliżej, by narzucić koc na jej ramiona.

– Teraz lepiej?

– Tak, dziękuję. – Obdarowała go delikatnym uśmiechem, a on odwdziaczył się tym samym.

Ścieg wychodził jej krzywo, podobnie jak ten Merina, ale nie zniechęcało ich to. Umilali sobie czas rozmową. Dowiedziała się, że jego rodzice zmarli na skutek głodu i pragnienia. Rodzeństwa nigdy nie miał, a jedyną rodziną, jaką posiadał, było plemię. Mówił tak, jakby ona też do niego należała, mimo że inni wciąż traktowali ją jak przybłądę.

Jego największym marzeniem było mieć coś więcej niż tylko posłanie, które co wieczór rozkładał w innym miejscu. Z tego względu był jednym z pierwszych, którzy wybudowali chatę. Wkrótce w jego ślady poszli także inni. Byli też tacy, jak Irma, którzy nie zamierzali osiedlać się w tym miejscu, gdyż przewidywali, że jezioro wkrótce zniknie. Merin deklarował, że tak długo, jak starczy wody, nie ruszy się stąd. Trwał w swoim postanowieniu, a Avalea razem z nim, bo oddał jej kąt w swoim domu, by nie spała pod gołym niebem. Zapewniał, że po raz pierwszy w życiu czuje, że wszystko wokół ma sens, a mówiąc to, patrzył jej prosto w oczy. Nie pytał, co robi, gdy codziennie wychodzi o brzasku.

Wszystko układało się po jej myśli, aż do pewnego ranka. Wydawał się taki, jak każdy inny. Avalea wstała o świcie i pobiegła do jeziora, by znów wypełnić je wodą. Nie zauważyła, jak za nią szedł. Nie dostrzegła go, gdy stanął

za jej plecami. W pierwszej chwili nie domyśliła się nawet, że wszystko widział, dopóki nie napotkała mądrego spojrzenia jego zielonych oczu, z którego teraz biło przerażenie.

– Nie, nie, nie... – zaklinał rzeczywistość, nie odrywając od niej wzroku. – To się nie dzieje naprawdę...

– To nie tak... – Łzy spływały jej po policzkach. – Zaczekaj... Widziałeś?

– Gdybym nie zobaczył, nigdy byś mi nie powiedziała. – Bezradnie rozłożył ręce. – Teraz wszystko zaczyna się układać w całość... Twoja dziwna choroba... Te wyjścia o brzasku...

– Przecież to niczego nie zmienia.

– Przeciwnie! To zmienia wszystko. – Zdenerwowany odgarnął włosy. – Wpuściłem cię pod swój dach. Kim ty właściwie jesteś?

– Na imię mi Avalea – wyszeptwała. – Jestem Boginią Wody...

– Czemu to robisz? Krzywdzisz siebie, by dać nam trochę więcej czasu. Utrzymujesz nas przy życiu, oddając własne?

– Bo tak jest zbudowany ten świat, a ja właśnie po to istnieję. To mój obowiązek. Jeśli będzie trzeba, bez wahania oddam siebie, by ratować twoje plemię.

– Jesteś błada i ledwo trzymasz się na nogach. Tak jest zbudowany świat? Masz się zamęczyć, byśmy my nie cierpieli pragnienia i głodu?

– Pamiętasz, jak wtedy przy ognisku oddałeś mi połowę swojej racji? Pamiętasz, co odpowiedziałeś tym, którzy nazwali cię wariatem?

– Wolę głodować, niż patrzeć, jak inni głodują.

– Wolę cierpieć, niż patrzeć, jak inni cierpią. – Uśmiechnęła się smutno.

– Więc teraz pewnie odejdziesz...

– Każdego z was to czeka. Dla ciebie nic się nie zmieni.

– Przeciwnie. Zmieni się wszystko. – Niepewnie dotknął jej policzka. – Jesteś dla mnie ważna i zależy mi na tobie. Kocham cię.

– Ja ciebie też, dlatego chcę żebyś żył i był szczęśliwy.

Merin niespodziewanie przyciągnął ją do siebie i objął mocno. Ich usta złączyły się w poca-

łunku. W tamtej chwili wiedziała już, co będzie musiała zrobić. Nie miała innego wyjścia i dopiero ta rozmowa uświadomiła jej, gdzie znajdowało się rozwiązanie. Dar bez poświęcenia nie miał żadnej wartości. Ale wtedy to nie było istotne. Tamtego ranka nie była jedynie boginią, tylko przede wszystkim kobietą, która dała się ponieść namiętności.

O świcie wspięła się na szczyt Gór Velrathar. Wiał silny, chłodny wiatr, który szarpał materiał jej sukni i płatał ciemne włosy, jakby próbował zawrócić ją z drogi. U jej stóp rozciągał się suchy, bezlitosny świat, a w oddali tliło się życie plemienia. Wahala się przez chwilę, zacisnęła palce. Miała w pamięci jego obraz. Oczami wyobraźni widziała jego mądre, zielone oczy, kędzierzawe włosy i szczery uśmiech.

– Gdybym tylko mogła... – wyszeptwała, a jej słowa zabrał wiatr.

Doskonale wiedziała, że nie może. Nie było dla niej innej drogi. Myśli ponownie wypełniły wspomnienia związane z Merinem. Musiała się spieszyć, nie było sensu odwlekać tego, co nieuniknione. Poza tym obawiała się, że jednak ulegnie własnym pragnieniom.

Uklękła powoli. Dotknęła dłońmi górskiej skały, a ta odpowiedziała natychmiast. Najpierw zasklepiły się pęknięcia, potem kamień przybrał ciemniejszą barwę. Poczuła żal i rosnącą rozpacz, gdy z jej palców trysnęła krystalicznie czysta woda znacząca skałę wąską wstęgą. Po jej policzku spłynęła łza, a smukłe palce zaczęły się rozmywać. Ciało stało się przezroczyste niczym szkło, oddech urwał się w połowie.

Przez moment chciała się wycofać, ale wtedy przypomniała sobie blask nadziei w oczach członków plemienia. Radosne śmiechy i ulgę malującą się na ich twarzach. I swego ukochanego.

– Wolę cierpieć... – wyszeptwała słabo – ...niż patrzeć, jak inni cierpią.

Kształt kobiecego ciała rozplynał się i utworzył strumień, który z każdą chwilą rósł i nabierał sił, aż przeciął cały kontynent błękitną wstęgą. Avalea stała się rzeką. Cichą, niestrudzoną i wieczną.

Alia wpatrywała się w prapradziadka z niecierpliwością.

– I co było dalej? – Przekrzywiła głowę.

– Ach, tak. – Zamrugał szybciej, gdy wyrwała go z zamyślenia. – Z czasem powiła dwie córki: Weldorę oraz Eldarę. Bliźniaczki poszły w ślady matki i również przybrały rzeczne postacie. Avalea i jej córki pozostają bóstwami obecnymi w wierzeniach wszystkich ludów kontynentu, a...

– A co z jej ukochanym? – wpadła mu w słowo Alia.

– Bardzo przeżył jej zniknięcie. Szukał jej, ale szybko zrozumiał, co się z nią stało, gdy ujrzał przecinającą grunt rzekę. Podobno do ostatnich dni trwał w wiosce, zgodnie ze swym postanowieniem, że nie opuści jej, dopóki nie zabraknie wody. Odkąd przepływała obok niej Avalea, susza przestała być dokuczliwa. Wioska się rozbudowała, plemię zyskało nowych członków, a z czasem było ich tak wielu, że postanowili się rozdzielić. W ten sposób powstały narody sześciu krain... – przerwał pod wpływem spojrzenia wnuczki, po czym podjął: – Do zielonookiego z czasem dotarło, że nie mogła postąpić inaczej, choć na początku był na nią zły. Nigdy jednak nie przestał jej kochać.

Codziennie przychodził na brzeg, by spędzić z nią trochę czasu... i przynosił dla niej kwiaty.

– To piękna legenda, dziadku... – rzekła sceptycznie Alia – ...ale jak tak patrzę dookoła na tę rzekę, ten las i te kwiaty, to ciężko uwierzyć, że nie było tutaj nic poza suchą ziemią.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko lekko się uśmiechnął.

ANNA M. MOREN



Autorka tworząca świat, w którym magia splata się z ludzkimi emocjami i trudnymi wyborami. W swoich opowieściach chętnie sięga po motywy poświęcenia, przeznaczenia i ceny, jaką trzeba zapłacić za ocalenie innych. Inspiruje się naturą, dawnymi wierzeniami oraz mroczną stroną ludzkiej natury. Jej historie często ukazują świat naznaczony wojną, stratą i nadzieją rodzącą się w najmniej oczywistych momentach. Obecnie pracuje nad pierwszym tomem cyklu „Kroniki Alwarethu”.

LINKI DO SOCIALMEDIÓW:

Facebook: <https://www.facebook.com/share/17YLU-8acmU/>

Instagram: https://www.instagram.com/anna.m.moren_kroniki.alwarethu?igsh=YndvNDQwang1Njhz



KREW DAHAKU

Kryminalna zagadka od M.Litwinow
w świecie fantasy M.Rogalskiego.
Dostępny na www.samowydawcy.pl



PIEKŁO JEST PUSTE

ROZDZIAŁ 6

REDAKCJA: PAULINA MIKA

KOREKTA: KATARZYNA PYKA

KOREKTA TECHNICZNA: EWELINA BELZ

ILUSTRACJE: PATRYK JAKUBIAK

– Powiedziałaś jej?! – Theo wbił w przyjaciela spojrzenie pełne niedowierzania i wcale nie skrywanej pretensji. Zac westchnął ciężko i przesunął palcami po prawie czarnych włosach.

– Widziała Majczela! Co miałem zrobić?

– Powiedzieć, że to kot!

– Ale ona...

– Ja tu jestem! – zawołała Ruby, nie mogąc już wytrzymać ich kłótni.

Od co najmniej pół godziny wszyscy troje siedzieli w ostatnim pomieszczeniu piwnicy – które zdecydowanie bardziej przypominało czyjś salon niż magazyn pod biblioteką – i próbowali... dojsć do porozumienia. A przynajmniej taką miała nadzieję. W praktyce wyglądało to tak, że Theo wrzeszczał na Zaca, Zac próbował zasłonić się Majczelem, Majczel skakał po całym pokoju, a ona była całkowicie ignorowana, zupełnie jakby nie była powodem całej tej awantury.

– I nie jestem tak głupia, jak myślałeś – dodała Ruby, wpatrując się ze złością w Theo. Przewrócił oczami.

– Za to najwyraźniej Zac jest głupszy, niż myślałem. – Zac spojrzał na niego krzywo. – Wybacz, stary, ale mieliśmy jedno zadanie: nikomu nic nie mówić. A ty pokazałeś jej rysunki, opowiedziałeś o demonie, wilkołaku, Majczelu i na koniec, nie wiedząc po jaką cholere, uzupełniłeś tę historię swoim nadprzyrodzonym wyjściem z szafy.

Zac zerknął niepewnie na Ruby. Wykorzystała to, by posłać mu pocieszający uśmiech. Najwyraźniej był ofiarą całej tej sytuacji, ale też jedyną osobą, która w końcu powiedziała jej prawdę. Była mu za to wdzięczna, czuła do niego szczerą sympatię i nie mogła o tym zapomnieć, nawet jeśli wiedziała już, że był wampirem.

– Nie ma znaczenia, jak to się stało. Teraz już o wszystkim wiem – oznajmiła, wstając z fotela.

Po części zrobiła to, żeby podejść do Theo i nie pozwolić mu dłużej unikać jej spojrzenia, a po części, by ustąpić miejsca Majczelowi, który wyraźnie zamierzał ulokować się na miękkiej poduszce. Niespecjalnie miała ochotę trzymać go na kolanach i drapać za uchem.

– I chcę pomóc.

Theo prychnął.

– I właśnie dlatego nic ci wcześniej nie powiedziałem! Wiedziałem, że skoro zaczęłaś mnie o to wypytywać, to nie masz dość rozumu, żeby trzymać się od tego z daleka!

Ruby skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała mu prosto w oczy. Były tak ciemne, że wydawały się niemal czarne – dopiero gdy odwrócił wzrok w stronę światła, mogła dostrzec, że w rzeczywistości jego tęczówki były zielone. Musiała przyznać, że było w nich coś przerażającego, jednak teraz, kiedy stała w pokoju w towarzystwie wampira i demona (nawet kieszonkowego), nie zamierzała bać się zwykłego znajomego z liceum.

– Chcecie dopaść tego potwora...

– Demona – poprawił ją od razu Zac.

– Demona – głos mimowolnie jej zadrżał – I wilkołaka. Który, tak na marginesie, mi pomógł – powiedziała po raz kolejny, z naciskiem, ale Zac i Theo sprawiali wrażenie, jakby nie chcieli w to uwierzyć. – Ale sami nie wiecie, co macie robić. Więc wam pomogę.

– A od kiedy taka z ciebie specjalistka? To nie jest twoja sprawa.

Ruby zacisnęła dłonie w pięści.

– Teraz już jest – oznajmiła tylko, a potem, tak spokojnie jak tylko potrafiła, wyszła z pokoju, następnie z piwnicy i w końcu z biblioteki, ani razu nie oglądając się przez ramię. Podjęła już decyzję i nie zamierzała pozwolić, by Theo ją jej wyperswadował.

Zmusiła się, by opuścić kampus i dotrzeć na przystanek autobusowy. Prawie nie zauważyła, kiedy obraz całej drogi do domu przesunął się za oknami. Nie zarejestrowała również rozmowy z Peterem, którego dogoniła na progu, gdy wracał z pracy. Dopiero, gdy otwierała drzwi swojego pokoju, poczuła się, jakby ktoś ją obudził.

Padła na łóżko, tak jak stała – w mundurku, w butach, które Lydia wybrała jej na wspólnych zakupach – obok torby rzuconej niedbale na materac. Gdy przekreślała się na plecy, usłyszała szelest papieru i odruchowo sięgnęła do kieszeni. Poczowała ciarki na plecach, kiedy znowu spojrzała na rysunek. Był boleśnie realistyczny.

Dopiero wtedy, gdy została naprawdę sama i nic nie zakłócało jej myśli – ani Peter, ani Zac i Theo, ani Lydia i Tyler, ani żadne nowe rewelacje pokroju Majczela – nagle zaczęło docierać do niej wszystko, czego się dowiedziała.

To był jakiś absurd. Musiało istnieć inne wytłumaczenie. To nie mogła być prawda.

Ale doskonale wiedziała, że to była prawda.

Poczowała łyzy na policzkach. Przyciągnęła kolana do piersi, kuląc się w pozycji embrionalnej. Nie mogła się całkiem rozkleić. Bardzo chciała, aby Peter wierzył, że piątkowe zdarzenie w bibliotece nie zrobiło na niej aż takiego wrażenia; bo musiał wiedzieć, że jakieś zrobiło.

Przycisnęła twarz do poduszki, żeby stłumić wzbierający szloch i skupiła się na własnym oddechu. To, co się działo, było przerażające. Dwie osoby zginęły, kto wie, ile jeszcze zapłaciło lub mogło zapłacić życiem tylko za to, że znaleźli się w złym miejscu i czasie. Powtarzała sobie, że nie mogła mieć do siebie pretensji o to, że się bała. Ale nie mogła również pozwolić się kontrolować panice. Musiała wziąć się w garść.

A potem musiała zabić demona.

Następnego dnia Ruby spięła włosy w ciasny kok, jakby miała nadzieję, że ucisk na skórze głowy pozwoli jej, pozbierać się i skupić na zadaniu. Zamierzała podejść do tego tak, jak do wszystkiego, z czym sobie nie radziła – do zawierania nowych znajomości (tu rozwiązaniem była Lydia), do historii, matematyki, fizyki i praktycznie każdego innego przedmiotu (tu rozwiązaniem również była Lydia) albo do egzystencji jako całości (tak, tu rozwiązaniem też była Lydia). Jediną kwestią, w której Ruby zwracała się po pomoc do kogoś innego, było odejście rodziców, ale o tym niewiele ostatnio mówiła, nawet Peterowi. Chciała zostawić to za sobą. Nie mogła pozwolić, by na myśl o mamie i tacie zawsze zaczynały jej drżeć ręce, a potem całe ciało. Odeszli. A ona została.

Tym razem jednak nie mogła zwrócić się ani do Petera, ani do Lydii. Dlatego zamierzała zmusić Zaca i Theo do współpracy, choćby nie wiadomo jak próbowali się wykręcić, a przed pozostałymi udawać, że już dawno o wszystkim zapomniała.

To nie mogło być takie trudne, prawda? Wystarczyło uśmiechać się we właściwych momentach, rozmawiać na normalne, codzienne tematy i... przeżyć, prawdopodobnie.

Gdy tylko Ruby weszła do szkoły, niemal odruchowo zacisnęła dłonie na pasku torby, żeby opanować kolejną falę strachu.

– Będiesz mnie uwielbiać – oznajmiła Lydia, kładąc jej rękę na ramionach, gdy tylko spotkały się pod klasą.

– To całkiem możliwe – zaśmiała się w odpowiedzi.

Spiegelman uniosła brwi, ale po chwili ciągnęła dalej.

– Mam dla ciebie deal życia. Idziemy na imprezę w piątek.

– Stoi – oznajmiła Ruby od razu. Dużo ludzi, z którymi nie musi rozmawiać, głośna muzyka sprawiająca, że to nie jest trudne, i alkohol. To było właśnie to, czego w tym momencie potrzebowała. Wpisywało się zresztą w plan udawania, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– A-a-a. – Lydia pokręciła jej palcem przed twarzą. – Idziemy na imprezę, jeśli najpierw poprawisz ten test z angielskiego.

Ruby jęknęła. A już się ucieszyła, że przyjaciółka wreszcie zaproponowała jej coś poza wspólną nauką.

– Czy chociaż raz nie mogłabym pójść na imprezę bez zdawania żadnych testów?

– A czy chociaż raz nie mogłabyś zdać jakiegoś testu bez pójścia na imprezę? – Lydia spojrzała na nią wymownie. Ruby spojrzała na nią krzywo. Po chwili jednak obie się uśmiechnęły. – No weź, nie mam pod ręką żadnej innej karty przetargowej. Spotkamy się dzisiaj u ciebie i wszystko powtórzymy, okej?

– Nie wiem, czy mam na to siłę... Może jutro?

Prawda była taka, że tego dnia Ruby zamierzała jeszcze raz porozmawiać z Theo. Tym razem jednak chciała dopilnować, by rozmowa nie wymknęła się spod kontroli. Była przygotowana na rysunki Zaca z wystawionymi kłami i Majczela. Co mogło pójść nie tak?

– Jutro nie mogę – wypaliła Lydia, po czym od razu uciekła wzrokiem w przeciwnym kierunku.

– Dlaczego? – Ruby uważnie przyjrzała się jej twarzy, na moment naprawdę zapominając o swojej misji. – Zaraz... Umówiłaś się z kimś! – zawołała triumfalnie.

– Ciii, wcale nie, wcale nie. – Lydia zamachała rękami, jakby usiłując zgasić entuzjazm przyjaciółki, a jej policzki zrobiły się prawie tak wiśniowe jak marynarka jej mundurka. Stojący kilka metrów dalej Tyler obejrzał się w ich kierunku. – No dobra, tak. Ale to jeszcze nic pewnego, więc czy możemy o tym nie rozmawiać? Przynajmniej na razie?

Ruby nadal się uśmiechała, ale podniosła rękę do ust i udała, że przekręca kluczyk, a potem wyrzuca go przez ramię. Lydia odetchnęła z ulgą.

– Dzięki.

Kiedy weszły razem do klasy, czuła się nieco lepiej. Może to całe udawanie jednak wyjdzie jej na dobre? Miło było znów poczuć się jak normalna nastolatka, której największym zmartwieniem jest życie uczuciowe jej przyjaciółki-singielki. I własne oceny, rzecz jasna.

– Zapowiedziałam, że przyjdę w środę po lekcjach poprawić test – oznajmiła z dumą Ruby, dołączycywszy do przyjaciółki zaraz po lekcji.

Lydia lojalnie czekała na nią kilka kroków od drzwi.

– Imponujące osiągnięcie. – Kącik jej ust drgnął lekko. – To może...

Ruby nie była pewna, czy Lydia powiedziała coś jeszcze, bo w tym momencie Tyler złapał ją za rękę, obrócił do siebie i mocno pocałował. Dopiero teraz odkryła, czym naprawdę jest

zapomnienie. Cały wszechświat się rozplynął. Czowała już tylko usta Tylera na jej własnych, jego dłonie na jej plecach i...

– Przeszkadzam wam? – zapytała Lydia do bólu uprzejmym tonem.

– Em... Ja... Przepraszam – bąknęła Ruby, usiłując wrócić na ziemię. Szybko zerknęła na przyjaciółkę, zanim znowu odwróciła się do Tylera. – Co...

– Wybacz. Po prostu... – Wzruszył ramionami. – Wpadniesz do mnie dzisiaj?

W tamtym momencie Ruby była gotowa porzucić wszystkie swoje plany dla tego spotkania, ale Lydia ją uprzedziła.

– Dzisiaj Ruby będzie zakuwać na angielski.

– To prawda. – Spojrzała na niego przeproszającym wzrokiem. Ostatnio rzeczywiście nie mieli dla siebie zbyt wiele czasu. Jeśli się nie uczyła, była zmęczona, a jeśli nie była zmęczona, musiała się uczyć. A teraz musiała to dodatkowo pogodzić ze stworami z innego wymiaru. – Może jutro?

Tyler się zawahał.

– A może przyjadę po ciebie po waszej randce z Szekspirem? Miałem dzisiaj pojechać do domu rodziców, chata będzie pusta... Może zostaniesz na noc?

Ruby poczuła gorąco na policzkach.

– Dam ci znać – rzuciła, nagle skupiając się na wzorze na podłodze. Przypominał powiększony śnieg w telewizorze... – Na razie.

Złapała Lydię za ramię i ruszyła korytarzem w losowym kierunku, wciąż czując mocne uderzenia serca. Najwyraźniej polowanie na potwory musiało zaczekać do jutra.

Jechali w ciszy niemal pustymi ulicami Londynu. Ruby leżała na tylnej kanapie, a ze swojej pozycji widziała przez okno tylko przesuwające się za nimi latarnie, od których migotania zrobiło jej się niedobrze. Dlatego od dłuższej chwili wpatrywała się jedynie w profil Petera, siedzącego za kierownicą.

Musiał wyczuć, że mu się przygląda, bo w końcu się odezwał:

– Nie chcę mówić „a nie mówiłem” ...

– Ale mówiłeś – mruknęła.

– Ale mówiłem – przyznał. – Słuchaj, Ruby...

– Nie chcę o tym rozmawiać.

I tak była już dostatecznie zażenowana całą sytuacją. Jeszcze w czasie lekcji dała znać Peterowi, że wróci dopiero jutro, ponieważ planuje uczyć się w pokoju Lydii – która była tego dnia wyjątkowo burkliwa – a potem zostać u Tylera. Jego odpowiedź jasno sugerowała, że nie był tym zachwycony i odradzał noc poza domem, ale jej nie zabronił. Zawsze tak było. Pozwalał jej uczyć się na własnych błędach. Żałowała tylko, że w przeciwieństwie do niego nie posiadała magicznej zdolności przewidywania, kiedy je popełni.

A noc u Tylera zdecydowanie była błędem.

– Chciałem tylko powiedzieć, że ostatnio dużo się dzieje. Może powinnaś trochę odpocząć? – Peter szybko zerknął w jej stronę. – To tylko taki pomysł – dodał, kiedy Ruby nie odpowiedziała.

Uśmiechnęła się pod nosem.

– Czy to znaczy, że mogę jutro nie iść do szkoły?

Peter parsknął śmiechem.

– To twoja decyzja.

Ruby sapnęła ciężko.

Prawda była taka, że nie miała pojęcia, co powiedzieć jutro Tylerowi. Chyba nie miała nic przeciwko, by trochę odwlec tę rozmowę w czasie.

Ich wspólny wieczór był naprawdę cudowny. Tyler zamówił jedzenie, oglądali film i dużo się całowali. Nadrabiali wspólne zaległości. Ostatnio oboje mieli niewiele czasu – Tyler musiał utrzymać wysoką średnią, by pozostać w szkolnej drużynie i zachować pozycję kapitana, a do tego dochodziły treningi i zwykła codzienność. Nieważne, jak bardzo Ruby tego chciała, nie mogli żyć samym zakochaniem.

To kolejny powód, dlaczego nie mogła się doczekać wakacji. Teraz jednak myślała, że niepotrzebnie uległa pokusie.

Na początku wszystko układało się doskonale. Po raz pierwszy od wielu dni Ruby nie myślała o kłopotach, które sama na siebie ściągnęła i tych, które same się na nią zwały. A potem nadeszła noc i znowu poczuła znajomy strach.

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Rozumiała tylko tyle, że Tyler nie potrafił jej uspokoić. W którymś momencie Peter zapytał, czy chce wracać do domu. Nie wiedziała nawet, kiedy przyjechał. Uspokoila się dopiero, gdy ułożył ją na kanapie w samochodzie i poczuła, że wszystko, co ją otaczało, było znajome, bezpieczne...

– Jesteśmy. – Głos Petera odgonił świeże wspomnienie, o którym Ruby wołałaby natychmiast zapomnieć.

Wysiadł z auta i podszedł do jej drzwi, ale zdążyła już sama stanąć na własne nogi. Owinięta kocem, który dał jej Tyler, podreptała w stronę domu. Zimne powietrze uświadomiło jej, że wciąż miała na sobie jego piżamę.

– Poradzisz sobie? – zapytał Peter, gdy dotarli na ganek.

– Jasne – odparła krótko.

Chciała mu powiedzieć, żeby się nie martwił, ale uznała, że w tej sytuacji byłoby to trochę niedorzeczne. Tym bardziej, że gdy tylko otworzyła drzwi domu, cofnęła się z wrzaskiem.

– Scott! – fuknęła, kiedy pies skoczył na nią z wściekłym warknięciem.

– Ej! – Peter też warknął, ale na Scotta, który natychmiast usiadł, zamilkł i wbił w przybyszy swoje dwukolorowe oczy. Nadal ścisnął koniec koca w pysku.

Peter pokręcił głową, zamykając drzwi.

– Powiedziałbym, że za tobą tęsknił..., ale chyba raczej ma do ciebie urazę, że zostawiłaś go dla Tylera.

Ruby przewróciła oczami i bezceremonialnie ruszyła po schodach. Marzyła już tylko, by znaleźć się we własnym łóżku i zapomnieć o tym przeklętym wieczorze.

Scott, który od progu nie odstępował jej na krok, został z nią aż do rana. Leżał w nogach łóżka i nerwowo podnosił łeb za każdym razem, kiedy się poruszyła. Ruby doszła do wniosku, że chyba udzielił się mu jej niepokój.

Kiedy wreszcie na dobre otworzyła oczy i zorientowała się, która godzina, nie miała



nawet siły na panikę. Wciąż była wykończona, może nawet bardziej, niż gdy zasypiała. Dotarcie do szkoły na wtorkowe zajęcia było teraz poza granicami jej możliwości.

– Cześć. – Ruby posłała psu słaby uśmiech i pogłaskała go po głowie. Peter musiał go wcześniej na chwilę wypuścić do ogrodu, bo drzwi sypialni były uchylone, ale Scott znowu leżał na łóżku i wpatrywał się w nią intensywnie. – Mam nadzieję, że spałeś lepiej niż ja.

Scott nie odpowiedział.

Szybko – czyli po tym, jak wreszcie zwlokła się z łóżka – odkryła, że Peter musiał wyjść już jakiś czas temu. Został tylko talerz kanapek w kuchni i wiadomość na domowej poczcie głosowej: „Cześć, Ruby, dzwonię na ten telefon, bo nie chciałem cię budzić. Jadę do rodziców na to spotkanie i chciałem tylko powiedzieć, że wrócę późno, ale dzwoń, gdyby coś się działo. I zabierz Scotta na jakiś spacer, jeśli dasz radę... Wypuściłem go do ogródka. I zrobiłem ci śniadanie, postaraj się coś zjeść... To chyba tyle, nie będę cię zanudzał. Zadzwoń, jak będę wracać. Na razie”.

Ruby westchnęła ciężko, wpatrując się w leżący na blacie telefon stacjonarny. Peter nic nie powiedział o tym, że nie poszła do szkoły. Najwyraźniej naprawdę uznał, że decyzja należy do niej. Ale ton, jakim powiedział całą resztę... Zabierz Scotta na spacer, jeśli dasz radę. Zjedz coś, jeśli dasz radę. Wyśpij się, jeśli dasz radę.

Poza klasycznymi wyrzutami sumienia, poczuła nagły przypływ złości. Już nie była dzieckiem, nie trzeba było obchodzić się z nią jak z jajkiem..., ale jednak Peter musiał po nią przyjechać



Berlin. Obce, swoje, niczyje



Autor: Agnieszka Oknińska

Wydawnictwo: [Ostre Pióro](#)

Oprawa: miękka

Formaty: druk, e-book

Gatunek: literatura obyczajowa, romans

Data premiery: 26.06.2026 r.

Trzy kobiety, Berlin i przyjaźń, która przenosi góry.

W sercu współczesnego Berlina, miasta zbudowanego na podziałach i pojednaniu, splatają się losy kobiet, które przybyły tu z różnych stron świata, niosąc własne historie, lęki i marzenia. Anna z Polski, Melek z Turcji i Nasira z Syrii – tak różne, a jednak połączone czymś głębszym niż pochodzenie czy język.

Ich przyjaźń rodzi się w codzienności emigracyjnego życia, w tęsknocie za domem i w potrzebie bycia zrozumianą. Wspólnie uczą się odnajdywać siebie na nowo, mierząc się z uprzedzeniami, własnymi wyborami i uczuciami, które potrafią zarówno uskrzydlać, jak i komplikować wszystko wokół.

To opowieść o kobiecej sile, solidarności i odwadze zaczynania od nowa – niezależnie od miejsca. Bo choć historia prowadzi także do Częstochowy, to właśnie Berlin, ze swoimi różowymi alejami kwitnących wiśni, staje się symbolem nadziei, przemiany i drugiej szansy.

To poruszająca historia o tym, że nawet w najbardziej obcym mieście można znaleźć coś, co przypomina dom – drugiego człowieka.

w środku nocy. Całkiem zapomniała o jego wyjeździe do Doncaster. Była zbyt zaafierowana własnymi sprawami – najpierw tym, by spędzić wieczór ze swoim chłopakiem, a potem tym, jak się przed nim wygłupiła.

Cieszyła się, że przynajmniej Peter nie odwołał spotkania ze swoimi rodzicami z jej powodu. Tego by tylko brakowało. Dziadkowie też go przecież potrzebowali, zwłaszcza teraz, kiedy planowali przeprowadzkę. Wujek Louis oferował swoją pomoc, ale – z tego, co mówił Peter – wszyscy zgodnie uznali, że ma teraz inne rzeczy na głowie niż oglądanie domów za miastem.

Tak jakby Peter nie miał...

Zdecydowanie zbyt długo siedziała w kuchni, powoli żując kanapki, zanim poszła wziąć zdecydowanie zbyt długi prysznic. Kiedy wreszcie zebrała się do kupy, było już zdecydowanie zbyt późno.

Jeszcze raz wypuściła Scotta do ogrodu i przez moment tylko obserwowała go z progu. Dzisiaj nie był już taki nerwowo.

Wyciągnęła telefon, zdeterminowana do działania. Odblokowała go, odruchowo przesunęła wzrokiem po zdjęciu, które zrobiły sobie z Lydią przed jakąś lodziarnią, a które miała na tapecie od zeszłego lata, po czym otworzyła aplikację, a następnie czat z Theo... i zawiesiła się z palcami nad klawiaturą.

Co niby miała napisać? „Hej”? „Hej”? „Hej, pamiętasz mnie?”?

Uśmiechnęła się z przekąsem na myśl, że już na pewno o niej nie zapomni.

No, przynajmniej przez jakiś czas.

W końcu zamknęła okienko i otworzyła inne. To, w przeciwieństwie do konwersacji z Theo, nie było całkowicie puste. Ruby z zaskoczeniem odkryła, że ona i Zac dwa, może trzy razy wymienili się wiadomościami odnośnie zadań domowych i testów. Ostatnia była co prawda sprzed roku, ale to zawsze jakiś kontakt.

W życiu nie przyszłoby jej do głowy, że chłopak, który zapytał ją o temat pracy na angielski, może być wampirem.

Wypuściła powietrze ze świstem i wreszcie zaczęła pisać wiadomość. Postanowiła zacząć rozmowę bardziej dyplomatycznie niż ostatnim razem.

Ruby Blake:

Cześć, możemy się spotkać po szkole?

Ostatnim razem miała trochę szczęścia, ale przecież nie mogła oczekiwać, że Zac i Theo będą wiecznie siedzieć w piwnicy biblioteki.

Zac Stone:

Okej. Za godzinę w bibliotece?

A może jednak mogła.

Podniosła się z progu i otrzepała szorty, czując nagły przypływ energii.

– Chodź, Scott. Idziemy na spacer.

ROZDZIAŁ 7

Dopiero po czasie Ruby zrozumiała, że to nie był najlepszy pomysł. Scott jak zawsze sprawował się wzorowo jako pasażer autobusu, ale najwyraźniej nie wszystkim odpowiadało jego towarzystwo. W połowie drogi starsza kobieta w moherowym berecie urządziła dostatecznie dużą awanturę, by kierowca mało uprzejmie poprosił Ruby o opuszczenie pojazdu.

Tak oto oboje ze Scottem utknęli czterdzieści minut pieszo od kampusu, bez realnych szans na dotarcie do biblioteki na czas, nawet przy uwzględnieniu kwadransa akademickiego... który przecież wcale im nie przysługiwał. Sfrustrowana Ruby musiała przyznać, że dalsze kombinowanie nie miało sensu i o wiele rozsądniej byłoby odstawić teraz siebie i psa do domu. Kiedy jednak poinformowała Zaca o zmianie planów, ten wykazał się niesamowitą jak na te okoliczności inicjatywą. Ruby musiała przejść zaledwie kilka przecznic, by znaleźć kawiarnię wskazaną przez chłopaka – w której ten, jakimś cudem, już na nią czekał.

– Myślałaś, że będzie potrzebować wizyty w budynku kultury? – Zac wskazał na psa znad kubka kawy, którą pił na tarasie. Tego dnia pogoda odsłoniła bardziej łaskawe oblicze angielskiej wiosny i na dworze było całkiem przyjemnie.

– Nie przemyślałam tego... – przyznała Ruby.

Właściwie uznałam, że skoro wampir i demon przesiadują w magazynie, to husky nie będzie problemem, pomyślała, ale zamiast powiedzieć to na głos, skupiła się na wyraźnym cieniu Zaca na stoliku. Coś zafascynowało ją w tym absolutnie codziennym zjawisku.

– No nic. – Zac westchnął i przesunął menu w jej stronę. – Może weźmiesz coś na wynos?

Ruby przysiadła na brzegu krzesła i zmarszczyła brwi. Spodziewała się, że kawiarnia nie będzie tylko punktem orientacyjnym. Zanim jednak zdążyła o to zapytać, Scott podszedł do Zaca i zaczął go energicznie obwąchiwać. Spodziewała się, że wyjmie z jego kieszeni jakiś smakołyk, gdy coś poruszyło się pod materiałem bluzy. Spod ubrania wyłoniły się pomarańczowe uszy Majczela.

– Co...

– On też musi się czasem przewietrzyć. Ale nie lubię go zabierać w miejsca publiczne, więc... Przejdziemy się?

Przez chwilę Scott i Majczel wpatrywali się w siebie z wzajemnym zainteresowaniem, zanim Zac delikatnie wcisnął demona z powrotem do kryjówki. Ruby zwalczyła ciarki na plecach. Czy Majczel mógłby coś zrobić jej psu?

W końcu Ruby zrezygnowała z kawy, dostatecznie pobudzona obecnością dwóch nadnaturalnych istot w pobliżu. Zac spokojnie ruszył przed siebie, więc pozwoliła Scottowi pociągnąć się za nim.

– Więc... ten demon to twój... kot? – zagadnęła z wahaniem, desperacko starając się upchać wszystko w znajomych kategoriach.

Zac zaśmiał się pod nosem.

– Demon kieszonkowy – powtórzył cierpliwie. – Ale... powiedzmy, że tak. Jeśli ci to pomoże.

Scott prowadził Ruby przez ulicę, a ona całkowicie powierzyła mu swój los. Przez cały czas wpatrywała się w miejsce pod kapturem, spod którego wyłaniał się Majczel. On też ją obserwował, wbijając w nią wielkie oczy w odcieniu ciemnej czekolady. Wbrew sobie musiała przyznać, że w porównaniu do demona z biblioteki ten był nawet dość... uroczy.

– Pewnie masz sporo pytań. – Zac przerwał ciszę, kiedy dotarli do parku. Ruby zamrugała, zaskoczona. – Nie dlatego chciałaś się spotkać?

– A... No... Tak – mruknęła. Nie było sensu udawać, że to czysto przyjacielskie spotkanie, ale jeszcze nie zdołała ułożyć sobie w głowie wszystkiego, o czym dokładnie chciała porozmawiać. Zwłaszcza, kiedy nie wiedziała, o co wolno jej pytać i które pytania Zac uzna za nietaktowne. Więc... jesteś wampirem.

To na pewno takie było. Mimo to Zac nie wyglądał na ani trochę dotkniętego. Pewnie w jego nieskończonym życiu niewiele go zaskakiwało.

– To jest pytanie.

Ruby przewróciła oczami, ale odrobinę się rozluźniła. Zac i Theo chyba spędzali ze sobą za dużo czasu i Zac powoli zarażał się bucowatym sposobem bycia przyjaciela.

– Ale jesteś.

– Tak. – Wzruszył ramionami.

– I możesz wychodzić na dwór?

– Pytasz, czy słońce nie powinno mnie spopielić? Powinno. Ale Theo znalazł na to sposób. To trochę skomplikowana kwestia – dodał od razu, widząc, że Ruby szykuje się już do kolejnego pytania. – Ale dzięki niemu bycie wampirem jest nieco mniej uciążliwe.

– No, a... woda święcona? – dopytywała, usiłując nie wyjść na kompletną ignorantkę i przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszała o wampirach. – Dzięki Theo jest pitna?

– Właściwie nie mam pojęcia.

– Co?

– Nie sprawdzałem. Nie wolno mi wejść do kościoła – wyjaśnił rozbawiony. – Ale Theo twierdzi, że w dużych ilościach mnie zabije.

Ruby podziwiała spokój, z jakim to powiedział.

– Więc... jak właściwie radziłeś sobie z byciem wampirem, zanim poznałeś Theo?

Zac uśmiechnął się pod nosem.

– Ruby, jak myślisz, ile mam lat?

Na moment ją zatkało.

– E... Nie wiem... Sto? – Zac z wyraźnym trudem powstrzymywał śmiech. – Dwieście?

– Dziewiętnaście.

– Co?!

W końcu chłopak parsknął śmiechem.

– Nie każdy ma wielkie doświadczenie w wampiryzmie, przede mną jeszcze sporo nauki. Zostałem ugryziony w zeszłym roku.

Tym razem Ruby od razu wyczuła wyraźną zmianę w jego twarzy. Nie pociągnęła tematu dalej. Zamiast tego zatrzymała się, żeby wyciągnąć z torebki smaczek dla Scotta, który akurat zainteresował się siedzącą na drzewie szarą wiewiórką.

– On nieźle się orientuje w tym wszystkim, nie? – zapytała zamiast tego. – Theo.

– No...

– Kim on właściwie jest?



W jakiś sposób Ruby rozumiała, że Zac był wampirem. Najwyraźniej był taki jak ona, ale potem ktoś go ugryzł i skończył jako wieczny licealista, pijący krew zamiast Coca-Coli. Tak samo mogła zrozumieć, że gdzieś po Londynie grasował wilkołak, chociaż akurat tę myśl odsunęła na bok. Może nawet mogła zrozumieć istnienie pozostałych istot z innego wymiaru.

Ale Theo? Jaka była jego rola w tym wszystkim? Dlaczego wiedział tak dużo?

Chyba pomogłoby jej, gdyby to wiedziała. W końcu teraz siedzieli w tym razem.

Zac westchnął.

– To trochę skomplikowane. Theo jest...

W końcu Ruby wydobyła z torebki jakąś dziwną, suszoną przekąskę i rzuciła ją Scottowi. Nie sądziła, że robi coś złego, dopóki Zac nie krzyknął, a Majczel nie wyskoczył spod jego ramienia. Nie miała pojęcia, co się dzieje. Pozostało jej tylko patrzeć, jak wampir, demon i jej pies rzucają się na siebie.

Ruby odruchowo zacisnęła palce na smyczy Scotta, z trudem uniemożliwiając mu dotarcie do przekąski, którą sama chwilę temu rzuciła. W tym samym czasie Majczel skoczył do przodu. Zac rzucił się za nim i złapał go w powietrzu, ale siła skoku przewróciła go na ziemię. Ruby kompletnie zszokowana obserwowała, jak wampir z niesamowitą gracją wykonuje przewrót z Majczelem w ramionach, a potem staje na wyprostowanych nogach, bez jakiegokolwiek widocznego wysiłku. Za to ubrudzony ziemią i własną kawą.

Majczel wciąż wrywał się w stronę leżącego na kostce brukowej jedzenia. Scott natomiast uznał tę walkę za przegraną, ale wciąż usiłował dostać się do kieszeni, w której Ruby trzymała resztę smaczków. Jednak właścicielka kieszeni też była skupiona na czym innym.

– Co to było? – Spojrzała na Zaca wytrzeszczonymi oczami, ale on był zbyt zajęty przytrzymaniem demona jedną ręką, drugą ostrożnie podnosząc jedzenie z ziemi.

– Bardzo pilnujemy diety Majczela – wyjaśnił, trzymając smaczek jak najdalej od niego. – Zgaduję, że w tym jest krew?

– Nie... Nie zastanawiałam się nad tym. Czy ty...

– Czy mam ochotę to zjeść? Tak nisko jeszcze nie upadłem. – Zac podsunął przekąskę Scottowi, który pochłonął ją bez wahania. – Ale nie mogę tego powiedzieć o Majczelu.

– No dobrze, ale...

– Nie możesz mu dawać krwi. Jasne? Nigdy.

Zac nagle całkowicie spowaźniał, a Ruby była zbyt zaskoczona, żeby się kłócić. Z otępieniem pokiwała głową, a chłopak westchnął ciężko i spojrzał na swoje pokryte ziemią spodnie. Tak samo ubrudzoną miał koszulę pod skórzaną kurtką, a nawet policzek, po którym przesunął dłoń z roztargnieniem.

Majczel był w podobnym stanie, siedział ze zwieszoną głową na ramieniu chłopaka, dodatkowo rozczarowany faktem, że pozbawiono go lunchu. Smutny obrazek dopełniał leżący na ziemi pusty papierowy kubek po kawie.

– Mieszkasz może w okolicy? Nie chcę wracać do biblioteki w takim stanie...

– Czy wy mieszkacie w tej bibliotece?

Zac podrapał się po karku.

– No... technicznie rzecz biorąc nie. Ja niby mam pokój w internacie... Ale w praktyce mamy tam wszystko, czego potrzebujemy. To skomplikowane.

Ruby warknęła z irytacją.

– Ciągłe to powtarzasz! To jest skomplikowane, tamto jest skomplikowane... Jak mam cokolwiek zrobić, jeśli o niczym nie wiem i nic nie rozumiem?! Jak mam wam pomóc?

– Ale Theo nie chce, żebyś nam pomagała.

Zmarszczyła brwi.

– A ty?

Zac zamilkł. Przez chwilę wyglądał, jakby intensywnie myślał nad odpowiedzią, zanim wzruszył ramionami.

– To chyba... nie byłoby takie złe. – Odchrząknął. – To jak będzie? Mieszkasz tu gdzieś czy nie?

To chyba nie byłoby takie złe, powtórzyła Ruby we własnej głowie. *Też mi coś!*

Bez przekonania zaprowadziła Zaca do domu, ciesząc się, że nie musiała się martwić powrotem Petera. Czy uwierzyłyby, że Majczel jest kotem?

Zostawiła Scotta na jego legowisku ze świeżą wodą i porcją jedzenia, które pewnie w jakimś stopniu zawierało krew, i poszła do swojego pokoju. Zac zamknął w nim wstępnie ogarniętego Majczela i sam poszedł do łazienki doprowadzić się do porządku. Ruby o tym wiedziała, w końcu sama udzieliła mu wszystkich instrukcji, ale i tak widok demona na jej fotelu sprawił, że zatrzymała się na progu.

– Cześć – rzuciła w jego stronę, ostrożnie zamykając drzwi. Niepewnie usiadła na skraju łóżka. Majczel ją obserwował, a ona nie potrafiła odwrócić od niego wzroku.

To tylko taki kot, powtarzała sobie. *Kot. Nie ma nic wspólnego z potworem, który zabił Sama i Kathy. Ani z wilkołakiem, który z nim walczył. Kot. Nie demon. To tylko... kieszonkowy demon chaosu, któremu pod żadnym pozorem nie wolno dawać krwi.*

Majczel podniósł się na fotelu i zrobił krok w jej stronę. Ruby cofnęła się na materacu, a on od razu zamarł, wciąż wbijając w nią wielkie, czarne, błyszczące ślepią.

O nie. Tylko do mnie nie podchodź.

Majczel najwyraźniej jednak nie potrafił czytać w myślach – a nawet jeśli, to nic sobie z nich nie robił – po chwili przeskoczył na łóżko, przeszedł jeszcze dwa kroki, a potem po prostu położył się na brzuchu, tuż obok dziewczyny.

Ruby sapnęła. Już wolała, kiedy siedział na tym przeklętym fotelu.

– No nareszcie! – zawołała, kiedy myślała, że Zac wrócił w końcu do pokoju, ale zamilkła, kiedy tylko spojrzała na osobę stojącą w drzwiach. To nie był Zac.

– Theo?

On jednak musiał uznać to pytanie za całkowicie zbędne, bo bez słowa wszedł do sypialni. Na jego widok Majczel ożywił się nieznacznie. Theo stanął przed nim i wyciągnął w stronę demona chrupka kukurydzianego, którego Majczel bez wahania chwycił w łapki i pochłonął, zostawiając mnóstwo okruszków na pościeli Ruby.

– Zac mnie wpuścił – wyjaśnił Theo po chwili ciszy, podając demonowi kolejną porcję jedzenia.

– Aha – rzuciła tylko. W innej sytuacji pewnie by ją to zdenerwowało. Jej położenie było jednak na tyle niecodzienne, że uznała, że skoro Scott go nie pogryzł, to ona też mogła dać mu spokój.

– Napisał mi, co się stało.

– A co się stało? – zapytała odruchowo. Theo spojrzał na nią wzrokiem pozbawionym emocji, a Ruby znowu zaczęła się zastanawiać, jakie było jego miejsce w tym wszystkim. – Zac powiedział mi tylko, że... Majczel nie może dostać krwi. – Słowo „Majczel” przychodziło jej z niemal równie wielkim trudem co „pić krew”. Z tym, że tego ostatniego naprawdę nie była w stanie wymówić.

Theo przez chwilę przyglądał się Ruby, jakby zastanawiał się, czy powinien jej to wyjaśniać. Ona jednak nie zamierzała odpuścić. Skoro Zac uznał, że musi wezwać Theo – jakby ten był jakąś wyższą instancją – a wcześniej tak bardzo spanikował, to najwyraźniej wydarzyło się coś ważnego. A ona znowu nie miała pojęcia co.

– Demonom nie wolno dawać krwi – powiedział w końcu. – To z niej czerpią siłę. Nie tylko fizyczną, ale też... taką, jaką dysponują, zależnie od tego, czym są. A Majczel jako demon chaosu... – Pokręcił głową. – Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co zrobi. Tak samo jak Zac, który użył naszego teleportu, żeby pójść z tobą na kawę – Westchnął zmęczony, ale kiedy Ruby wytrzeszczyła na niego oczy, uśmiechnął się lekko. – Otworzyłem go w piwnicy. Na dzisiaj ci to wystarczy.

Mimo woli, dziewczyna też się uśmiechnęła.

W ciszy, która zapadła po słowach Theo, oboje patrzyli, jak Majczel wcina kolejne chrupki. Przez chwilę w pokoju rozlegało się tylko chrupanie, chociaż Ruby miała wrażenie, że wszyscy mogą usłyszeć też trybiki, które obracały się w jej głowie.

Theo i Zac mają teleport w szkolnej bibliotece.

Zac jest wampirem.

A demon, któremu nie można dawać krwi, je chrupki na moim łóżku.

– Aż trudno uwierzyć, że jest groźny. – Ruby sama była zaskoczona, kiedy usłyszała swój głos. Może chciała po prostu przerwać ciszę, a może czuła dziwną potrzebę, żeby to powiedzieć.

Theo zdążył już pozbyć się swojego uśmiechu. Jego wyraz twarzy znów stał się nieprzenikniony.

– Wiem, że musimy być ostrożni – dodała. Nic nie odpowiedział, ale jego spojrzenie sprawiło, że czuła, że musi się wytłumaczyć. – Ale wygląda tak... niewinnie.

– Nie jest niewinny.

– Ale nic mi nie zrobił – zauważyła. Nagle przyszło jej do głowy, że nie rozmawiali tylko o Majczelu, ale także o Zacu. Theo musiał zauważyć, jak patrzyła na niego wtedy, w piwnicy, gdy o wszystkim jej powiedział. Obaj, i demon, i wampir, budzili w niej lęk. Tylko Theo stwarzał pozory normalności, a jednocześnie to przy nim Ruby czuła się... najmniej swobodnie, z braku lepszego określenia.

– Nie rozumiem, co się dzieje. – *I nie rozumiem, dlaczego tak bardzo mnie nie znosisz*, pomyślała, patrząc Theo głęboko w oczy. Obiecała sobie, że nie odwróci wzroku. – Ale wy to rozumiecie – powiedziała z naciskiem. Nie zaprzeczył. – Wiem tylko tyle, ile mi powiecie, ale tamtej nocy zginęli ludzie. Z powodu demona. I chcę, żeby to się skończyło. Chcę wiedzieć, jak go zabić.

Po raz kolejny nie wspomniała o wilkołaku. Jeszcze nie. Czuła, że jej rozumowanie mogło wydać się Theo zbyt naiwne, zwłaszcza po tym, co powiedział o Majczelu. Najpierw musiała przekonać go, by podzielił się z nią wiedzą, która ją przerażała.

Nie odpowiedział. W żaden sposób nie skomentował jej pełnego mocy wyznania, ani nie zdradził jej niczego więcej. Ruby miała wrażenie, że nie zrobiłby tego, nawet gdyby Zac nie wszedł do pokoju zaledwie kilka sekund później.

Kiedy kolejnego dnia, w środę, Ruby znów nie pojawiła się w szkole (tak, dokładnie w tę środę, w którą przysięgała Lydii, panu Bakerowi i całej reszcie wszechświata, że poprawi test z angielskiego), Zac napisał do niej, by upewnić się, że wszystko w porządku. Zrobił to ponownie w czwartek i w piątek.

W ten piątek, w który była impreza.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał zaskoczony Peter, kiedy minęli się na schodach.

Miał na sobie praktycznie to samo, co zawsze, czyli džinsy, wytarty t-shirt i koszulę w kratę. Ruby natomiast, zamiast wiśniowego mundurka, założyła krótką, czarną sukienkę, która zdaniem Lydii świetnie dodawała atutów jej figurze. Dodatkowo upięła wysoko włosy i pomalowała się mocniej niż zazwyczaj. Nic dziwnego, że zauważył.

– Ta... Ludzie ze szkoły spotykają się za miastem.

Peter uniósł brwi. Ruby nie spodobał się ten wyraz twarzy.

– Czyli nie chodziłaś do szkoły przez prawie cały tydzień, ale teraz wybywasz na imprezę?

– Mówiłeś, że to moja decyzja! – przypomniała. Nie było sensu zaznaczać, że wcale nie użyła wcześniej słowa „impreza”. Peter jeszcze niedawno był młody, więc nie dało się go tak łatwo oszukać.

– Mówiłem. I uważasz, że to, co robisz, jest mądre?

Młodsza z Blake’ów spojrzała na starszego z wyrzutem.

– Wyjście z domu dobrze mi zrobi. Spędzę trochę czasu ze znajomymi.

Przyglądał się jej uważnie jeszcze przez chwilę. Ruby miała wrażenie, że między nimi i tak padły słowa, których postanowiła nie wypowiadać.

Zobaczą się z Tylerem. Na neutralnym terenie.

Peter westchnął.

– Okej. Ale w poniedziałek wracasz do szkoły. – Wskazała na nią palcem. W odpowiedzi położyła jedną rękę na piersi, drugą unosząc w górę, jakby składała przysięgę. Blake’owie wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

– Kocham cię! – rzuciła Ruby i zanim wbiegła do łazienki, pocałowała go szybko w policzek.

– No, spadaj już. Bierzesz samochód?

I znów. Będziesz pić alkohol?

Pomyślała o ostatniej podróży autobusem.

– Jeśli mogę.

– Śmiało. Tylko jedź ostrożnie.

Ruby uśmiechnęła się lekko i wreszcie pobiegła dokończyć przygotowania. Kiedy przed wyjściem spojrzała ostatni raz w lustro, naprawdę była zadowolona z efektu. Oczy podkreśliła ciemną kredką, usta pomalowała równie ciemną szminką, a na nogi włożyła wysokie buty na obcasie. Wyglądała na zdecydowaną, pewną siebie. Więc jakie było znaczenie, jak się czuła?

ZUZANNA KŁOSEK

Co warto wiedzieć o Zuzannie Kłosek?

Z nudnych rzeczy: ukończyła studia na kierunkach Kultury Mediów (I stopnia) oraz Twórcze Pisanie i Marketing Wydawniczy (II stopnia) z wyróżnieniem na Uniwersytecie Śląskim. Zawodowo zbłądziła w obszary marketingu i dziennikarstwa.

Z ciekawszych? Uwielbia książki Cassandry Clare, urban fantasy i dystopie. Pisze dłużej niż pamięta. W notesie, na komputerze, na Wappadzie, w czasopismach „ArtPapier”, „Kreatywni” i „Fragmentarium”.

A przede wszystkim... jest redaktorką naczelną Książkowego Szalika! I kiedyś napisze książkę, która złamie Ci serce.

KONTAKT DO AUTORKI:

Zuzanna Kłosek • 501 372 591 • klosekzuzia@gmail.com • ksiazkowyszalik@gmail.com

Instagram: https://www.instagram.com/ksiazkowy_szalik/

PRAWA ZAGUBIONE

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

Prawa
zgubione
ludzkie
w wełny miękkiej
konstelacjach
Maski tańczą
w smaku
różnych wibracjach
pod uśmiechu
cieniem
prawdy ukryte
się kryją
iluzji słowa rzeczywistość
ludzką
szyją

WYPRAWA NA KSIĘŻYC

REDAKCJA: MAGDALENA DZIEKAN

KOREKTA: MAGDALENA SIRY

KOREKTA TECHNICZNA: AGATA ZADROŻNA-WOJTOWICZ

W srebrzystym świetle Księżyca wszystko wyglądało jak sen – nie na miejscu, niczym efekt specjalny ze starego horroru. Kiedy stawiał na drabinie pierwszy krok, zostawiając za sobą chłodną od wieczornej rosy trawę, jego cień, gęsty i rozciągnięty, aż zlewał się z innymi cieniami i wydawał się jedyną rzeczą, jaka jeszcze łączyła go z ziemią. Jedynym łącznikiem ze wszystkim, co zostało za jego plecami i z każdym krokiem oddalało się od niego coraz bardziej.

Księżyc w pełni unosił się nad światem, zalewając wszystko mdlącym blaskiem, w którym krawędzie przedmiotów gubiły gdzieś ostrość, a powierzchnie zdawały się lśnić srebrną poświatą. W tej poświecie nawet powietrze sprawiało wrażenie fluorescencyjnego.

Wspiął się na trzeci stopień drabiny, czwarty, piąty. Wchodził powoli do góry, coraz wyżej, krok za krokiem. Stopy z łatwością znajdowały oparcie, dłonie pewnie chwytały się kolejnych szczebli. Plecak zarzucony na ramiona nie był szczególnie wygodny, ale i nie przeszkadzał we wspinaczce. Trochę ciężki, to prawda, i zawsze istniało ryzyko, że – jeśli człowiek się zachwieje – przeważy go do tyłu, a mozolna wspinaczka zakończy się szybko i skutecznie na ziemi, ale szanse na to były niewielkie.

Tym bardziej że miał zabezpieczenie w postaci linki, przypinanej do poszczególnych szczebli.

Dotarł na szczyt drabiny i szedł z niej na dach. Mógł, co prawda, zacząć swoją wyprawę z tego miejsca, albo z jeszcze innego: wspiąć się na górę po schodach, przejść przez prostokątną klapę w dachu, a potem ruszyć dalej, ale nie tak to sobie zaplanował. Może i wykazywał się w tym momencie głupotą, może własne

pragnienia stawiał wyżej niż rozsądek, ale chciał całą drogę od ziemi, aż do celu przebyć po drabinach – po kolejnych szczeblach. Tak to miało wyglądać, tak widział wszystko oczami wyobraźni, i tak właśnie zrobił.

Konsekwentnie. Po swojemu.

Ten sposób wymyślił już jako dziecko, kiedy niewiedza otwierała przed każdym nieskończone możliwości i cała wyprawa zdawała się być nie tylko możliwa, ale wręcz konieczna. Wyprawa na Księżyc, krok po kroku, coraz wyżej, w kierunku kosmicznej otchłani i naturalnego ziemskiego satelity, przy użyciu jedynie odpowiednio długiej, poskładanej z wielu mniejszych drabiny.

To musiało być możliwe i wykonalne nawet teraz, w dorosłym życiu.

Poprawił więc plecak, sprawdził, czy ma dobrze zawiązane buty, a żadna część ubioru nie wisi luźno i nie zaczepi się o nic w trakcie wspinaczki, postawił stopę na szczeblu tym razem metalowej, solidnej drabiny i ruszył w górę.

Kiedy był dzieckiem, miał może z pięć czy sześć lat, przeczytał komiks *Kosmosmerf*. Nie był to jego pierwszy kontakt z kosmosem; po tę historię sięgnął właśnie dlatego, że lubił zarówno małe, niebieskie stworki, które znał głównie z serialu telewizyjnego, jak i przestrzeń nad głową. Jednak to właśnie ten komiks, ta prosta historia o Smerfie, który własnymi siłami chciał zbudować sobie statek, by polecieć nim w kosmos, obudziła w tamtym małym chłopcu pragnienie pójścia podobną drogą.

Dziecięca logika odpowiedziała mu, że budowanie statku nie ma sensu, skoro można zrobić długą, mocną drabinę, która dosięgnie Księżyca. Przecież ten srebrny glob nie mógł

być daleko, jeśli widział go gołym okiem. Do-
rośli wybierali rakiety na tej samej zasadzie,
która kazała im wsiąść w samochód i jechać do
sklepu, choć mieli do niego pięćdziesiąt metrów
i szybciej dotarliby na miejsce pieszo niż autem.
Chodziło o wygodę.

On jednak nie bał się wysiłku ani zmęczenia.

A teraz był tu – w połowie długiej metalowej
drabiny, która ugięła się lekko pod jego ciężar-
em, delikatnym skosem wiodła go w środku
nocy w stronę dachu kolejnego, wyższego bu-
dynku, o który była oparta. Może jako dziecko
wyobrażał sobie, że wystarczy jedna dobrze umo-
cowana, odpowiednio długa drabina, by dotrzeć
na Księżyc; dorosłe życie pokazało mu, że to nie
takie proste.

Noc była chłodna, a powietrze pełne wilgo-
ci osiadającej na szczeblach. Znajdował się na
wysokości trzech pięter i czuł pod sobą otchłań,
która wywoływała dreszcz niepewności. Świa-
domość otwierającej się wszędzie dokoła pustki
dopadała go zresztą ze wszystkich stron. Już
niedługo wszędzie będzie miał daleko: daleko
do ziemi, daleko do dachów najwyższych bu-
dynków i daleko do Księżycy.

Tylko on i przestrzeń, on i odległość. I od-
dzielające go od wszystkiego ciche powietrze.

W takim momencie najłatwiej jest zwątpić,
wiedział to z doświadczenia. Gdy opadną siły,
chęci zmaleją, wkradnie się niepewność, sens
tego całego wysiłku zostanie podważony ni-
czym drażniący strup. Na razie jednak wciąż
czuł się pełen energii i zapału. Pełen chęci i upo-
ru, które miały mu pomóc zrealizować cel.

Otaczała go cisza nocy i mrok – czarne mia-
sto, zlepek czarnych brył budynków niewyraź-
nie rysujących się na równie czarnym tle.

Ten dach wydawał się miejscem chłodniej-
szym i bardziej odległym niż jego poprzednik.
Mocniej tu wiało, głośniejszy słychać było szept
wiatru.

Znajdował się na szczycie kilkupiętrowego
bloku – solidnej, rozległej konstrukcji – na które-
go dachu zamontowano niewielki dźwig. Jeszcze

niedawno instalowano tu fotowoltaikę; dźwig po-
został. Udało mu się ustawić jego wysięgnik tak,
by dosięgał kolejnego, potężniejszego dźwigu,
stanowiącego kolejny przystanek na jego trasie.

Wszystko sobie zaplanował i przemyślał.
Každy krok, każde podejście, każdy etap. Miał
czas złapać oddech, dać rękom i nogom odpoc-
ząć, napić się, może coś zjeść. Droga na Księ-
życ nie jest łatwa ani krótka i dopiero się zaczy-
nała, a dalej na regenerację sił może nie mieć
okazji. Przysiadł więc na chwilę, choć wcale nie
czuł takiej potrzeby, odetchnął spokojnie, uzu-
pełnił płyny i zaczął się coraz pewniej wspinać
po żurawiu w kierunku kolejnego dźwigu, cały
czas wpatrując się w skapaną w mroku nocy pa-
jęczynę linek, drutów, drabin i wszelkiej maści
metalów, do której powoli zmierzał.

Jest taki okres w życiu człowieka, taki wiek,
kiedy wszystko wydaje się możliwe. Dziecko,
podskakując w miejscu i mocno skupiając się
na tym, by opadać jak najwolniej, wierzy, że
jest w stanie choć na chwilę nagiąć prawa fizy-
ki, a potem – w dalszej perspektywie, przy od-
powiednim skupieniu i wyćwiczeniu – złamać
je, zmienić i już nie tylko spadać wolniej albo
wcale nie spadać, ale unosić się ponad ziemią.

W tym wieku, w tym okresie, wszystko jest
możliwe. Nie tylko wydaje się osiągalne – po-
 prostu takie jest. Zawsze lubił tak myśleć. Wie-
 rzył, że jeśli rodzice nie powstrzymywaliby go
 przed skokiem z dachu, kiedy miał siedem czy
 osiem lat, nauczyłyby się latać. Był pewien, że
 gdyby nie nauczyciele, którzy wkładali człowie-
 kowi do głowy wszystkie te prawa fizyki, nie
 działałyby one w taki sposób, w jaki rzekomo
 działają.

Był przekonany, że z nauką jest jak z wiarą –
 potrafi uleczyć człowieka w cudowny, sprzecz-
 ny z logiką i znanymi faktami sposób, bo odpo-
 wiednio mocno wierzymy. Nauce ufamy jednak
 bardziej, przyjmując ją za pewnik, za coś, co
 jest, podczas gdy wiara pozostaje jedynie wiarą,
 niepewnością i dlatego nie ma tej siły, jaką mieć
 by mogła.

Cuda zdarzają się rzadziej, bo przestaliśmy w nie wierzyć.

A on miał pewność, że jego cud się zdarzy.

Od zawsze wiedział, że na Księżyc można wspiąć się po drabinie. I nawet jeśli szkoła, nauka i dorosłość w pewnym momencie zachwiały tą wiarą – na tyle skutecznie, że wolał nie ryzykować z jedną, długą, gigantyczną drabiną uniesioną i opartą o srebrny glob (przy okazji zaś nie miał też możliwości technicznych, by taką drabinę unieść i utrzymać w pozycji, ale była to kwestia poboczna) – miał jej dość, by zrealizować swój cel.

Przeszedł przez metalową konstrukcję, nie narażając siebie na szwank, dotarł do drugiego, wysokiego na dobre kilkadziesiąt metrów dźwigu ustawionego na wzniesieniu i kontynuował wędrówkę.

Księżyc przesunął się leniwie nad jego głową na tle jeszcze wolniej poruszających się gwiazd.

Świat oddalał się coraz bardziej, kosmos zdawał się tkwić w miejscu, równie daleki jak przez całą jego podróż.

Trzy żurawie wieżowe górnoobrotowe, które znaczyły trójkąt bermudzki placu budowy nowego szpitala, stanowiły jedną z podstaw konstrukcji, którą tworzył w ostatnich miesiącach – wielkiej instalacji zaczynającej wspinać się w niebo na wysokość jakichś stu metrów nad ziemią. Rusztowania i liny mocujące, coraz wyższe konstrukcje, wznoszące się stożkowato ku Księżycowi, wciąż wyraźnie widocznemu po jego lewej stronie.

Mógł zacząć podróż od tych żurawi, nie od drabin, ale te drabiny w jego wizji z dziecięcych lat, były czymś na kształt marzenia i nie wyobrażał sobie, by mógł ich nie wykorzystać.

Jeśli wszystko dobrze wyliczył, za trzy godziny, kiedy srebrny glob znajdzie się niemal dokładnie nad tym miejscem, powinien być już

Antipolis



Autor: Tomasz Fijałkowski

Wydawnictwo: OdeSFa

Oprawa: miękka

Formaty: druk

Gatunek: fantasy, science fiction

Gdzie kupić? Wydawnictwo OdeSFa

Antipolis to miasto, któremu wywrócono zniszczenie. Logika snu, wizji i przeczuć napędza intrygę pełną korytarzy, ślepych zaułków, drzwi prowadzących donikąd i urywających się nagle schodów. Część zagadek znajdzie rozwiązanie. Wielu umrze, zanim pozna prawdę. Tylko nieliczni zrozumieją...

W świecie „Antipolis” Chrzest 966 nie miał miejsca i nie ufundował naszej państwowości. Nie doszło tam też do kaźni na Wzgórzu Czaszki, w związku z czym symbolika znanej nam religii ma zupełnie odmienny, być może nawet obrazoburczy – charakter. Słowianie nie tyle ulegają chrystianizacji, ile przyjmują wiarę w grecko-rzymskie bóstwa, które zresztą objawiają się na łamach powieści w licznych i krwawych epifaniach.

Alternatywna Polska (tworząca strukturę zwaną Koroną) jawi się w powieści Fijałkowskiego potęgą, bez dramatu rozbiorów. I chociaż wygrywa Wojnę Światową – gdzieś daleko, nad Wołgą, prowadzi nadal nieustające i mniejsze starcia z Rosjanami...

na odpowiedniej wysokości, by móc do niego dotrzeć.

Konstrukcja dźwigu chwiała się nieprzyjemnie, drżała i wydawała dźwięki, które brzmiały jak upiorny płacz albo krzyk. Metalowa drabina wewnątrz wieży, pomalowana na żółto jak cały żuraw, w tym świetle, o tej porze, wydawała się szara. Noc zamazywała kształty, zmieniała cienie w potwory, pozbawiała świat barw.

Chłód narastał, wilgoć zbierała się na metalu, palce drętwiały, stopy odczuwały coraz bardziej nacisk metalowych szczebli, a plecak obijał się o stalową klatkę, otaczającą drabinę dźwigu.

Nie przerywał wspinaczki, nie szukał odpoczynku. Wyszedł na szczyt, przeszedł po ramieniu dźwigu, asekurując się metalową liną, dotarł do podstawy konstrukcji, którą przez blisko pół roku budował z maniakalną upartością, i ruszył dalej. Jeden krok, potem drugi, przypięcie linki najwyższej, jak sięgał ręką, dotarcie do tego punktu, odpięcie jej, zaczepienie znowu i powtórzenie wszystkiego od początku. Zajmowało to sporo czasu, ale wolał mieć pewność, że dotrze na górę żywy. Że w ogóle tam dotrze. Przez ostatnie miesiące, kiedy niemal codziennie wspinał się na szczyt i dobudowywał kolejne elementy konstrukcji, wyrobił sobie pamięć mięśniową, ale nie zamierzał polegać na instynkcie ani rutynie. To w końcu rutyna najczęściej powodowała wypadki, w których ginęli wszelkiej maści specjaliści, zaczynając od elektryków, na budowlańcach kończąc.

Szedł powoli, ale skutecznie. Cały jego świat, wszystko, co miało dawać mu poczucie bezpieczeństwa, chwiało się, przyspieszając jego puls, jednak nie pozwolił sobie na pośpiech. Jeśli nie dotrze na czas, trudno, spędzi resztę nocy na górze, miał ze sobą jedzenie i wodę, nawet książkę, przetrwa więc do kolejnego zmerchu i dalej. W tym czasie przecież Księzyca nie zmieni swojego położenia względem punktów na ziemi i nie zmusi go do czekania całego roku, zanim znów zawisnie nad jego konstrukcją.

Szedł powoli. A przynajmniej się starał. W brzuchu czuł drętwe poddenerwowanie, się-

gające aż lędźwi – to przyjemno-nieprzyjemne mrowienie, którego doświadczało każde dziecko przed imieninami i Gwiazdką – a emocje wpływały na ocenę tego, co robił i w jakim tempie się poruszał. Ale starał się jak mógł, by zachować zasady bezpieczeństwa, które sam sobie narzucił.

Kiedy był dzieckiem, lubił bawić się w „pajęczynę” – tak to nazywał. Brał nitkę i rozciągał ją przez prawie cały swój pokój, tworząc właśnie kształt pajęczyny: zaczynał od rogów, a kończył mniej więcej na środku i powstawała płatanina, na której bawił się ulubionymi figurkami, jakby bohaterowie, których przedstawiały, zostali złapani w sidła wielkiego pająka.

To, co skonstruował na styku trzech żurawi wieżowych przypominało taką właśnie pajęczynę. Najpierw – po kilku tygodniach uczenia się metodą prób i błędów, z pomocą wysłużonego podręcznika znalezionej w kabinie jednego z nich – ustawił je w odpowiedniej pozycji, a potem wykorzystał do dostarczenia na górę, przy pomocy wciągarki, materiałów niezbędnych, by mógł kontynuować pracę.

Setki metalowych części, połączonych ze sobą najróżniejszymi metodami, zabezpieczonych stalowymi linami, ciągniętymi się aż do gruntu i wmurowanymi w zaczepy, pięły się w górę coraz wyżej. Jak połączenie lśniącej, srebrnej pajęczyny i masztów telekomunikacyjnych, celujących w samo niebo.

Na wysokości pół kilometra wszystko chwiało się i dygotało, jakby miało gorączkę, chociaż liny podtrzymujące jego drabinę były napięte jak postronki. Temperatura spadała, wilgotność rosła, jego dłonie i palce coraz bardziej traciły czucie, ale zachowywały sprawność. Wcześniej nie miał z nimi takich problemów, ale wcześniej wchodził tu za dnia, czasem spędzając noc w kabinie dźwigu, by rankiem nie tracić czasu na wspinaczkę i osiągnąć większe postępy. Teraz była noc, już dawno po dwudziestej trzeciej, początek jesieni, wiedział, że będzie chłodniej, wiedział, że rosa osiądzie na elementach, ale nie mógł przewidzieć wszystkiego.

Raz, na wysokości siedmiuset metrów, miał wrażenie, że istnieje już tylko pustka i nic poza nią, że nie ma świata, nie ma stabilnego gruntu ani tym bardziej Księżyca, a świt nigdy nie nastanie, i niemal stracił równowagę. Palce się ześlizgnęły, dłoń oderwała się od szczebla drabiny, plecak pociągnął go w tył, ale konstrukcja była nachylona ku środkowi. Druga ręka nadal mocno trzymała się konstrukcji, a lina asekurująca była przypięta tak, jak powinna, i jedynie najadł się strachu.

Otrzeźwiło go to jednak. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak się zmęczył i jak senny jest. Wraz z przypływem sił napędzanych adrenaliną, zaczął wspinać się jeszcze ostrożniej.

A Księżyc, po jego lewej stronie – taki wielki, taki bliski, taki na wyciągnięcie ręki – znajdował się coraz bliżej punktu, w którym miał się z nim spotkać.

Było grubo po północy, gdy postawił stopę na srebrnym globie. Pokryta kraterami kula unosiła się ponad kilometr nad ziemią. Kiedy dotarł na szczyt swojej drabiny, Księżyc już niemal się z nią zrównał. Z tej perspektywy zajmował mnóstwo przestrzeni, mierząc, jeśli wszystko dobrze policzył, około siedemdziesięciu dwóch metrów średnicy. Trochę się pomylił w wyliczeniach, a może materiały osiadły, i drabina, która miała osiągnąć powierzchni Księżyca, kończyła się o dobre pół metra za nisko, nie było to jednak problemem.

Upewnił się tylko, że linka dobrze trzyma i że jest dostatecznie długa, wyjął z plecaka czekany i skoczył w kierunku srebrzystej kuli.

Myślał, że ostrze się nie wbije, a on zsunie się po powierzchni Księżyca i zawiśnie na linie,

ale nic takiego się nie stało. Dzióbek wszedł w skaliste podłoże, wzbijając chmurę pyłu, podciągnął się więc, wbił drugi czekan nieco wyżej, powtórzył całą sekwencję i w końcu stanął na powierzchni.

Nie miał ochoty mówić niczego wzniosłego



ani wiekopomnego. Liczyło się jedynie to, że tu był. On. Człowiek, który marzył o tym od dziecka, który udowodnił, że jego metoda też ma sens, że można dokonać niemożliwego, że można wszystko.

Cuda się zdarzają.

Udowodnił to tylko sobie, bo nikt inny poza nim nie przetrwał – tak przynajmniej to wyglądało – ale ostatecznie i tak zawsze dla każdego najbardziej liczy się on sam.

Wspiął się na szczyt powierzchni Księżyca, niszcząc butami kilka kraterów, i rozejrzał się wokoło, ale zobaczył tylko czerń nocy i gwiazdy. I lśniący srebrem niczym mgła swój własny oddech, ulatujący ze spierzchniętych ust.

Czy to naprawdę był Księżyc? Nie miał pojęcia. Rozglądał się po niebie i nie widział innego, więc może rzeczywiście tak.

A może Księżyc przestał już istnieć, a to była jedynie atrapa? Makieta? Pozostałość po tej kosmicznej inwazji. Tej, która wymazała istnienie większości organizmów na Ziemi, a którą on, pierwszy i ostatni kosmonauta nowej ery, przeżył, bo w odróżnieniu od innych, nie wyszedł z domu, żeby filmować noc, kiedy niebo stało się widowiskowe jak hollywoodzki hit?

Kto wie.

On nie wiedział wielu rzeczy. Jak skończyła się inwazja? Kto wygrał? Dlaczego nie ma tu kosmitów ani ich statków, które ponad rok temu rozświetlały niebo jak efekt specjalny z filmów kina nowej przygody?

Nie wiedział, czy ten Księżyc był prawdziwym Księżycem, czy takim z teorii spiskowych, które mówiły, że Ziemia była płaska, a satelita unosił się nad nią na niezbyt dużej wysokości, może nawet sterowany przez ludzi. Nie wiedział, czy teraz – gdy ludzi już nie było i nikt nie ukrywał prawdy o świecie – coś się zmieniło czy nie. Nie miał pojęcia, czy Księżyc jest Księżycem, czy może jedną z zasłon dymnych, za którą, jak i za chmurami, kryły się statki inwazyjne.

Zastanawiał się, czy ten glob, na którym był, był jedynym, okrążającym świat – który musiał być o wiele mniejszy niż oficjalnie się mówiło – czy było ich więcej. Pytał sam siebie, czy Księżyc faktycznie cokolwiek okrążył, czy może w pewnym punkcie po prostu zniknął gdzieś lub stawał się niewidzialny.

Próbował zrozumieć, jak mógł on funkcjonować w miejscach, gdzie budynki znajdowały się

wyżej niż jego orbita, a góry zagradzały mu drogę, ale rozważania na temat tego, czy wszędzie poruszał się na jednej wysokości, czy był tylko jeden, czy... czy... czy...

Jaki to wszystko miało sens? Jakie znaczenie?

Liczyło się tylko to, że dotarł, że tu był.

Człowiek, który wszedł na Księżyc po drabinie.

Człowiek, który mógł wszystko.

Usiadł na powierzchni Księżyca i zaczął się zastanawiać, co teraz. Okrąży ten glob, zwisając na linie, sprawdzi czy to skała i piach, czy może coś, do czego da się wejść? Zostawi go w spokoju? Może zejdzie i powędruje za nim, próbując odkryć, dokąd zmierza i gdzie kończy – przy jego prędkości było to absolutnie wykonalne – by spotkać się z nim gdzieś na horyzoncie. A może po prostu pozwoli tajemnicy żyć dalej?

Na razie chciał tylko doczekać rana i spojrzeć na świat z tej perspektywy. Reszta nie miała już takiego znaczenia.

GWIAZDY WIEDZĄ

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

W kosmosie
dźwięki
płyną
nieśmiało
Gwiazdy wiedzą
co się dzieje i
co
będzie się
działo
przyszłość
i
przeszłość
one dobrze znają
Linie wszystkie
Czasów
sploty
niosą się
niczym
za motylem barwny
motyl

AUTOR: NOTKA PRASOWA :)

ZAMEK NA SKALE

MIEJSCE SPOTKAŃ AUTORSKICH NA DOLNYM ŚLĄSKU

KOREKTA: PAULINA MIKA

KOREKTA TECHNICZNA: EWELINA BELZ



Zamek na Skale to wyjątkowe miejsce na mapie Dolnego Śląska, w którym historia naturalnie spotyka się z kulturą, literaturą i rozmową. Położony w sercu Kotliny Kłodzkiej, nad brzegiem rzeki Biała Łądecka i otoczony trzynastohektarowym parkiem stanowi idealną przestrzeń dla wydarzeń, które wymagają czegoś więcej niż standardowej sali.

Zabytkowy kompleks łączy kilkusetletnią architekturę z nowoczesnym zapleczem organizacyjnym. Wnętrza Zamku sprzyjają skupieniu, dialogowi i kameralnej atmosferze, dlatego od lat przyciągają organizatorów spotkań autorskich, premier książkowych, debat literackich, festiwali czytelniczych oraz wydarzeń kulturalnych o bardziej refleksyjnym charakterze.



Do dyspozycji gości oddane jest profesjonalne centrum konferencyjne z pięcioma salami, które w zależności od układu mogą pomieścić od kilkudziesięciu do niemal dwustu osób. Zabytkowy dziedziniec oraz rozległy park umożliwiają organizację wydarzeń plenerowych, wieczornych czytań, koncertów kameralnych i letnich spotkań autorskich w naturalnej scenerii. Zamek na Skale oferuje również zaplecze

noclegowe dla około stu pięćdziesięciu osób, co czyni go miejscem idealnym na kilkudniowe wydarzenia literackie, rezydencje twórcze czy zamknięte premiery połączone z rozmowami i warsztatami. Restauracja z oranżerią oraz autorska kuchnia pozwalają dopasować oprawę gastronomiczną do charakteru wydarzenia: od eleganckich kolacji premierowych po swobodne spotkania przy kawie i książce.



Ogromnym atutem Zamku jest elastyczne podejście do organizatorów. Każde wydarzenie traktowane jest indywidualnie, z uwzględnieniem jego charakteru, skali i potrzeb twórców oraz publiczności. Stała opieka koordynatora pozwala skupić się na treści spotkania, pozostawiając kwestie organizacyjne w doświadczonych rękach.

Zamek na Skale to przestrzeń, która nie dominuje wydarzenia, ale subtelnie je dopełnia. Tutaj literatura, rozmowa i kultura mają odpowiednie tło, ciszę i czas, by naprawdę wybrzmieć.



Link: <https://www.zameknaskale.com.pl/>

POLITYK MUSI UMIEĆ

REDAKCJA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA: EWELINA BELZ

KOREKTA TECHNICZNA: JOLANTA SYDOR RODRIGUES

Polityk musi umieć podejmować trudne decyzje.

Wyszedł nocą, rankiem już właściwie, przed budynek ambasady i spojrzał na nielicznych ludzi wędrujących ulicami. Ktoś szedł do pracy, ktoś z pracy wracał, ktoś szukał otwartego sklepu, żeby przygotować niedługo śniadanie.

Ludzie... Pomyślał o nich „ludzie”? Zwykle przyzwyczajenie, przejęzyczenie, jeśli tak można rzec o omyłkowej myśli. (Zanotował w pamięci, żeby kazać asystentce się dowiedzieć, czy jest na to dobre słowo, kiedyś może mu się to przydać na gruncie dyplomatycznym albo gdyby, nie daj Boże, musiał się z czegoś tłumaczyć przed mediami).

Byli człekokształtni, jak większość odkrytych w kosmosie ras. Jak kula, tak i ludzka forma były jednymi z uniwersalnych kształtów występujących na różnych światach. Zmieniały się wartości takie jak wzrost, waga, długość kończyn czy kolor skóry, inna bywała liczba oczu jak i ich rozstaw; owłosienie okazywało się opcjonalne i wcale niekonieczne, zębami też bywało różnie, ale cała reszta... Dlatego zawsze myślał o nich jak o ludziach. Patrzył na seledynowe, w mroku nocy niemal zupełnie czarne postacie przechodzące chodnikiem albo jadące samochodami i widział w nich nieco innych ludzi. Ludzi smuklejszych, z dłuższymi kończynami i jasnymi włosami o barwie, której nie znał na Ziemi, ale jednak ludzi; na dodatek z takimi żywotami, jak każdy, go znał.

Ludzi.

A niedługo trupy.

Zdarza się. Ciągle się zdarza. Wszędzie.

Polityk musi umieć podejmować trudne decyzje, ale przede wszystkim musi umieć żyć

z decyzjami podjętymi przez innych. Musi umieć dochować tajemnicy, zachować milczenie – kiedy trzeba, kłamać z kamienną twarzą albo z uśmiechem godnym Oscara, choć wszyscy wokół wiedzą, że kiedy polityk uspokaja i się uśmiecha, należy wpadać w panikę i uciekać.

Musi być w pewnym stopniu – jeśli nie w całości – psychopatą, jak powiedział mu kiedyś prezydent jednego kraju.

(Prezydent jednego kraju... Jak to brzmiało? Ano właściwie. Unikanie konkretnych nazw i nazwisk było w dyplomacji tak istotne, że nie potrafił już nawet myśleć inaczej).

Ale w tym byciu psychopatą coś było. Kryła się w tym prawda, logika, sens. Bo jeśli miało się uczucia, jeśli się przejmowało, jeśli nie potrafiło się odciąć i zdystansować, jeśli w człowieku widziało się człowieka, a nie obiekt do wykorzystania, traciło się zdolność należytego dysponowania zasobami ludzkimi.

Gdyby miał uczucia w stosunku do wszystkich ludzi, gdyby hasło „ludzie” znaczyło dla niego tyle samo, co jego rodzina, gdyby znało coś więcej niż biologiczny inwentarz, nie stałby tu i nie patrzył, jak niczego nieświadomi mieszkańcy tego świata załatwiają swoje sprawy. Zaczęłyby krzyczeć, ostrzegać ich, namawiać, żeby szybko wyciągali zewsząd wszelkie oszczędności i uciekali z planety, bo Imperium, o którym jeszcze nie wiedział, czy może je oficjalnie wymienić z nazwy, zaatakuje ten świat za jakieś cztery godziny i urządzi rzeź wszystkiego, co żyje. Wybiegłby na ulicę, złapał tę matkę, która szła z małą córeczką, najwyraźniej zmierzając do przedszkola albo szkoły, i kazał

jej uciekać albo zaoferowałyby ucieczkę swoim środkiem transportu, który miał zabrać go z globu za jakąś godzinę. Krzyczały do niej, wrzeszczały, mówiły, co czeka je obie. Ale nie, on tu stał, spoglądał na wciąż jeszcze żywych mieszkańców, na wielkie budynki, niemal zupełnie wygaszone, bo większość „ludzi” wciąż jeszcze spała. Patrzył, jak kobieta, która za kilka godzin pewnie zostanie rozerwana na strzępy albo – jeśli pożyje dostatecznie długo – zgwałcona i zastrzelona, a na dodatek będzie musiała przed śmiercią patrzeć, jak oprawcy to samo robią z jej pociechą, idzie beztrąsko po chodniku, i po prostu czekał.

Bo co by to dało? Ocaliłby parę żyć? Pomógł kilku „ludziom”? I co dalej? Gdyby to się wydało, gdyby wszystko wyszło na jaw, kwestia sojuszy, jakie mieli z Imperium, posypałaby się niczym domek z kart. Może za parę godzin i tak się to stanie, może Ziemia i jej militarni sojusznicy będą musieli potępić atak i masa-

krę, jednocześnie dalej potajemnie prowadząc wymianę handlową z Imperium, bo jak mogliby zrezygnować ze wszystkich tych surowców, nawet za cenę życia całego gatunku. A może nie? Może w tym momencie liczyło się jedynie to, co tu i teraz. Nic więcej.

Do odlotu miał jeszcze pięćdziesiąt cztery minuty. Szmata czasu. Świat, który rozciągał się przed jego oczami był cichy i spokojny, ale gdzieś tam lokalni politycy, doskonale zdając sobie sprawę, co nadciąga, wyjeżdżali, ukrywali siebie i rodziny, barykadowali się, przygotowując mowy, które wygłoszą, gdy nadejdzie atak.

Żyjące na tej planecie kobiety słyszeły z namiętności. Słyszeły też z urody i seksapilu, który ceniono sobie w różnych punktach kosmosu. Nikt nie miał wątpliwości, że czeka je gorszy los niż żołnierzy na froncie. Część zostanie wywieziona, sprzedana, ale ponieważ takie transporty bywają kłopotliwe, a w kosmosie nie brakuje ras niemal równie pięknych i namiętnych, częściej

Tylko z Tobą jestem sobą



Autor: Miłosz Ławniczak

Wydawnictwo: Magia Słów

Oprawa: miękka

Formaty: druk, e-book

Gatunek: literatura młodzieżowa

Gdzie kupić? Empik

Nowa szkoła miała być dla Mikołaja szansą na świeży start i ucieczkę od bolesnych wspomnień z przeszłości. Zamiast tego przynosi spotkanie, które zmienia wszystko. Franek – charyzmatyczny, nieprzewidywalny – szybko staje się kimś więcej niż tylko kolegą z klasy, a rodząca się między nimi więź zmusza Mikołaja do konfrontacji z własnymi lękami i pytaniami o to, kim naprawdę jest.

W świecie nastolatków pełnym pierwszych imprez, przyjaźni, presji i rodzinnych problemów, ich relacja staje się schronieniem – i jednocześnie największym wyzwaniem.

Ciepła, pełna humoru, ale też refleksyjna opowieść o przyjaźni, która może przerodzić się w coś więcej - i o odwadze, jakiej potrzeba, by się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

Bo nowy początek nie zawsze oznacza spokój.

będą po prostu gwałcone i zabijane przez wrogą armię tu na miejscu. Męczzone, rozcinane od krocza do gardła – byle po żołnierzach nie pozostał żaden bękart – zamieniane w spełnienie chorych fantazji przybyszów.

Jako konsul bywał w różnych miejscach i widział takie rzeczy. Mało kto o tym mówił, ale w obecnych czasach większość ofiar konfliktu to zawsze były kobiety i dzieci. Żołnierze siedzieli w okopach, wymieniali się ogniem, bombardowali, ale każda strona konfliktu była dobrze uzbrojona i jednocześnie każda chciała przeżyć. Robili więc wszystko, by minimalizować straty, a to oznaczało po prostu minimalizowanie strat po obu stronach. Te oddziały jednak, które wdzierały się do miast, chciały zdobyć fanty, chciały gwałcić i rabować. Chciały wyładować całą swoją wściekłość na sytuację, w której się znalazły, zrekompensować sobie niewygody, więc gwałciły i rabowały, gwałciły i mordowały, gwałciły i gwałciły na potęgę, bo to było łatwe. To było proste. Kobiety i dzieci były łatwiejszym celem, a patrzeć na rozpacz matek, kiedy na ich oczach strzelali w czaszki ich dzieci, dawało satysfakcję większą niż odstrzelenie połowy głowy żołnierzowi na froncie. Żołnierz ginął i było mu już wszystko jedno, a to za mało jak na kogoś, kto raczył się bronić i ośmielał strzelać. Kiedy jednak wracał do domu po wojnie i odkrywał prawdę albo kiedy dostawał na front wiadomość, że jego żona i córka zostały zbrukane i zabite... tak, to była właściwa kara.

Stał i patrzył, a minuty płynęły.

Mógł oszczędzić niektórym z istot takiego losu. Mógł dać im życie i przyszłość. Mógł być bogiem, od decyzji którego zależało być albo nie być, ale skoro mógł być bogiem, powinien nim być i nie interweniować. Nie pomagać. Po prostu patrzeć.

Więc patrzył.

Robił to, co robiłby każdy polityk i każde bóstwo. Bo i każdy polityk ze swoją władzą był niczym ten bóg, a może nawet i Bóg.

Szosa przejechał pojazd, który tylko z racji braku bardziej odpowiedniego określenia można by nazwać samochodem.

Chodnik przeciął mężczyzna z czymś, co można było wziąć za psa na smyczy.

Ulicą przeszły dwie nastolatki, wyglądające na pijane i senne.

Drzewa rosły wzdłuż ścieżek, jeszcze nie spalone i niepołamane. W nawierzchniach nie ziały dziury po pociskach. Budynki nie nosiły śladów dymu i ognia, i ostrzału, który wybijał szyby i odrywał dusze od ciał.

Można było powstrzymać to wszystko. Można było użyć broni, która wyłączyłaby wrogą flotę z użycia w kilka minut i zmieniła statki inwazyjne w spadający na powierzchnię globu płonący



złom. Wiele można było zrobić. Ale nie na tym polegała wielka polityka. Nie tym żyła sieć sojuszy i wzajemnych relacji. Nie na tym opierał się system pewnych zysków i potencjalnych strat ani mechanizm sympatii i antypatii sojuszników.

Szkoda tylko, że nie wiedział o tym wcześniej. Szkoda, że nie miał więcej czasu. Przez trzy miesiące obecności na planecie nie skorzystał z wdzięków tutejszych kobiet, starając się zachować jak najbardziej nieskazitelną w oczach mediów opinię, a teraz...

Westchnął.

Stał jednak i patrzył, jak ostatnie godziny spokoju panują na świecie, którego niedługo już nie będzie.

Patrzył na „ludzi”, którzy wciąż mieli krew wewnątrz swoich ciał. Których serca wciąż były, a oczy jeszcze widziały.

Patrzył na budynki, w których niektórzy nadal spali, być może po raz ostatni w swoim życiu. Patrzył na mieszkania istot, które jeszcze czuły jakieś emocje poza strachem, rozpaczą i nienawiścią – jakieś pozytywne emocje, obecne w nich jak obecny był oddech, który niedługo miał ustać.

Były tam dzieci, które nie zostaną już lekarzami ani odkrywcami. Były tam ciężarne matki, które nigdy nie urodzą, i ich dzieci, które nie zobaczą nigdy niczego poza żyłkowanym, czerwonym wnętrzem macicy. Byli mężczyźni, którzy nigdy więcej nie przeżyją orgazmu ani nie zdobędą drugiej połówki. Byli księża, którzy nie odmówią już żadnej modlitwy, i przestępcy, którzy nie zdążą popełnić żadnej zbrodni.

Ale taka była polityka. A on, jako polityk, jako konsul, jak każdy polityk, patrzył i milczał, bo musiał umieć to robić.

Spojrzał na zegarek.

Jeszcze pięćdziesiąt minut.

Powietrze przed świtem było rześkie, chłodne, przyjemnie czyste – powietrze, którego już niedługo będzie tu brakować.

Ale jego wtedy tu nie będzie. Odleci, wróci na Ziemię, odbierze wypłatę, dogada przeniesienie na placówkę w jakimś spokojnym, rozrywkowym

kraju albo świecie. Ktoś na szczytach za jakiś czas zawrze sojusze, ktoś inny coś ogłosi.

Gdzieś za jego plecami, w budynku ambasady, asystenci krzatali się, pakując dokumenty i rzeczy osobiste. Widział nawet, jak zwijają dywany i przygotowują stoliki do zabrania ze sobą – piękne stare dywany i zabytkowe stoliki, które i tak przepadłyby w wojennej zawierusze, gdyby nie oni. Gdzie indziej, w bardziej ekskluzywnych miejscach, dzieła sztuki czekały już na transport i spieniężenie albo ustawienie w prywatnych gabinetach.

To nie była kradzież. To nie było szabrownictwo. Ratowali, co mogli. Ratowali, co się opłacało. Podejmowali decyzje, co mogą zabrać ze sobą, i chociaż może brzmiało to brutalnie, drugą istotę człekokształtną można bez problemu spłodzić, przeludnienie Drogi Mlecznej było faktem, ale dzieł starych mistrzów nie da się odtworzyć tak, by miały taką samą wartość jak oryginały.

Ziewnął.

Minuty wlekły się w nieskończoność. Czas płynął powoli, rozciągał się, zwalniał, każda sekunda wybrzmiewała jak akord, a każda minuta zdawała się rozwleczone do rozmiarów godziny.

Drogą znów przeszły te same nastolatki. Długie, zgrabne nogi plątały im się od alkoholu, zamglone oczy zdawały się nie widzieć nic. Gdyby tylko zechciał, mógłby je teraz zgwałcić, mógłby je nawet zabić i nikogo by to nie obeszło, bo za chwilę wybuchnie tu wojna i nic już nie będzie miało znaczenia. Mógłby zrobić z nimi, co zechce, i wiedziałyby o tym tylko on sam. Zresztą, czegokolwiek by z nimi nie zrobił i tak byłoby to o wiele lepsze od tego, co czekało na nie ze strony żołnierzy Imperium, którego nazwy nie wiedział, czy i w jakim kontekście może obecnie używać. A gdyby je zabił... cóż, to byłby akt łaski.

To wszystko byłoby takie proste. Takie naturalne.

To wszystko byłoby...

Byłoby...

Polityk musi umieć podejmować trudne decyzje, a ta do takich nawet nie należała.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze czterdzieści siedem minut do odlotu. Dość czasu, by zrobić wszystko, co chciał, nawet i dwa, trzy razy.

Zamyślił się.

A świat wokół wciąż był cichy, wciąż spokojny, wciąż nie rozbrzmiewał hukem wystrzałów i jękami rannych i gwałconych. Wciąż toczyło się tu życie.

Wciąż.

I wciąż.

I...



Swan Craft Creations, Wild Prints oraz Fragmentarium łączą siły, by wspólnie wspierać rozwój literatury niezależnej. Naszym celem jest nie tylko promowanie wartościowych książek i twórców, ale także edukowanie autorów, czytelników oraz osób stawiających pierwsze kroki w świecie wydawniczym.

Wspólnie tworzymy przestrzeń, w której pisarze mogą rozwijać swój warsztat, zdobywać wiedzę, prezentować swoją twórczość i docierać do nowych odbiorców. Dodatkowo Wild Prints obejmuje patronatem wybrane publikacje autorów związanych ze Swan Craft Creations, wspierając ich promocję oraz obecność na rynku książki.

Wierzymy, że współpraca, wymiana doświadczeń i wzajemne wsparcie są fundamentem silnej społeczności literackiej.

USZLACHETNIENIA OKŁADEK KSIĄŻKOWYCH

TECHNOLOGIA, ESTETYKA I ŚWIADOMY WYBÓR

REDAKCJA: NATALIA REWERS-KASPROWICZ

KOREKTA: KATARZYNA PYKA

KOREKTA TECHNICZNA: JOLANTA SYDOR RODRIGUES

Okładka książki nie jest tylko opakowaniem. To pierwszy komunikat jaki trafia do czytelnika – wizualny, dotykowy, a czasem wręcz sensualny. Jeszcze zanim odbiorca przeczyta pierwsze zdanie, już wie, czego się spodziewać. Uszlachetnienia (czyli dodatkowe techniki wykończeniowe) pozwalają tę komunikację pogłębić: podkreślić charakter publikacji, nadać jej rangę, wyróżnić na półce, a czasem wręcz zbudować dodatkową warstwę znaczeń.

Dobrze dobrane uszlachetnienie potrafi podnieść prestiż publikacji. Ale źle dobrane może ją ośmieszyć, wprowadzić czytelnika w dysonans albo sprawić, że projekt stanie się ciężki i nieczytelny.

Poniżej znajdziesz szczegółowe omówienie najważniejszych technik: czym są, skąd się wzięły, jak działają i kiedy warto (albo nie) je stosować.

Lakier UV (pełny i punktowy)

Lakier UV to jedno z najbardziej rozpowszechnionych uszlachetnień, a jego siła tkwi w spektakularności oraz powszechnej dostępności. Polakierowane w wybranych fragmentach okładki wyróżniają się błyszczącą powierzchnią.

Pełne pokrycie lakierem UV nie zmienia koloru oprawy i struktury powierzchni. Natomiast nadruk punktowy dodaje wyróżnienia w postaci tekstury oraz blasku tylko w niektórych częściach. W tych miejscach działa poprzez różnicę – matowe tło kontra błysk nadruku.

To właśnie ten kontrast przyciąga wzrok odbiorcy.

Lakier może być nałożony w sposób:

- pełny – pokrywa całą powierzchnię, stosuje się to jednak bardzo rzadko ze względu na cenę, a efekt jest bardzo podobny do folii błyszczącej;
- punktowy/wybiórczy (ang. *spot UV*) – nakładany tylko na wybrane elementy (np. tytuł, ilustrację, ornament).

W dobrze zaprojektowanej okładce lakier nie jest dodatkiem. Jest narzędziem do kierowania uwagą.

Pochodzenie i rozwój

Lakier UV pojawił się w trakcie rozwoju nowoczesnego przemysłu poligraficznego w latach 80. XX wieku, kiedy zaczęto szukać sposobów na:

- szybsze utwardzanie powłok drukarskich,
- zwiększenie odporności powierzchni,
- uzyskanie powtarzalnych efektów wizualnych.

Istotnym momentem było wprowadzenie technologii utwardzania światłem ultrafioletowym, pozwalającej na natychmiastowe związanie lakieru bez konieczności długiego schnięcia.

Lakier UV początkowo stosowany głównie w opakowaniach i materiałach reklamowych, szybko trafił do produkcji książek – szczególnie tam, gdzie liczył się efekt wizualny przy stosunkowo niskim koszcie.

Technologia:

- nanoszenie lakieru sitodrukiem (najczęstsza metoda) lub offsetem,
- utwardzanie światłem UV,
- możliwość precyzyjnego nakładania (maski lakiernicze).

Efekt:

- kontrast mat – błysk,
- subtelne podkreślenie elementów,
- lekka faktura.

Pasuje do:

- thrillerów, romansów, fantasy,
- poradników i książek biznesowych,
- literatury młodzieżowej.

Nie pasuje do:

- książki o surowej, ascetycznej estetyce,
- skrajnie minimalistycznych projektów,
- publikacji naukowych wymagających neutralności.

Na co uważać?

- kontrast – bez różnicy między matowym tłem a błyszczącym lakierem efekt znika (lakier punktowy),
- precyzja – przesunięcia lakieru względem druku są bardzo widoczne,
- nadmiar – zbyt duża powierzchnia lakieru osłabia jego działanie,
- czytelność – na niektórych tłach połysk może utrudniać odbiór.

Lakier 2D i 3D

Lakier 2D i 3D to rozwinięcie punktowego nakładania lakieru UV, ale z jedną kluczową różnicą: w tej technice ważniejsza od połysku



Lakier 2D

jest fizyczna obecność na powierzchni okładki. To moment, w którym projekt przestaje być wyłącznie wizualny.

Lakier 2D, podobnie jak UV, pozostaje wyraźnie płaski – działa głównie światłem oraz kontrastem między powierzchnią lakierowaną a matową. Jest delikatnie wyczuwalny.

Lakier 3D buduje strukturę – można go wyraźnie poczuć pod palcem, ale należy tu zaznaczyć, że sam w sobie jest gładki w dotyku.



Lakier 3D

Pochodzenie i rozwój

Lakier 2D wywodzi się bezpośrednio z technologii UV, stosowanej w druku od końca XX wieku. Był naturalnym krokiem w kierunku większej kontroli nad wykończeniem powierzchni.

Lakier 3D (lakier najmocniej wypukły) jest efektem rozwoju technologii druku i pojawienia się atramentów UV (*UV-curable Inks*). Umożliwiły one nakładanie wielu warstw szybko schnącego lakieru w bardzo krótkim czasie. Metoda ta pozwala projektantom na tworzenie dowolnych faktur. Mimo że jest to stosunkowo nowa technika, to jest bardzo często wykorzystywana, ponieważ daje natychmiastowy efektowny rezultat.

Technologia:

- cyfrowe lub sitodrukowe nanoszenie lakieru,
- wielowarstwowa aplikacja (w przypadku 3D),

- utwardzanie światłem UV.

Lakier 3D może osiągać różną wysokość – od subtelnego podniesienia po wyraźny, niemal „gumowy” relief.

Wymaga:

- bardzo precyzyjnego przygotowania pliku
- odpowiedniego papieru (zbyt chłonny zmniejszy efekt).

Efekt:

- 2D – elegancja i połysk
- 3D – wyraźny efekt dotykowy.

Pasujedo:

- fantasy i sci-fi (magiczne symbole, ornamenty)
- książek dziecięcych (element zabawy dotykem)
- wydań premium (albumy, katalogi).

Nie pasuje do:

- literatury faktu (mogą wyglądać zbyt dekoracyjnie),
- minimalistycznych projektów typograficznych,
- publikacji budżetowych (z uwagi na wysoki koszt druku).

Na co uważać?

- przesada – lakier 3D bardzo łatwo dominuje nad projektem,
- czytelność – gruba warstwa może deformować typografię lub sprawić, że będzie nieczytelna,
- spójność – efekt musi wynikać z koncepcji, nie z możliwości technologii,
- zużycie – zbyt wypukłe elementy mogą się ścierać.

Różnica, która ma znaczenie

Lakier 2D podkreśla elementy graficzne lub typografię. Lakier 3D dodaje nową warstwę.

Różnica między tymi metodami uszlachetnienia druku dotyczy zarówno technologii, jak

i myślenia o projekcie. Technika 2D prowadzi wzrok po okładce, a 3D dostarcza intensywniejszych doświadczeń poprzez dotyk.

Sztancowanie (wykrawanie)

Sztancowanie to jedno z uszlachetnień, które odróżnia się od innych technik tym, że narusza konstrukcję okładki. Ta cecha sprawia, że osiągnięty efekt jest jednym z najbardziej wyrazistych. W przeciwieństwie do lakieru czy tłoczenia, które dotyczą wyłącznie powierzchni okładki, tutaj ingerujemy w nią, poprzez wycięcie określonego fragmentu.



Sztancowanie nadaje oprawom dekoracyjności. Decydując się na tą metodę uszlachetnienia, należy dokładnie określić, co ma ona pokazać.

Otwór w okładce może odsłaniać:

- ilustrację ze środka,
- fragment tytułu,
- kolor kolejnej warstwy,
- albo... nic – pustkę, która sama w sobie staje się komunikatem.

Projektując okładkę, w której wykorzystuje się sztancowanie, trzeba mieć świadomość, że zastosowany wykrojnik nie może być zbyt skomplikowany i musi oddawać klimat treści książki. Dobrze zaprojektowane uszlachetnienie zadziała jak zaproszenie, źle – jak przypadkowa dziura.

Pochodzenie i historia

Korzenie sztancowania sięgają znacznie dalej niż współczesny druk książkowy.

Pierwsze formy wykrawania pojawiły się w rzemiośle introligatorskim i produkcji opakowań już na przełomie XVIII i XIX wieku, kiedy zaczęto wykorzystywać metalowe wykrojniki do seryjnego wycinania powtarzalnych kształtów. Była to odpowiedź na rozwój przemysłu – potrzeba szybkości i powtarzalności.

Jednak sama idea „wycinania w materiale” jest jeszcze odleglejsza. Najstarsze znane nam przykłady to:

- zdobione pergaminy i papiery ażurowe w sztuce islamskiej,
- ręcznie wycinane ilustracje i kartki okolicznościowe w Europie,
- techniki wycinanek ludowych (które, choć o innej funkcji, operują podobną logiką negatywu i pozytywu).

W książkach sztancowanie zaczęło pojawiać się szerzej w XX wieku, szczególnie w:

- książkach dziecięcych (okienka, ruchome elementy),
- wydaniach eksperymentalnych i artystycznych,
- projektach, które chciały przełamać płaskość książki jako obiektu.

Dziś wraca jako świadomy środek projektowy – nie tylko efekt, ale narzędzie opowiadania.

Technologia:

Technika wywodzi się z przemysłu opakowań i introligatorstwa, gdzie wykorzystywano wykrojniki do masowej produkcji pudełek. Stosuje się w niej:

- wykrojniki metalowe,
- nacisk mechaniczny,
- możliwości wielowarstwowości.

Efekt:

- interakcja z wnętrzem książki,
- efekt „podglądu”,
- narracyjność formy.

Pasuje do:

- książek artystycznych,
- literatury eksperymentalnej,
- książek dla dzieci.

Nie pasuje do:

- wydań masowych i kieszonkowych,
- projektów wymagających dużej trwałości.

Tłoczenie (*embossing* / *debossing*)

Tłoczenie to uszlachetnienie, które nie dodaje nic na powierzchnię – ono zmienia samą strukturę materiału. Materiał wykorzystany na okładce przestaje być płaski. Zaczyna pracować światłem i cieniem.



W przeciwieństwie do technik, które operują kolorem i połyskiem, tłoczenie działa delikatniej, subtelniej, ale też efektowniej.

To technika, która nie krzyczy: Zobacz.

Raczej mówi: Zbliź się.

Rozróżniamy dwa podstawowe typy tłoczenia:

- *embossing* – tłoczenie wypukłe (element wyróżniony unosi się ponad powierzchnię),
- *debossing* – tłoczenie wklęsłe (element wyróżniony wduszony jest w papier).

Pochodzenie i historia

Tłoczenie ma swoje korzenie w dawnym introligatorstwie – w czasach, gdy książki były przedmiotami luksusowymi, oprawianymi ręcznie w skórę.

Już w średniowieczu stosowano metodę tłoczenia na skórzanych oprawach. Powtarzalne wzory odbijano ręcznie na okładkach przy użyciu rozgrzanych metalowych narzędzi.

W renesansie i późniejszych epokach tłoczenie stało się jednym z głównych środków dekorowania książek. Podkreślało:

- wartość dzieła,
- status właściciela,
- wizualną hierarchię.

Z czasem, wraz z rozwojem druku przemysłowego, technika została zmechanizowana, ale jej charakter pozostał ten sam: precyzyjne odkształcenie materiału jako forma zdobienia.

Dziś tłoczenie jest jednym z najbardziej klasycznych uszlachetnień, które jest używane nawet w nowoczesnych projektach.

Technologia:

- matryca (forma z wzorem)
- kontrmatryca (dopasowana forma przeciwna)
- nacisk mechaniczny
- temperatura (szczególnie przy łączeniu ze złoceniem).

Rodzaje tłoczeń:

- suche (*blind embossing*) – bez koloru, tylko forma
- tłoczenie ze złoceniem – połączenie z folią metaliczną
- mikrotłoczenie – bardzo drobne detale.

Efekt:

- subtelna gra światłem i cieniem
- wyczuwalna pod palcem struktura
- elegancja bez nadmiaru

Tłoczenie to jedno z najbardziej sensorycznych uszlachetnień – często odbierane bardziej ręką niż okiem.

Pasuje do:

- literatury pięknej
- poezji
- wydań kolekcjonerskich.

Nie pasuje do:

- projektów krzykliwych i bardzo kolorowych
- książek młodzieżowych o dynamicznym charakterze (chyba że przez świadomy kontrast)
- tanich wydań (łatwo wygląda na niedopracowane, jeśli wykonanie jest złej jakości).

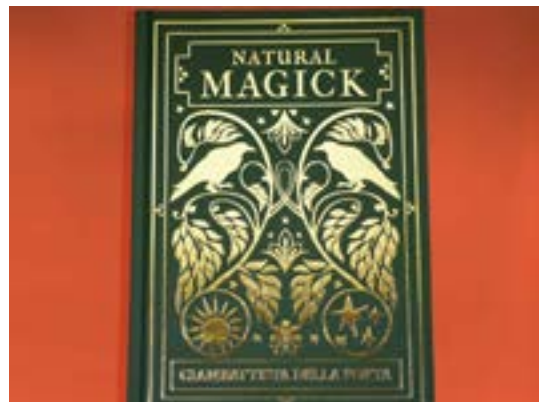
Na co uważać?

- czytelność – zbyt drobne elementy mogą się zgubić
- materiał na okładce – nie każdy dobrze reaguje na tłoczenie
- siła nacisku – zbyt mocne tłoczenie deformuje okładkę
- nadmiar – tłoczenie najlepiej działa w oszczędnej formie.

Najważniejszym wyróżnikiem tłoczenia jest fakt, że nie potrzebuje dodatkowych efektów specjalnych. Subtelnie zmienia powierzchnię okładki, zatrzymując światło i nadając książce wyjątkowości, której nie da się osiągnąć żadną inną techniką uszlachetnienia.

Złocenia (*hot stamping*)

Złocenie to uszlachetnienie, które operuje światłem w najbardziej bezpośredni sposób – odbija je. Nie symuluje połysku i nie sugeruje elegancji, lecz ją narzuca.



Na powierzchnię okładki nanoszona jest cienka warstwa metalicznej folii (najczęściej złotej lub srebrnej), która pod wpływem temperatury i nacisku trwale łączy się z materiałem. Efekt jest natychmiastowy: mocny, kontrastowy, trudny do zignorowania.

To technika, która mówi: To jest ważne.

Czasem nawet: To jest luksusowe.

Pochodzenie i historia

Złocenia mają swoje źródło w dawnym rzeźmie inroligatorskim, kiedy książki były obiektami elitarnymi – często zamawianymi na dworach, w klasztorach, przez osoby o wysokim statusie społecznym.

Początkowo ręcznie наносzono złoto płatkowe na skórzane oprawy. W ten sam sposób wykonywano ornamenty i tytuły na grzbietach i okładkach książek. Do tego celu wykorzystywano nagrzewane narzędzia, które wtapiały złoto w powierzchnię. Był to proces czasochłonny, wymagający precyzji i doświadczenia, a przez to kosztowny. Złocenie stawało się nie tylko dekoracją, ale też symbolem wartości i prestiżu.

Wraz z rozwojem technologii drukarskich złoto płatkowe zostało zastąpione folią transferową, a proces zmechanizowany. Charakter jednak pozostał ten sam: połysk jako znak wyjątkowości.

Technologia:

Technika wywodzi się z tradycyjnego zdobienia książek i opraw skórzanych – dawniej wykonywana była ręcznie. Proces polega na wprasowaniu folii w powierzchnię materiału – tylko w miejscach kontaktu z matrycą. Aby wykonać złocenie wykorzystywane są:

- matryca ze wzorem
- wysoka temperatura
- nacisk
- folia metaliczna (złota, srebrna, miedziana, holograficzna, kolorowa).

Możliwe warianty:

- złocenie płaskie
- złocenie z tłoczeniem (efekt wypukłości + połysk)
- różne kolory i wykończenia (matowe, błyszczące, satynowe).

Efekt:

- intensywny połysk
- silny kontrast z tłem
- natychmiastowe przyciąganie wzroku.

Złocenie działa nawet z daleka. Nie trzeba się zbliżać – patrząc na złocenie, masz wrażenie, że samo wychodzi do odbiorcy.

Pasuje do:

- fantazy i literatury epickiej
- książek historycznych
- wydań kolekcjonerskich
- publikacji religijnych
- projektów, które mają się wyróżniać.

Nie pasuje do:

- reportaży i literatury poważnej, dokumentalnej
- projektów skrajnie minimalistycznych (jeśli złocenie dominuje)
- książek „codziennych”, gdzie efekt może wyglądać pretensjonalnie.

Na co uważać?

- przesada – złocenie bardzo łatwo staje się dominujące
- czytelność – na jasnym tle może tracić kontrast i być niewidoczne
- spójność – nie każdy projekt będzie pasował do tej techniki
- jakość wykonania – niedokładne złocenie wygląda nieprofesjonalnie.

Złocenie nie jest neutralne. Nigdy. Wprowadza do projektu hierarchię, ciężar, deklarację wartości. Może podnieść książkę do rangi obiektu kolekcjonerskiego. Może też sprawić, że stanie się zbyt wyraźna albo na granicy kiczu.

Dlatego złocenie działa najlepiej wtedy, gdy jest użyte świadomie – nie jako ozdoba, ale jako akcent.

Barwienie brzegów

Barwienie brzegów to uszlachetnienie, które nie dotyczy samej okładki książki, lecz krawędzi kartek (bloku książki). To technika, która wychodzi poza oprawę. Kolor nie kończy się na froncie – przenika na krawędzie, zamykając projekt w spójną całość.



To jedno z nielicznych rozwiązań, które działa nawet wtedy, gdy książka leży zamknięta. Widzisz ją z boku – i już coś się dzieje.

Brzegi mogą być:

- jednolicie barwione (np. czarne, złote, czerwone)
- cieniowane (gradienty)
- zdobione wzorem lub ilustracją
- ukryte – widoczne dopiero przy rozchyleniu stron (*fore-edge painting*).

Uszlachetnienie w postaci barwienia stron to więcej niż tylko dekoracja. Stanowi przedłużenie treści książki – poza jej oczywiste granice.

Pochodzenie

Barwienie brzegów ma długą, rzemieślniczą historię. Już w średniowieczu i renesansie:

- brzegi książek pokrywano kolorem, aby chronić je przed kurzem i zabrudzeniem

- stosowano złocenia na krawędziach (tzw. *gilded edges*)
- ręcznie malowano ornamenty i sceny.

Szczególnie fascynującą formą było *fore-edge painting*, które polega na tym, że:

- ilustracje są ukryte na brzegu bloku
- widoczne są dopiero po odpowiednim rozchyleniu stron
- często przedstawiają sceny związane z treścią książki.

Ukryte barwienie stron to sztuka subtelna, niemal sekretna – dostępna tylko dla uważnego czytelnika.

Współcześnie technika wraca w nowej formie jako:

- element marketingowy
- wyróżnik wydań specjalnych
- świadome narzędzie projektowe.

Technologia współczesna:

Obecnie stosuje się kilka metod barwienia krawędzi stron:

- natrysk (*sprayed edges*) – najpopularniejszy, szybki i stosunkowo tani
- druk cyfrowy na krawędziach – umożliwia skomplikowane wzory
- sitodruk / tampondruk – przy bardziej precyzyjnych projektach
- ręczne barwienie – w edycjach kolekcjonerskich.

Ważne: brzegi muszą być idealnie przycięte i ściśnięte – inaczej farba „wejdzie” między strony.

Efekt:

- natychmiastowy – osiągnięcie poziomu premium
- wyróżnienie książki nawet przy zamkniętej okładce
- spójność wizualna całego obiektu (okładka + blok).

To jedno z niewielu uszlachetnień, które nanoszone jest z każdej strony książki, nie tylko na okładkę czy grzbiet oprawy.

Bardzo dobrze pasuje do:

- fantasy i romantasy (ciemne brzegi, ornamenty, motywy magiczne)
- literatura młodzieżowa i kolekcjonerska,
- wydania specjalne / limitowane,
- poezja (szczególnie minimalistyczne, monochromatyczne brzegi),
- książki prezentowe.

Dobrze pasuje (przy umiarze):

- literatura piękna,
- książki obyczajowe (np. subtelny kolor zamiast grafiki).

Gdzie nie pasuje?

- reportaż i literatura faktu ,
- publikacje naukowe i akademickie,
- książki budżetowe (jeśli podnosi cenę bez uzasadnienia),
- projekty, które mają być „niewidzialne” i neutralne.

Na co uważać?

- czytelność projektu – brzegi powinny być spójne z okładką,
- jakość wykonania – nierówne barwienie wygląda nieprofesjonalnie,
- ścieralność – niektóre farby mogą się szybko wycierać,
- przesada – bogaty wzór + złocenia + tłoczenie = chaos.

Ciekawostka (i potencjał narracyjny)

Barwione brzegi mogą pełnić funkcję opowieści:

- ukryty symbol widoczny dopiero po rozchyleniu książki
- kolor zmieniający się w wydawanej serii (każdy kolejny tom różni się od siebie)
- wzór, który zamyka historię wizualnie.

To rzadki przypadek, gdy uszlachetnienie może być dodatkowym elementem fabuły lub świata przedstawionego.

Jak łączyć z innymi uszlachetnieniami?

Barwienie brzegów nie konkuruje z okładką, ale tworzy całość. Szczególnie, gdy projekt jest przemyślany i prawidłowo wykonany.

Nadaje jej obecność – nawet wtedy, gdy nikt jej nie czyta. I właśnie dlatego coraz częściej nie jest dodatkiem, tylko świadomym wyborem projektowym.

Barwienie brzegów dobrze współgra z:

- tłoczeniem (elegancja + detal),
- złoceniem (wydania premium),
- lakierem UV (jeśli okładka jest bardziej nowoczesna).

Słabiej działa z:

- nadmiarem efektów 3D,
- bardzo skomplikowanymi sztancowaniami.

Jak wybierać uszlachetnienia świadomie?

- 1. Spójność z treścią** – okładka musi współgrać z książką, a efekt wizualny nie może przeczyć treści.
- 2. Hierarchia** – uszlachetnienie ma wspierać projekt – nie zastępować go.
- 3. Budżet** – niski: lakier UV pełny; średni: lakier UV wybiórczy, tłoczenie, złocenie, barwienie brzegów; wysoki: złocenie, sztancowanie.
- 4. Doświadczenie dotykowe i wzrokowe** – czytelnik nie tylko patrzy, ale wybiera często książki dotykając ich. Tak dane techniki mogą być odczuwane:
 TŁOCZENIE = SUBTELNOŚĆ
 LAKIER 3D = WYRAZISTOŚĆ
 BRZEGI = CAŁOŚCIOWE DOŚWIADCZENIE

Najczęstsze błędy to:

- nadmiar uszlachetnień
- brak uzasadnienia estetycznego
- niedopasowanie do gatunku
- projektowanie „pod efekt” zamiast kierowania się treścią
- zbyt mały kontrast, powodujący brak czytelności.

Lakiery mówią: Zobacz.
 Tłoczenie mówi: Poczuj.
 Złocenie mówi: To ważne.
 Sztancowanie mówi: Wejźdź głębiej.
 Barwione brzegi mówią: Ta historia wykracza poza okładkę.
 Najlepsze projekty nie używają wszystkiego naraz. Wybierają jeden kierunek i prowadzą go konsekwentnie.

Podsumowując, uszlachetnienia to swoisty język. Każde z nich przemawiają do czytelnika w inny sposób:

Blind Date with a Book



Książkowe niespodzianki dla miłośników czytania

Prowadzę mały książkowy projekt, w ramach którego tworzę paczki niespodzianki typu „Blind Date with a Book”. To propozycja dla osób, które kochają czytać i lubią element zaskoczenia.

Każda książka jest starannie zapakowana tak, aby jej tytuł pozostał tajemnicą aż do momentu otwarcia paczki. Na opakowaniu znajduje się krótki opis klimatu historii, dzięki czemu można poznać jej nastrój, nie zdradzając fabuły ani tytułu.

Oprócz książki w paczce znajdują się również drobne dodatki, takie jak ręcznie wykonana zakładka, słodka niespodzianka oraz różnego rodzaju bookish i self-care gadżety. Wszystko przygotowuję samodzielnie i pakuję z dużą dbałością o detale.

W ofercie znajdują się książki z różnych gatunków, m.in. romanse, fantastyka, thrillery czy literatura obyczajowa, dzięki czemu każdy może znaleźć coś dla siebie.

Pomysł narodził się z miłości do książek oraz chęci stworzenia czegoś, co sprawi innym radość. Zależy mi na tym, aby otwieranie paczki było wyjątkowym doświadczeniem i dawało tyle samo emocji, co odkrywanie samej historii.

Każda paczka jest tworzona ręcznie i z sercem. Cieszę się, że mogę dzielić się swoją pasją z innymi czytelnikami i tworzyć małe książkowe niespodzianki, które wywołują uśmiech.

Znajdź mnie tutaj:

TikTok: [@bookdate.box](https://www.tiktok.com/@bookdate.box)

Instagram: [@bookdate.box](https://www.instagram.com/bookdate.box)

Wizytówka online:

www.bookblinddate.my.canva.site

Znajdziesz tam więcej informacji o projekcie, zawartości paczek oraz aktualnie dostępnych książkowych niespodziankach.

Dziękuję każdej osobie, która wspiera mój projekt i pozwala mi rozwijać tę książkową pasję.



TRAWIENIE

REDAKCJA: KATARZYNA SETKIEWICZ-SŁOWIK

KOREKTA: MAGDALENA DZIEKAN

KOREKTA TECHNICZNA: NATALIA REWERS-KASPROWICZ

Mieli jeszcze trochę czasu, popołudnie wciąż było w pełni, złociste, może nieco miedziane, ale nadal słoneczne, więc zatrzymał się przed kioskiem i kupił kilka drobiazgów. Płacąc telefonem, próbował dostrzec przez witrynę budki sprzedawczynię, której chuda, sucha wręcz ręka pokryta żyłami i plamami wyciągnęła ku niemu terminal. Jednak odbijające się w szybie słoneczne światło skutecznie mu to uniemożliwiło.

Wcisnął zakupy do kieszeni, mruknął coś na pożegnanie i razem ze swoją lepszą połową ruszył dalej.

Było ciepło. Gorąco.

Za gorąco na garnitur, który miał na sobie. Lepsza połowa przynajmniej była ubrana w sukienkę, coś eleganckiego, ale lekkiego, nic czarnego, nic przylegającego. Jasny materiał, wzór w kratkę, nieco ozdób, wszystko niemal zwiewne, ale i tak podkreślające jej kształty. On, wbity w strój, który idealnie pasował i na chrzciny, i na śluby, i do pochowania w nim kogoś, próbował się nie spocić, rozchyłał marynarkę, żeby złapać trochę powietrza, chłodu, ale nie bardzo było skąd.

– Cholerne wesele – mruknął.

– W sali będzie lepiej – pocieszyła go kobieta.

W sali będzie klimatyzacja, w sali zdejmie marynarkę i odwiesi ją na oparcie krzesła. Ale w sali będzie też tłok, gorąco bijące od ludzkich ciał, będzie wódka, zimna, ale rozgrzewająca, i będą gorące dania, może nieszczęśliwie świeże – tak jest zawsze – ale na pewno parujące. Wątpił, by było lepiej.

Nic się nie odezwał. Bo musiałby jej powiedzieć, że tam wszyscy będą spoceni i czerwoni, więc co za różnica.

Powietrze było gorące, duszne i pachniało wonią spalin, kwitnących w upale roślin i perfum konwaliowych. Na ulicach i chodnikach ruch był znikomy, nieliczni ludzie przemykali w ciszy, samochody razily w oczy odbitym w szybach światłem, drzewa dawały niewiele cienia. Dobrze, że chociaż uczestnictwo w ślubie mieli już za sobą.

Chciał powiedzieć: „Mogliśmy się wybrać do sali busem”, ale zrezygnował. Mieli niedaleko, busem pojechali najbliżsi. Poza tym jego lepsza połowa wołała się przejść, miała ochotę na spacer. Tylko że to nie ona musiała nieść prezenty.

W końcu dotarli. Betonowy plac, nagrany i duszny, z trzech stron otoczony drzewami, przechodzącymi w spory zagajnik, może niewielki las. Łąka z samotnymi krzakami, kilka namiotów, które jeszcze składano i zabierano po jakiejś niedawnej imprezie okolicznościowej. Nad nimi zmieniające się kolory ciemniejącego nieba.

Goście wchodzili na salę. Czekający na nich młodzi odbierali kolejne prezenty i koperty z pieniędzmi, które miały im zrekompensować część kosztów wesela. Tłum szumiał gwarem rozmów, ludzie witali się z parą młodą, jakby wcale nie widzieli jej pół godziny wcześniej, składającej sobie przysięgę w chłodnej świątyni. Słysząc było głośnie cmoknięcia i wybuchy śmiechu.

A potem, gdy wszyscy już weszli do środka, drzwi się zamknęły. I się zaczęło.

Każde wesele kojarzyło mu się z pogrzebem. Każda impreza z okazji ślubu i składania sobie obietnicy wspólnego życia, dopóki śmierć – a częściej rozwód – nie rozłączy, przypominała mu siedzenie w szpitalnej poczekalni.

Zawsze zaczynało się tak samo, jak późne popołudnie w pracy albo szkole. Ludzie siedzieli przy stołach, a za oknami dogasał dzień. Promienie słońca, coraz bardziej pomarańczowe, wpadały przez szyby, mieszając się z powoli dominującym elektrycznym oświetleniem.

Bywał na różnych weselach. Widział sale skąpane w półmroku, w których blask płynący spod sufitu koncentrował się pośrodku, tam, gdzie młodzi, gdzie głupie zabawy i całe zamieszanie, i widział sale zalane sterylnym, niebieskawo-fioletowym światłem, w którym każdy wyglądał jak sarna złapana w sidła samochodowych reflektorów. Za każdym razem czuł się nie jak na weselu, nie jak w miejscu, w którym ludzie powinni się bawić i być szczęśliwi, ale jak na stypie albo w gabinecie lekarskim. Jak w pustce kosmosu na chwilę przed śmiercią.

Spory parkiet, długie stoły, zimna wódka, gorący bigos, sok na popitkę, ciepły, jak powietrze dookoła. Zawsze tak samo. Te same spocone twarze, ta sama muzyka. I ten sam ból głowy następnego dnia.

Już nawet nie zwracał uwagi na to, co się dzieje wokół niego.

Siadał do stołu, wznosił toast, mamrocząc pod nosem coś, co młodzi brali za słowa wygłoszone na ich cześć, i zaczynał odliczanie wybijane kolejnymi kieliszkami i kęsami. Wódka, bez soku, może czasem przepłukana wodą gazowaną, jeśli akurat była schłodzona. Bigos. Flaczki. Potrawy pochłaniane bez pieczywa. Nie żeby go nie było, ale każdy, kto przychodził na wesele, chciał się najeść – czegoś niezłego, może nieszczególnie drogiego, ale i tak o wyższej wartości niż chleb czy bułka, którymi za szybko by się napełnił. Więc i on rezygnował z pieczywa.

Zresztą białe pieczywo to śmierć.

Na tej samej zasadzie ludzie pili bez zapijania, bo wódka jest droższa niż woda, a żołądek nie ma nieskończonej pojemności.

Muzyka grała, ale starał się jej nie słuchać. Jego lepsza połowa rozmawiała z ludźmi, czasem próbowała brać go do tańca, czasem piła. Ciężko mu się na nią patrzyło, kiedy przystawiała kieliszek do ust i upijała z niego nieco, zaraz



Sklep stacjonarny CardHorizon w Warszawie już otwarty!

Nasz sklep to miejsce, gdzie poważni gracze i kolekcjonerzy mogą cieszyć się grą w dobrym stylu. Przestronne, nowoczesne i klimatyzowane – stworzyliśmy idealne środowisko do epickich bitew i nocnych draftów.

Napij się kawy z naszego ekspresu, rozgość się i skup się na tym, co najważniejsze: kartach. Czyste obiekty, doskonała atmosfera i społeczność, która żyje i oddycha TCG.

Tak powinien wyglądać lokalny sklep z grami.

Adres: Antoniego Józefa Madalińskiego 21, 02-513 Warszawa

Sklep on-line: [TUTAJ](#)

zabijając smak jego zawartości herbatą albo sokiem pomarańczowym. Jakoś to do niej nie pasowało. Coś jej odbierało, czegoś ujmowało, w to samo miejsce wsączając coś, czego nie powinno w niej być. A przynajmniej nie w tej „niej”, którą zawsze przy nim była. Ale na imprezach, nieważne czy to wesele, czy nie, nikt nie jest sobą. Państwo młodzi udają, że nie widzą swoich wad, chociaż zaczęli je już dostrzegać. Goście udają, że szczerze życzą im wszystkiego najlepszego i są tu dla nich. Pary udają, że wcale się nie rozstają, byle nie psuć weseł. A dzieci udają, że to wszystko wcale ich nie nudzi i nie chciałyby do domu – albo chociaż do chwili, kiedy nikt nie zauważy, jak same sięgną po alkohol.

Sala urządzona została na styku tradycji i nowoczesności. Ściany stylizowane na drewniane, ciepłe, pomarańczowe oświetlenie, duże okna, za którymi przez krótki czas widać było łąkę i drzewa – teraz została tam jedynie czerń i odbicie wnętrza rozsmarowane po szybach.

Ludzie śmiali się, powietrze wypełniały rozmowy, jakieś piski, okrzyki. Wodzirej zainicjował zabawę w tańczenie, gdy melodia grała, i siadanie na krzesłach, kiedy cichła. Ktoś się przewrócił, wstał, otrzepał garnitur i zorientował się, że pora zdjąć marynarkę, więc postanowił odwiesić ją na krzesło, które wcześniej zajmował. A skoro już dotarł do tego krzesła, to przysiadł, żeby wypić następny napełniony kieliszek i zjeść trochę pački z białej miski.

Zaczęły się tańce w kółku, popłynęła kolejna porcja muzyki, taka jak cała oprawa tego wieczoru.

– Chodź, zatańczymy – powiedziała ze śmiechem lepsza połowa, wyciągając rękę do swojego partnera.

Miała czerwone policzki i pot na czole, z obecności którego nie zdawała sobie nawet sprawy. Oczy jej błyszczały.

Pokręcił głową.

Nie chciał tu być. To byli jej znajomi, ludzie, z którymi to ona się spotykała. Nie był tu, żeby z nimi świętować.

– Jak chcesz – burknęła, ale nie wyglądała na szczególnie obrażoną. Raczej znieczuloną i obojętną.

Poszła sama.

Siedział przy stole i patrzył, jak odchodzi, jak znajduje kogoś, przed kim porusza ciałem, wygina się, śmieje.

Napił się. Też poczuł się znieczulony.

Jakaś kobieta przy stole zjadała rosół, próbując wciągnąć makaron uparcie przylepiający się jej do brody. Jakiś mężczyzna, którego by nie poznał, gdyby zobaczył go następnego dnia – a pewnie nie zobaczy go już nigdy – szperał w kanapkach z wędliną, podnosząc i odkładając kolejne kromki, jakby żadna nie spełniała jego wygórowanych oczekiwań. Gdzieś dalej, przy niemal pustym stoliku chłopak starał się zagadać do dziewczyny w podobnym wieku, całkiem ładnej. Jakieś dziecko czołgało się pod stołami. Większość bawiła się na parkiecie.

Klimatyzacja pracowała głośno, zlewając się z muzyką, wpasowując się w jej rytm.

Wyjął telefon, odpalił przeglądarkę, ale Internet miał słaby zasięg, wszystko wolno się wczytywało, pikselowało, wieszało. Schował urządzenie z powrotem do kieszeni i rozejrzał się za czymś, co miałby ochotę zjeść, a co nie byłoby zmacane czyimiś spoconymi, lepкими palcami.

A potem mrok za oknem się zmienił. To, co było czernią, zaczęło migotać jak płomienie – błyski żółci i pomarańcza na tle nocy.

Muzyka grała. Ludzie tańczyli. Zaczęła się kolejna idiotyczna zabawa – ściskanie między sobą balonu, aż pęknie, a napierająca na niego para zderzy się częściami intymnymi, zanoszając się przy tym głośnym śmiechem.

Ziewnął, przetrął oczy, wreszcie znalazł coś, co wyglądało na nadziewane jajka i – jak się potem okazało – całkiem nieźle smakowało, nałożył kilka na talerz i wrócił na miejsce, a blask pełgał za oknem, jakby płynąc z nieba.

Było już dobrze po północy. Oczepiny wszyscy mieli za sobą – panna młoda niemrawo rzuciła bukietem, który poleciał krzywym łukiem i odbił się od wyciągniętych rąk, lądując na podłodze i wywołując szamotaninę wśród dziewczyn, natomiast pan młody cisnął krawatem do celu całkiem skutecznie, wprost w ręce kolegi, który wcale nie chciał niczego łapać.

Potem wjechał tort. Duży, biały, z falbankami z piany, jakby ktoś ubrał w suknię ślubną kilka ustawionych na sobie okrągłych pudełek.

Zimne ognie na torcie tryskały wokoło sterylizującymi iskrami, które gości jeszcze zanim na dobre zapłonęły.

Za oknem pomarańczowy blask pełgał jeszcze wyraźniej. Cicho, ciszej niż ogień w kominku.

Tort został pokrojony i rozdzielony między gości. Słodki, ciężki, wchodził mdląco w gardła, w których wszystko nabierało piekącego posmaku alkoholowej zgagi. Powietrze pachniało jak lukier, etylowanilina, bigos, pot i odświeżacz powietrza. Jak perfumy, kuchnia po ugotowanym obiedzie i słodycze zjedzone na deser. Tak jak pachną tylko imprezy okolicznościowe. Chrzcziny i komunie, bierzmowania i śluby, imieniny i stypy.

Tak pachnie krąg życia.

Blask na zewnątrz był coraz bardziej pomarańczowy, coraz mocniej przypominający ogień, coraz intensywniej rozedrgany i wyraźny.

Lepsza połowa znów z kimś tańczyła, coraz bliżej, coraz wolniejsze numery. Ludzie śmiali się i bawili, pili i jedli. Wciąż podchodzili do automatu z jedzeniem, w którym czekało na nich wszystko, co tylko zechcieli z weselnego menu – zimne czy gorące. Pojedyncze dania, całe półmiski, pełne talerze.

Didżej grał, wodzirej wołał chętnych do następnej zabawy.

Lepsza połowa, roześmiana, wracała do stolika, by pociągnąć łyk wódki, od razu zapić go sokiem i zmieszać je w ustach jeszcze przed przełknięciem.

Zmęczona, zaczerwieniona, spocona, chwiejąca się, ale wyraźnie zadowolona.

Jej partner, ten, z którym przyszła, wypił kolejny kieliszek.

Patrzył, jak ludzie chodzą po sali, jak pary wymykają się na tyły, do łazienek, a potem wychodzą z nich, poprawiając zmięte, powyciągane ubrania. Ale nikt nie zwracał uwagi na takie szczegóły.

Wyrzał przez okno. Zdawało mu się, że mrok nieba płonie, że języki czegoś, co wyglądało jak ogień, pełzną po czerni. Miał wrażenie, że korony drzew się palą.

Zagryzł wódkę czymś, na co nawet nie zwrócił większej uwagi, wciąż patrząc na swoją lepszą połowę. Na tę zazwyczaj spokojną osobę, która najchętniej przeleżałaby większość dnia, zamiast wybierać się gdziekolwiek, a która teraz tańczyła, z sukienką falującą wokoło tak, że prawie widać jej było majtki. O ile jeszcze je miała.

Wypił znów. Pomieszczenie zdawało się kiwać, poruszać. Krzesło chyba nie było najlepszej jakości, bo chwiało się niespokojnie.

Ludzie tańczyli, jakby od tego zależało ich życie. Głupie zabawy toczyły się w szalonym, pijackim rytmie. Coraz częściej ktoś się przewracał, upadał na pośladki i śmiał się, tym mocniej, im ciężiej było mu albo jej wstać. Muzyka grała, wodzirej nawoływał coraz głośniejsze, alkohol płynął. Wszystko w tempie, jakby kończył się świat.

Wypił jeszcze trochę i nogi krzesła zmiękły nieco bardziej. Może było z plastiku? Może powoli się rozpuszczało? Przecież nie był pijany, czuł się dobrze.

Klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach, ale w sali było duszno, gardła wysychały, usta pierzchły, ciała się pociły.

Patrzył, jak jego lepsza połowa się chwieje, opiera na jakimś facecie, zanosi śmiechem. Patrzył, jak wisi tak na nim przez chwilę, z jego udem zbyt blisko jej krocza, jakby nie było w tym nic erotycznego.

Napił się jeszcze.

Za oknem przemknęło coś, co wyglądało jak płonący jeleni, ale nie zwrócił na to większej uwagi.

Następnym punktem programu była zabawa z marynarkami. Ten, kto układał plan wydarzeń na weselu, na zainicjowanie wyzwania oparte go na refleksie wybrał moment, kiedy wszyscy, którzy pili – a nie było nikogo, kto by alkoholu odmówił – znajdowali się w stanie, w którym więcej rzeczy kończyło się porażką niż zwycięstwem. Furkot marynarek ginął w śmiechu wywołanym kolejnym nietrafieniem do celu, kolejnym upadkiem, kolejną falą mdłości.

Na razie nie pił. Trawił. Patrzył, jak lepsza połowa tańczy, jak zamienia się na marynarki z facetem młodszym od niej o dobre kilka lat, i próbował to wszystko przetrwać.

A blask stawał się coraz intensywniejszy, coraz bardziej wyrazisty, coraz...

„Jak noc może wciąż trwać w takim świetle?“, zastanowił się przelotnie, ale jego myśli szybko wróciły do tańca i zamiany marynarek. Do śmiechów, czerwonych twarzy i kropelek potu.

Do zburzonych fryzur i rozpadających się relacji międzyludzkich.

Klimatyzacja szumiała głośno, jej dźwięk wciśkał się przez uszy, wywołując zawroty głowy i mdłości. Muzyka przedzierała się przez niego, jakby wycinała sobie drogę przez gęstą melasę.

Za oknem znów przebiegło coś, co przypominało płonące zwierzę. Zwierzę, którego futro stoi w ogniu, a za nim ciągną się smugi dymu i iskry, przed którymi chce uciec, ale nie ma ani dokąd, ani jak.

Wstał, podszedł do automatu z napojami, wyciągnął coś zimnego, nie patrząc nawet co. Przyłożył puszkę do czoła, po chwili odjął, otworzył z sykiem, wypił. Sięgnął po drugą. Pęcherz dał o sobie znać, więc poczłapał do toalety, której podłoga lepiała się od wszystkiego, co zostawili tu goście weselni. Śmierdziała przetrwanym alkoholem i potem. Jak w pokoju, w którym dopiero co kochała się pijana para, po czym zasnęła w barłogu poplamionym treścią żołądka.

Skorzystał z pisuaru, a w tle słyszał jęki duchów, dyszenie i stękanie dusz potępionych.



W opętanej kabinie toaletowej zredukowane jedynie do odgłosów ludzkie żywota nie przejmowały się już niczym, zostawiając za sobą ziemskie troski.

Kiedy wrócił, lepsza połowa właśnie kończyła coś przegryzać – a może pić – i znów poszła się bawić.

Usiadł i wypił następny kieliszek.

I jeszcze jeden.

Po ilu można stracić przytomność?

Po ilu dochodzi do uszkodzenia narządów wewnętrznych? Mózgu?

Wypił kolejny.

– Pora na pokaz fajerwerków! – krzyknął wodzirej. – Wszystko na cześć naszej młodej pary!

Jak każdy profesjonalny wodzirej także i on miał już splątany język.

Ludzie zaczęli się zbierać do wyjścia, rozmawiając, potykając się i zanosząc się śmiechem, jaki w człowieku mogą wywołać tylko procenty.

Też wstał, gdy nagle uderzyły go ogłuszające dźwięki klimatyzacji, które wdarły mu się do ucha środkowego, zaburzyły błędnik i zachwiały całym ciałem. Musiał się czymś podeprzeć, podtrzymał się oparcia krzesła, tego miękkiego krzesła o miękkich nogach, aż odzyskał równowagę i potoczył się w kierunku drzwi.

Ktoś sięgnął do klamki, ktoś pchnął skrzydło. Do środka wdarło się gorące powietrze śmierzdzące dymem, jak płonące futro i spalone rośliny. Zaduch zatykał nozdrza i usta, wysuszał gardła, ale ludzie się śmiali, cieszyli, bawili. Niejeden trzymał w rękach butelkę wódki.

To wtedy starsza kobieta, może matka panny młodej, może rodzicielka jej męża, a może ktoś z ciotek przeżegnała się, mówiąc:

– Matko Boska, koniec świata...

I napiła się wódki.

Niebo płonęło. Ogniste smugi przesuwwały się na tle czerni niczym osobliwa zorza polarna.

Korony drzew stały w ogniu, jakby to była złota polska jesień, jakby gałęzie obsypało po-

marzącowymi i czerwonymi, żółtymi i zielonymi liśćmi. Jakby zbliżające się do horyzontu słońce w idealnie pogodny dzień przebijało przez nie, tworząc wrażenie drżących płomieni, trawiących cały świat.

Powietrze wypełniał dym. Popiół wirował w pomarańczowym blasku. Coś, co mogłoby być jeleniem – gdyby tylko jelenie płonęły i biegały, ciągnąc za sobą szary ogon gęstego kopcica – przecięło łąkę na tle lasu, który zdawał się rudzieć i rozjaśniać.

Coś pękało i wybuchało w dali. Puff, bum, moment ognia, błysk. Koniec. I od nowa.

Ludzie stali pod zadaszeniem sali weselnej i patrzyli na to wszystko. Patrzyli i pili. Patrzyli i tańczyli. Patrzyli i zachowywali się, jakby nie zostało im żadne życie do przeżycia. Wśród nich lepsza połowa, uwieszona na ramieniu faceta, z którym się wcześniej bawiła. Chwiała się i chyba chichotała, jak zawsze powyżej pewnego progu stężenia alkoholu we krwi, którego według niej samej nigdy, ale to nigdy nie osiągała.

Ziewnął, bo kiedy ziewał, mdłości częściowo ustępowały, obrócił się na pięcie, co wyglądało bardziej, jakby się zachwiał, i wrócił do środka zrobić sobie drinka z zimnym napojem. Nie będzie przecież pił samej wódki. Nie chciał się upić. Nie miał żadnego powodu tego robić.

W szarówce przedświtów opuścili salę i weszli w popiół, tak jak wchodzi się w świeży śnieg. Brodzili w nim, zostawiali ślady. Pył jak na księżycu, odciski butów jak te zostawione przez astronautów.

– Be-ę-tę mia-a całe puty brudne – wymamrotała lepsza połowa.

Nie była już tancerką, teraz uczepiła się jego ramienia i razem człapali przez spaloną łąkę w kierunku ścieżki i dalej, w stronę drogi, aż do przystanku i busa do domu.

Zabawa do białego rana.

Świat wyglądał jak jedno wielkie pogorzeliśko. Krajobraz zagłady, apokalipsy, końca

świata bez końca świata, bez apokalipsy i bez zagłady.

Z popiołu już zaczynały wyrastać zielone źdźbła, szary pył rozwiewał wiatr. Gdzieś w dali przebiegło coś, co mogłoby być jeleniem, który nie spłonął. Gdyby w ogóle było jeleniem. Gdyby stworzenie takie jak to mogło spłonąć.

– A-e jesssem zmieszona – bełkotała lepsza połowa, uśmiechając się. Tak uśmiechali się ludzie, którzy padają ze zmęczenia po maratonie seksu, ale przynajmniej sobie dogodzili.

Milczał.

Szli dalej.

Wesele na obcej planecie. Co za głupota. Kto to wymyślił?

Wiedział kto, to było pytanie retoryczne, ale...

Przetarł oczy, przeczesał włosy.

Podobno impreza okolicznościowa w świecie, gdzie występuje takie zjawisko, to niesamowite przeżycie. Nawet nie próbował zrozumieć – bo głowa była zbyt ciężka, zbyt zamglona, jak to po nieprzespanej nocy – co doprowadza do zapłonu roślin i jeleniopodobnych zwierząt, których jest tu mnóstwo. Goście mogą pić, bawić się i tańczyć, a potem wychodzą i zamiast sztampowych fajerwerków oglądają, jak płoną całe lasy, a palące się stworzenia, które jednak się nie spalają, bo są odporne na ogień, biegają wokół.

Nikt nie ginie. Nic złego się nie dzieje. Tak funkcjonowała tu natura. Tak roznosiło się życie. Płonące liście rozsiewały nasiona, płonące zwierzęta pozbywały się pasożytów, ale i pomagały roznosić zarodniki roślin. Wybuchające grzyby – ciche puff, bum, moment ognia i błysk – rozrzucały wszędzie swoje potomstwo.

Było gorąco, ale w tropikach też tak jest, a jednak wszyscy tam jeździli. Było drogo, ale wcale nie drożej niż na Ziemi, w którejkolwiek z markowych sal weselnych. Było daleko, ale przy obecnej technologii równie daleko – a może raczej równie blisko – było w zasadzie wszędzie tam, gdzie tylko byli ludzie, nieważne czy to kosmos, czy inny kraj. Tak samo jak nieważne było, czy to odległa planeta, czy obca

ziemia – ludzie wszystko byli w stanie podbić, zmienić na podobieństwo tego, co znali, i sprawić, by to, co nowe, szybko spowszedniało i znużyło.

Nie słyszał już klimatyzacji, ale nadal było mu niedobrze, nadal kręciło mu się w głowie. Cholerne zmęczenie. Nieprzespana noc.

Czuł się wykończony. Miał zgagę, bolał go żołądek. Kiepskie, niezbyt świeże jedzenie dało mu się we znaki.

Czy był zły? Rozczarowany? Smutny? Chyba bardziej znudzony, nie miał pojęcia i w zasadzie go to nie obchodziło.

W kieszeni marynarki poczuł coś twardego – to były tylko drobiazgi, te tandetne pamiątki, które kupił w kiosku dla turystów dobre dziesięć godzin temu. Nic ważnego, ale przynajmniej będzie miał coś z innego świata. Coś dla siebie. Wątpił, by jeszcze kiedyś chciał się wybrać na inne planety. Wszędzie tam, gdzie byli ludzie, zawsze było tak samo.

Ziewnął.

Musiał się przespać, a do przystanku dla kosmibusów było jeszcze tak daleko. Cholera. Mógł zaczekać na autobus, który podwiózłby ich do centrum, ale chciał się przejść. Orzeźwić. Chyba.

Nieważne.

Poczłapali dalej przed siebie.

30.04.2025 r.

OD OBELOSA DO ZNACZNIKÓW W PDF-ACH,

CZYLI HISTORIA ZNAKÓW KOREKTORSKICH

REDAKCJA: KATARZYNA PYKA

KOREKTA: AGATA ZDROŻNA-WOJTOWICZ

KOREKTA TECHNICZNA: EWELINA BELZ

Nie tylko redaktor i korektor, ale też każdy autor, który wszedł na drogę procesu wydawniczego, zna tryb śledzenia zmian w Wordzie, Libre Office czy w Google Doc. Odkąd praca w tych edytorach stała się powszechna, tradycyjne znaki korektorskie nanoszone na marginesy wydrukowanych tekstów odeszły do lamusa. Ciągłe jednak trwają w naszej świadomości jako świadek rozwoju technologicznego. A dziś sięgniemy jeszcze głębiej – do ich początków: skąd się wzięły, jaką pełniły funkcję i jak przez wieki ulegały modyfikacji. Ich znaczenie ściśle zaś wiązało się z tym, czym dawniej była korekta.

Korekta jako krytyka tekstów

W starożytności i średniowieczu korekta miała zupełnie inne oblicze. Nie była to praca nad dziełem literackim, które dopiero powstaje, ale polegała ona na badaniu dawnych tekstów, sprawdzaniu ich oryginalności i porównywaniu kopii. Była to tzw. krytyka tekstualna. Jej twórcą był Arystarch z Samotraki (216–144 p.n.e.), grecki gramatyk i autor setek komentarzy do utworów poetyckich.

Pierwsze znaki korektorskie

Arystarch potrzebował jakiegoś sposobu na oszczędne i uniwersalne nanoszenie komentarzy do badanych tekstów. Opracował więc system symboli, który funkcjonował aż do IV w. n.e. Były to tzw. symbole arystarchiańskie. Odsyłały one czytelnika do komentarza, sygnalizowały trudne miejsca, niepewność przekazu bądź beznadziejne zepsucia. Przykładem takiego zepsucia

było np. tzw. *eyeskip* (kopista, przepisując tekst, odrywał wzrok od oryginału i znów do niego powracał. Jeśli w tekście różne fragmenty rozpoznały się od takiego samego wyrazu, kopista podczas przepisywania mógł nieświadomie przeskoczyć dalej, co skutkowało zniknięciem kawałka tekstu. Mogło to nawet zmienić sens całości).

Symbole arystarchiańskie

Obelos (–)

Najważniejszy znak, służący do atetezy (zakwestionowania autentyczności). Oznaczał, że dany wers jest podrobiony, niewłaściwy merytorycznie lub nie pasuje do stylu autora, i zdaniem krytyka powinien zostać usunięty.

Asterisk (✖)

Oznaczał wers wybitnie trafny, piękny lub poprawny.

Asterisk z obelosem (–✖)

Sygnalizował, że wers jest autentyczny w innym miejscu, ale tutaj został błędnie wpisany przez kopistę.

Diple (>)

Znak czysto informacyjny – dany wers zawiera coś godnego uwagi: rzadkie słowo, specyficzną formę gramatyczną lub kwestię, którą krytyk wyjaśniał szerzej w swoich osobnych komentarzach.

Diple perięstigmene (>)

Diple z kropką. Używane, gdy krytyk nie zgadzał się z interpretacją lub poprawkami innych uczonych pracujących nad danym tekstem.

Antisigma (O)

Wskazywała na błąd w kolejności. Informowała, że dany wers lub grupa wersów znajduje się w złym miejscu i powinna zostać przestawiona.

Kropka lub kropki (·)

Umieszczane nad literą lub słowem wskazywały, że to co pod nią powinno zostać usunięte.

Monogram δι (διόρθωται)

Oznaczał „poprawiono”, czyli że manuskrypt został sprawdzony z oryginałem i już naniesiono poprawkę bezpośrednio w tekście kopii.

Średniowieczne znaki korektorskie

W średniowieczu niektóre znaki korektorskie ewoluowały graficznie, niektóre zmieniły znaczenie, inne zaś zniknęły z użycia a pojawiły się nowe.

Obelus¹ (+)

Zyskał nowy wygląd – prosta, pozioma kreska opatrzona często kropkami (÷) z czasem stała się krzyżem (pionowym sztyletem), ale nadal znak ten był używany do wskazywania tekstu wątpliwego lub zbędnego.

Ekspunkcja (kropkowanie)

Małe, wyraźne kropki stawiane bezpośrednio pod literami, które miały zostać usunięte. Wyglądało to tak, jakby litery „stały” na kropkach.

Capitulum (¶)

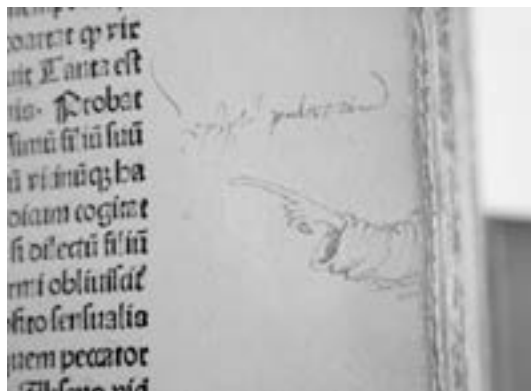
Symbol ewoluujący z litery „C”, która pierwotnie oznaczała nowy rozdział. Wczesne wersje przypominały literę „C” z pionową kreską, późniejsze zyskały charakterystyczny „podwójny brzusek” i dwie laski, co znamy dziś jako znak akapitu.

Caret (^)

Prosty symbol odwróconego „v”, wskazywał miejsce wstawienia tekstu lub litery zapisanych mniejszymi literami i innym kolorem atramentu nad linią lub na marginesie.

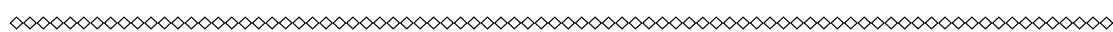
Manicula

Rysunek dłoni z wyciągniętym palcem wskazującym umieszczany na marginesie, by zwrócić uwagę na ważny fragment (odpowiednik dzisiejszego „ważne!”).



Symbol manicuły z XV wieku. Źródło zdjęcia:

<https://en.wikipedia.org/wiki/Manicule>



1 Zmiana zapisu wynika ze stosowanego języka: *obelos* (gr.), *obelus* (łac.)

Tylda jako specyficzny znak

Tylda (~) miała dwie funkcje: mogła oznaczać skrót lub wstawienie. Jeśli jakieś słowo było używane często, by nie trzeba było zapisywać go w całości, stosowano tyldę, do zasygnalizowania czytelnikowi, że wyraz jest niepełny.

- *Dñs = Dominus (Pan)* – tylda nad „n” sygnalizuje brak liter z obu stron;
- *ŝli = sancti (święty)* – tylda nad wyrazem oznacza brak środkowych liter;
- *imperpetuum (własność)* – częste słowo w aktach prawnych było zapisywane: *iperpetuū*.

Gdy w tekście należało wstawić brakujący fragment, tyldę umieszczano w problematycznym miejscu oraz na marginesie (tu już wraz z tym, co trzeba było dodać).

Służyła również jako znak informujący o dodaniu dłuższego tekstu. Zapisywano ją wtedy jak wszystkie inne znaki korektorskie w miejscu wstawienia i na marginesie.

Jak to wygląda dziś

Niektóre symbole stały się podstawą współczesnych znaków, jak choćby *capitulum* czy *caret*. Skreślenia i zamiana kolejności liter lub słów czy wstawianie dodatkowych wersów są nadal aktualne. Ale część symboli, jak np. *asterisk* czy *obelos* zyskały całkiem nowe znaczenie. Współcześnie znamy je jako ozdobniki rozdzielające fragmenty tekstu lub odnośniki przypisów.

Widzimy więc, że choć korekta w dawnym znaczeniu różniła się od tej, jaką znamy dziś (oczywiście analiza krytyczna tekstu nadal ma się świetnie), to sama idea nanoszenia poprawek do tekstu jest taka sama. Obecnie nie stosuje się już klasycznych sposobów redakcji, jednak nie mogę nie ulec wrażeniu, że historia poniekąd zatoczyła koło, wchodząc na kolejny poziom, jakby pięła się po spirali.

Pierwotnie skrybowie i korektorzy zdrapywali atrament z pergaminu i błędne zapisy zastępowali poprawnymi (zupełnie jak my dziś

robimy to w Wordzie – tylko mniej drastycznie, chyba, że zapomnimy włączyć śledzenie zmian!). A czy same znaczniki w tekście oraz na marginesach i umieszczane przy nich komentarze (bez ruszania pierwotnego zapisu) nie przypominają pracy na pliku PDF? Dawni skrybowie także, tworząc kolejną kopię, uwzględniali zapisy korektorskie, by dzieło było czyste, czytelne i zgodne z oryginałem.

Świat pędzi do przodu coraz szybciej, więc i współczesny proces korektorski jest ekspresowy, bo przecież trudno, by jedną książkę wydawać kilkaset lat (a takie potrafiły być czasowe odstępy między jedną a drugą korektą starożytnych manuskryptów). Cieszymy się zatem współczesną technologią, ale nie zapominajmy też o źródłach redaktorskiego zawodu.

BŁYSK I OGIEŃ

REDAKCJA: KATARZYNA PYKA

KOREKTA: KATARZYNA SETKIEWICZ-SŁOWIK

KOREKTA TECHNICZNA: NATALIA REWERS-KASPROWICZ

Nil wydaje się wieczny. Jakby źródła miał nie w sercu Afryki, a w prehistorii. Niezmierzone wody przecinały pustynię przynajmniej na sto tysięcy lat przed pojawieniem się człowieka. Przy nim nawet piramidy wydają się młode. Tylko bogowie dawniej pilnujący jego corocznych wylewów potrafią spojrzeć w toń bez niepokoju. Przynajmniej niektórzy.

Na brzegu, pośród sitowia zabici zbłąkaną kulą armatnią leżą siwowłose kapłan i atrakcyjny młody mężczyzna. Bogowie przyglądają się im z zainteresowaniem.

Okręt zadrżał, jakby niebo miało zawalić na głowy. Trzydziestodwufuntowe działa na dolnym pokładzie wypluły z siebie żelazo i dym. Lżejsze karonady¹ zagrały o ton wyżej, dokładając ogień i śmierć.

– Ruszać się, chłopcy! Dajcie im w kość, ładować!

Nastoletni midszypmen² nazywał chłopcami obsługę dział, często dwa czy trzy razy starszą od niego. Na dodatek złożoną z kryminalistów, którzy od śmierci woleli służbę w marynarce wojennej, albo z ludzi wcielonych do niej, gdy byli zbyt pijani, żeby zaprotestować. Po miesiącach treningu ruszali się jednak dobrze naoliwiony mechanizm, ładując, czyszcząc i przetaczając armaty z powrotem do strzału. Wszystko w gryzącym dymie, piekielnym upale i na mokrym od krwi kolegów dolnym pokładzie HMS Bellerophon.

Midszypmen Benjamin Hulke skończył odliczać w myślach. Rzucił okiem przez otwór strzelniczy.

– Przygotować się! Stać twardo. Jeszcze tylko jeden raz! – obiecał im, przebijając się przez hałas bitwy. Oczywiście kłamał. Kierował tą sekcją dział już prawie godzinę, powoli tracił głos.

Wtedy L'Orient odpowiedział. Jak zwykle wolno. Francuzi dawali dwie salwy na brytyjskie trzy. Cóż z tego, skoro ich flagowy okręt miał dwakroć więcej dział. Huk. Łoskot miażdżonego drewna, krzyki rannych i umierających. Powietrze zgęstniało od drewnianych drzazg. Oderwane od statku latały wszędzie, rozpylając wokół krwawą mgłę.

Spojrzał na rozmiar kłęski. Działo numer trzy było rozbite, połowa obsady zniszczonej Skaczącej Nelly nie żyła. Przynajmniej przetrzuci tych, którzy jeszcze stoją, do innego. Z siedmiu armat, które jego sekcja miała na początku bitwy, zostały już tylko cztery.

– OGNIĄ! – Padło polecenie podane z góry. Ben wykrzyczał je prawie równocześnie i Bellerophon odpowiedział kanonadą. Cały czas trzy na dwie.

– Sir! Trzeci oficer prosi pana na pokład. – W zejściówce³ pojawił się Daniel, sympatyczny kucharz.

„Jeżeli obsługa kuchni robi za gońców, to...” – nie dokończył niepokojącej myśli Ben. Rozejrzał się po ciemnym pokładzie, szukając kolegi dowodzącego drugą sekcją. Ten oparty o wręgę⁴ poprawiał sobie właśnie bandażę.

1 Karonada – krótkolufowe działo okrętowe strzelające ciężkimi pociskami na małą odległość.

2 Midszypmen – kandydat na oficera odbywający coś w rodzaju stażu na okręcie.

3 Zejściówka – przejście między pokładami statku.

4 Wręga – część konstrukcyjna kadłuba w formie drewnianych żeber.

– Przejmij moich, zaraz wrócę.

Michael tylko pokiwał głową spojrzął na niego spod złotych loków olbrzymimi niebieskimi oczami. Ben uświadomił sobie, że właśnie zostawił czternastolatka dowodzenie armatami, które jedną salwą wyrzygiwały z siebie prawie pięćset funtów żelaza. Wojna.

Na ciasnych schodach zejściówki wszystko gięło się i trzeszczało, kiedy Bellerophon walczył o życie. Szli szybko, ale ostrożnie.

– Jak jest na górze? – zapytał Benjamin.

Kucharz zbierał już na szósty krzyżyk. We flocie spędził prawie pół wieku i z racji pogodnego usposobienia często robił za opiekuna młodszych kadetów.

– Źle, sir. Rozpierdalają nas, przepraszam za wyrażenie, w pudding. Cała nadzieja, że wyślą nam kogoś z pomocą. Kapitan ranny, pierwszy i piąty nie żyją. Jest problem z przodu i potrzebują kogoś, kto pokieruje tam ludźmi.

Ben przełknął ślinę. Naprawdę nie wyglądało to dobrze.

– Nie martw się... To tylko trochę ognia i błysków. Da pan sobie radę, sir. – Kucharz natychmiast się poprawił.

Benjamin czuł na sobie jego wzrok o sekundę za długo. Pokonując ostatnie schody, torturował się, rozmyślając, czy ten stary człowiek dawno go przejrzał.

Czy wie o wszystkim? Czy dlatego właśnie postanowił złamać etykietę i tak się do niego odezwać? Tuż przed wejściem na pokład sprawdził, czy pistolet jest na swoim miejscu, i uładził mundur.

Jak tylko znalazł się na pokładzie, padł na deski. Noc rozbłysła kanonadą wystrzałów. Na moment stało się oślepiająco jasno, zanim znów wszystko spowił słoń, gryzący dym czarnego prochu.

– Błysk i ogień, jego mać – wymamrotał Benjamin i podniósł się na nogi, sprawdzając, czy ktoś zauważył ten moment słabości.

Z tego, co widział, bitwa szła dobrze, ale nie beznadziejnie. Śmiały plan nocnego ataku na zatokę Abū Qīr wyraźnie wypalił. Nelson wprowadził część swoich okrętów między zakotwiczoną francuską flotę a mielizny i teraz bezwzględnie te kleszcze wykorzystywał. Wszystko szło świetnie, tylko nie dla Bellerophona. Czy to na skutek błędu w nawigacji, czy złego planowania znalazł się zakotwiczony naprzeciwko francuskiego okrętu flagowego⁵. Od godziny walczyli z trójpokładowym potworem i, nie ma co ukrywać, przegrywali. Grube burty L'Orientu wydawały się zrobione nie z dębu, a z kamienia. Z wysokości tej fortecy żołnierze piechoty morskiej zasypywali ich ołowianym gradem, a ciężkie działa nieprzyjaciela rozrywały okręt na strzępy.

Ben zobaczył pokład podobny do biblijnej doliny Armagedonu – spowity dymem, potrząskany, zalany krwią. Tylko ludzie wciąż robili swoje, jakby byli z żelaza, a nie ze słabego ciała. Ruszył biegiem w kierunku pokładu rufowego.

Drugi oficer ledwo na niego spojrzął. Był za stary na swoje stanowisko, w wolnych chwilach czytał Plutarcha, a teraz bardzo starał się nie pokazywać, że sytuacja go przerasta. Nawet mu to wychodziło.

– Sekcja dziobowa melduje o przecieku poniżej linii wody. Pójdzie pan zobaczyć, co się tam dzieje naprawdę. Jeżeli cieśle nie dadzą rady, proszę założyć łatę z żagla. Tylko żadnego odciągania ludzi od dział. Zresztą... – Spojrzała na Benjaminą. – Wie pan, co trzeba zrobić.

Ben nie był tego wcale taki pewien.

– Tak jest, sir.

Pokładem wstrząsnęła kolejna wymiana ognia. Przez świat przetoczyły się dwa gromy – pierwszy z armat Francuza i drugi, chyba jeszcze głośniejszy – pękających desek i trzeszczących drzewców. Benjamin ruszył biegiem na dziób. Myślał o jednym z fresków na suficie kościoła w Cardiff, na który patrzył jako dziecko zamiast słuchać pastora. Święty Jerzy spowity kłębami

5 Okręt flagowy – taki, z którego dowodzono całą eskadrą, zazwyczaj największy i najlepiej uzbrojony w zespole.

dymu ścierał się na nim z wielkim wężem. Powietrze wypełniało staccato francuskich muszkietów i świst kul. Strzelali na ślepo, bo pokład był zadymiony nie gorzej od smoczey jamy. Biegiem minął grotmaszt i zatrzymał się z oczami wwierconymi w ciało, o które prawie się potknął. Bosman – bez rąk, którymi jeszcze wczoraj... Ben nie mógł zrobić kroku, zastygły niczym żona Lota. Trzask. Głośny jakby wspomniany święty wziął smoka w swoje spracowane ręce i złamał mu kręgosłup na kolanie.

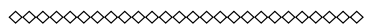
– Leeeciii!!! – Czyjś przerażony wrzask wyrwał go ze stuporu.

Trafiony kulą armatnią grotmaszt⁶ walił się niczym gigantyczne drzewo ulegające ciosom drwala. Robił to powoli, z ospałością rzeczy wielkich, ciężkich i niebezpiecznych. Konopne liny, grube na ramię dorosłego człowieka, rwały się jak batystowe nitki. Uwolnione omiatały pokład, zgarniając z niego żywych i umarłych. Maszt zakończył swój upadek z ogłuszającym grzmotem, robiąc po drodze wyrwę w sterburcie⁷ i demolując pokład.

Benjamin poczuł tylko, jak jedna z lin uderza go niczym kafar, i po locie trwającym mgnienie oka pochłonęła go zatoka Abū Qīr. Zaplątany w olinowanie, wciągany w matnię przez przygniatające go części masztu nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. Rozpaczliwie próbował wydostać się z duszających go lin.

Mówią, że umierającemu człowiekowi staje przed oczami całe jego życie. Benowi przychodziły do głowy tylko jego kłamstwa. Wieczna ucieczka. Może nie przed karą śmierci jak u jego ludzi, ale... Sztuczki, których użył, żeby znaleźć się na pokładzie statku, z którego właśnie go zmiotło. Czy to wszystko miało się teraz skończyć? A może jeszcze raz się uda? Zebrał się w sobie, wypuścił całe powietrze z płuc i próbował się precyzyjnie przez zaciskającą się pętlę. Jednak czarne, gęste wody Nilu oślepiły, zgłuszyły i wyciskały z człowieka wszelkie życie.

Dryfował przez ciemność starszą niż piramidy, falującą odwiecznym rytmem wylewów świętej rzeki. Gdzieś daleko brzmiał śpiew kapłanów. Nie gładka, elegancka harmonia kościelnego



6 Grotmaszt – środkowy z trzech masztów, zazwyczaj największy z nich.

7 Sterburta – prawa burta.

chorału, ale chaotyczne, rozbite na setki pojedynczych głosów śpiewających w pozornie losowo dobranych kanonach ostre słowa w nieznanym języku. Poczł, jak włosy jeżą mu się na karku od kanciastych dźwięków. Mimo to próbował płynąć do ich źródła. Ale mrok nie ustępował, tłamsząc wszystkie jego wysiłki. Wypatrywał w nim jakiegokolwiek zmiany, przeblysku najciemniejszej nawet szarości. Czegokolwiek co wyrwałoby go z tego morza atramentu.

„Czy to koniec? Czy stanę teraz przed Bogiem, który oceni mnie za wszystko, co zrobiłem?” – pomyślał. – „A może tak daleko od Anglii nie sięga Jego ręka i dostanę się w łapy jakichś pożańskich bałwanów?”

Odpowiedział mu miękki łopot skrzydeł. Ciężki ptak o długim, krzywym dziobie ledwo odcinał się od ciemności. Ben rozpaczliwie wyciągnął ręce do góry, chciał go złapać, poczuć cokolwiek innego niż pustkę. Ibis przechylił głowę, jakby przypatrywał mu się uważnie.

– To będzie zabawne – powiedział i rechocząc, odleciał w czerń.

Nagle światło. Zabłysło niczym latarnia morska, której blask ratuje statek niesiony podczas sztormu ku ostrym przybrzeżnym skałom i szalejącej wśród nich kipieli. Chciał wrzeszczeć z radości, ale ciemność wdarła mu się do ust i spędziła rodzający się krzyk. Płonący punkt oderwał się od horyzontu i półkolistą trajektorią wykreślił firmament. Ben rzucił się za nim. Płynął. Nigdy w życiu nie wyrzucał ramion tak mocno ani tak szybko nie przebierał nogami. Zdążył. Kiedy złota kula przebyła nieboskłon i tuż przed tym nim zginęła za horyzontem, poczuł, że ciemności zelżały, a on stał bosymi stopami w piasku.

Plaża była zupełnie pusta. Nigdzie nie było widać ani łuny, ani żadnego innego śladu ludzkich siedzib. Mimo to poczuł się ocalony. Mundur miał w strzępach, krwawił z niewielkich ran i otarć, a jego harcap rozwiązał się, rozsypując mokre włosy. W tej absolutnej ciszy poczuł się czysty, wolny i bardzo, bardzo samotny. Jak

dziecko. I jak dziecko padł na kolana i zaczął głośno dziękować Bogu za ocalenie.

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Znane słowa niosły spokój i budowały kruche poczucie bezpieczeństwa. Gdzieś przy trzecim czy czwartym wersie jego umysł zaczął błędzić, przypominając sobie historię Jonasza. „Skoro Bóg wyciągnął go z paszczy wieloryba, to może i mi nie da szczeznąć na tej plaży”. Nadzieja wróciła. Gadający ptak wydawał się minioną halucynacją.

W nieco lepszym nastroju wstał. Pamiętał mapę, na której przed bitwą robili z drugim oficerem ćwiczenia nawigacyjne. Na zachód stąd powinna być Aleksandria, a w niej na pewno Francuzi. Już miał zacząć szukać drogi, ledwie jednak zrobił parę kroków, zobaczył, że to, co dotychczas brał za stały ląd, było tylko łąką piasku, długą może na kabel.

Nie zdążył jeszcze na dobre desperować z tego powodu, kiedy usłyszał głośny szmer czegoś pełzającego po piasku. Z Nilu (przepastne wody, które oblewały plażę, nie mogły być przecież niczym innym) wyłonił się olbrzymi wąż. Gwiazdy lśniły odbite w jego szmaragdowych łuskach – każda wielka jak talerz z kapitańskiej zastawy. Na grzbiecie siedział półnagi mężczyzna z twarzą ptaka o dziwnym dziobie. Wąż podniósł łeb do góry i spojrzał na Bena świdrującymi złotymi oczyma.

Ten wyciągnął pistolet, którego jakimś cudem nie zgubił, i podniósł go drżącą ręką. Lufa latała na lewo i prawo. Mimo iż bestia była wielkości drzwi od stodoły, Ben nie był pewien, czy trafi. Tyle z lekcji od świętego Jerzego.

– Odłóż tę śmieszna zabawkę. – Wąż z całą pewnością nie mówił po angielsku, a mimo to był doskonale zrozumiały. – To tylko błysk i ogień, nie robi mi krzywdy.

Ben rozdziawił szeroko usta i przeniósł wzrok z gadającego węża na milczącego jeźdźca. Musiał wyglądać wyjątkowo głupio, kiedy próbował zdecydować, co go bardziej dziwi.

– Ciężko było cię znaleźć, kapłani zazwyczaj wrzucają was do rzeki trochę bardziej na południe.

– Co? Jacy kapłani? Na sandały Mojżesza, o czym ty mówisz...?

– Jak zawsze skonfundowało biedaka – rzucił wąż do jeźdźca. – A ty, nic się nie martw. Wody Nilu przyjęły twoją ofiarę, Izyda już czeka. – Wąż starał się mówić uspokajająco. Mężczyzna z ptasią twarzą tylko przechylił głowę i dalej milczał. – Tak czy inaczej, Thot cię znalazł, wszystko będzie dobrze. Zawieziemy cię, gdzie trzeba.

Wąż pochylił się przed midszypmenem, ewidentnie sugerując, żeby ten usiadł za ibisogłowym. Ben rozejrzał się, mógł co prawda zostać na tej łasze piasku, ale nie wróżyło to specjalnie dobrze. Schował pistolet za pas i dosiadł bestii. Służba w marynarce dawno nauczyła go, żeby brać, co dają. Nieważne, co to za bóg, ważne, że jest szansa się wydostać.

Wąż zanurkował w odmętach rzeki. Czerń ponownie pochłonęła Bena, ale tym razem była jakaś inna. Trzymała się na dystans, bardziej otulała, niż dusiła. Wąż gadał dalej:

– Wspomniałeś Mojżesza. Wiesz, że go raz widziałem? Był jeszcze oseskiem, dryfował w koszyku, a ja zawróciłem go z głównego nurtu i schowałem w sitowiu. Gdyby nie ja...

Thot, wciąż milczał i tylko uważnie przyglądał się Benowi.

– Gdzie my tak właściwie płyniemy?

– Jak to gdzie? Kapłan nic ci nie powiedział? Naprawdę, oni schodzą na psy. No trudno, opowiem ci. Słuchaj uważnie. Będziemy pomagać Izydzie. Dawno temu królem był Ozyrys. Jego zły brat Set zabił go i rozczłonkował na czterdzieści dwa fragmenty, które rozrzucił po świecie. Żona Ozyrysa, Izyda, zebrała je i przy pomocy rytuałów Thota wskrzesiła męża, po to, żeby mieć z nim syna Horusa, który przywróci porządek w świecie. Jasne?

– Mhmmm – mruknął Ben niepewnie.

Jego wykształcenie opierało się głównie na tym, co słyszał w kościele, dlatego ta historia wydawała mu się jednocześnie znajoma i bluźniercza.

– Teraz słuchaj. Problem w tym, że brakowało jednego kawałka Ozyrysa. Ryba, której nie dopilnowałem, zjadła mu kut...

– Echem – chrząknął Thot. Dziwnie, wysoko i skrzekliwie.

– Zjadła mu ten kawałek, który jest niezbędny do poczęcia Horusa, jasne? Wiesz, o co chodzi. – Potwór mrugnął teatralnie. – Węza mu zjadła – skończył i rozrechał się, jakby opowiedział najśmieszniejszy dowcip Górnego i Dolnego Egiptu.

Ben poczuł, że zaczerwienił się po czubki uszu. „Dobrze, że jest ciemno” – pomyślał.

– Także tego, bez wilgoci Ozyrysa i Izydy – mrugnął znowu – nie ma Horusa, nie ma też wylewów Nilu...

– Nil musi wylewać – przerwał Thot.

– Tak, tak i dlatego właśnie co roku kapłani w odpowiednim czasie prowadzą nad rzekę dobrze rozwiniętego młodzieńca. Topią go i posyłają nam tu, na granicę zaświatów. Młodzieniec pomaga Ozyrysowi. Na znak poczęcia Horusa niebiosa otwierają się gromem. Nil znowu wylewa i wszyscy są zadowoleni. Myślę, że finalnie młodzieniec też. Przez chwilę.

– A co, jeżeli, no, do poczęcia nie dojdzie? – zapytał Ben.

– Wtedy Nil nie wyleje, tysiące ludzi umrą z głodu, a ja osobiście rozkruszę w zębach wszystkie twoje kości i rozsypię jako nawóz na polach delty.

Z mroku wyłoniła się przed nimi świątynia. Zapachniało kadzidłem. Dwa piaskowcowe pylony, u podstawy oświetlone pochodniami. Na powierzchni ścian miriady płaskorzeźb i wrytych napisów to pojawiały się, to znikwały w migoczącym blasku ognia, a wierzchołki budowli ginęły gdzieś w mroku. Wąż zatrzymał się na przybrzeżnym piasku i pochylił głowę tak, żeby jeźdźcom wygodnie było zsiąść. Przed nimi rozpościerały się schody sięgające od brzegu rzeki do wnętrza świątyni. Drogi na górę pilnowały dwa rzędy sfinksów, które przypadły do ziemi w nieco drapieżnych pozach. Na samej górze stała ona. W prostej białej tunice. O sylwetce jak klepsydra, z idealnie ułożonymi, gęstymi czarnymi włosami.

Kiedy tylko Ben stanął na schodach, posłała mu uśmiech, długi i nieskończenie smutny, po

czym odwróciła się i zniknęła w portalu między pylonami.

– Ruszaj za nią, stary, bogini nie będzie cie prosić. – Wąż znów mrugnął i wydał się przy tym Benowi jeszcze bardziej obślizgły niż wcześniej.

Ben był przerażony. Patrzył to na Thota, to na węża i czuł, że jest czerwony jak rozgrzany w piecu pocisk armatni. No dobra, czas skończyć tę komedię. Kto by pomyślał, że uda mu się oszukać komisję rekrutacyjną i kolegów z okrętu, a skończyć w paszczy węża... Wziął głęboki oddech.

– Obawiam się, że jest drobny problem...

Wąż zaczął się śmiać, zanim Ben dokończył zdanie. Odrzucił głowę do tyłu i ni to skrzeczał, ni to chichotał kompulsywnie.

– Drobny... hę, hę... problem mówisz? – Udało mu się trochę uspokoić. – Nic się nie przejmuj, każdy młody chłopak ma kompleksy na punkcie wielkości swojego... hę, hę... problemu. Nic się nie przejmuj, ledwie tam wejdziesz, ledwie Izysda na ciebie spojrzy, a nie uwierzysz, co się stanie.

Thot patrzył ptasimi oczyma z wyższością na węża, a Bena zupełnie zatchnęło. Próbował cokolwiek powiedzieć, ale usta odmawiały mu posłuszeństwa. Płytki, krótki oddech nie pozwalał mówić. Uciec, nie było gdzie. Mógł co prawda chwycić za broń i przed śmiercią władować kulę w paszczę węża. Przynajmniej skończyłyby w dobrym stylu.

Na napiętym do granic ramieniu poczuł długopalczystą dłoń boga-ptaka.

– Pozwól, że odprowadzę cię kilka kroków. Schody są długie i strome.

Rechoczącego węża zostawili za sobą. Szli, milcząc. Ben patrzył pod nogi na popękany tysiącletni kamień. Ze środka świątyni wiatr przywiał zapach kadzidła i drzewa sandałowego.

– Ja... ja... – zaczął mówić.

– Wiem – przerwał mu ibisogłowy.

– Jak to?

– Jestem bogiem wiedzy i magii. W przeciwieństwie do tego waszego nie aspiruję do

wszechwiedzy, ale jestem wystarczająco spostrzegawczy.

– I co teraz? Skoro wiedziałeś od początku, to czemu mnie uratowałeś? Bo to byłeś ty?

Zatrzymali się na podeście w połowie schodów. Pod czujnym okiem stróżującego sfinksa.

– Uratowałem młodą osobę, która chwilę wcześniej bez trwogi uwijała się w środku bitwy. Pomyślałem, że z pewnością poradzi sobie w każdej sytuacji. Poza tym uznałem to za minimalnie zabawne.

Ben miał wrażenie, że ptasi dziób rzeczywiście wygiął się w sardonicznym uśmiechu.

– A wylewy Nilu? Jak mam niby... no wiesz... Horusa?

– Jesteś na wyspie na granicy świata umarłych. Stoisz przed świątynią królowej-bogini, która właśnie zszła męża z czterdziestu dwóch kawałków i z moją pomocą tchnęła w niego życie. Naprawdę myślisz, że to, co masz między nogami, ma jakiegokolwiek znaczenie? Idź tam i spraw, by niebiosy obwieściły poczęcie Horusa.

Thot zaczął powoli schodzić, zostawiając Bena samego. Ten podniósł wzrok i popatrzył w ciemność portyku, za którym zniknęła bogini. To nie tak, że nie miał żadnych doświadczeń w tym zakresie. Młodość w przyfabrycznej szkole dla dziewcząt, a potem we flocie okazała się znacznie bardziej edukująca, niż ktokolwiek z zewnątrz mógłby się spodziewać. Ale tu miał explicite użyć kawałka, którego nie miał pod ręką. Czy to koniec maskarady? Przeniósł wzrok na ciemne wody Nilu. Miał ochotę poprosić o wstawiennictwo świętych, ale biorąc pod uwagę sytuację, uznał, że nie wypada. W końcu patron Anglii węża mordował, a nie...

Gdzieś tam daleko, a może w innym świecie, stał na pokładzie Bellerophona i wymieniał cios za cios z dwakroć większym okrętem. Jak terminalnie zmęczeni bokserzy, którzy nie mają już sił na taniec na ringu i tylko okładają się pięściami, sprawdzając, który z nich wytrzyma w tym spowitym dymem piekle chwilę dłużej.

DYM! W jego głowie zabłysnął zarys fortelu. Pomyślał o całej drodze, o ciężkiej pracy,

o wszystkich przekrętach, które go tu doprowadziły, i postanowił wytrzymać trochę dłużej. Niebiosy mają obwieścić narodziny Horusa. Nie ma problemu, zrobi się. Uśmiechnął się do swojego pomysłu i ruszył do wnętrza świątyni. Zapachniało kadzidłem i drzewem sandałowym.

Minął czas – zaledwie mgnienie oka w porównaniu do okresu budowy piramid, ale jak na ludzkie warunki całkiem satysfakcjonujący. Wąż zdążył się znudzić i po kilku próbach podzielenia się z Thotem pikantnymi szczegółami ze swojej wyobraźni zapadł w drzemkę. Wreszcie czerń ciszy przerwał huk. Błysk i ogień na chwilę wypełniły świątynię, a odgłos grzmotu odbił się echem od grubych ścian i z wielokrotnością poniósł się daleko po wodzie. Tego roku wylewy Nilu były wyjątkowo obfite, a naniezione przez nie ziemie nadspodziewanie żyzne.

Ben wyszedł ze świątyni. Koszulę miał rozchełstana, a marynarkę munduru niósł przerzucaną przez ramię. W jego maślanym spojrzeniu błąkał się uśmiech.

Thot tylko dyskretnie wciągnął powietrze, a ponieważ wyczuł delikatny zapach siarki, wszystko stało się jasne.

– Czy teraz mogę go zjeść? – zapytał wąż.

– Nie byłbym taki pewien. – Bóg wskazał głową na portal. Bogini stała oparta o framugę. W odróżnieniu od odzienia midszypmena jej strój był nadal idealny. Makijaż miała nierozmazany, ale jej oczy wciąż były smutne.

– Ten zostaje. Odwieźcie go bezpiecznie na tamtą stronę. Póki słoneczna barka jeszcze się chowa w krainach umarłych, Ra nie zobaczy tej niedyskrecji.

Biała tunika bogini zamiotła kamienie, gdy ta promieniejąc, zniknęła w głębi świątyni. Ben był zbyt oszołomiony i rozedrgany, żeby jakkolwiek zareagować.

– Skoro nie mogę cię zjeść, to chociaż opowiedz, jak było, co? – Wąż wił się dookoła schodzącego ze schodów Bena i zasypywał go pytaniami o szczegóły. Całą powrotną drogę był nieznośny i tak zaferowany sprawami nie

swojego łóżka, że gdyby nie Thot, ze dwa razy zgubiłby drogę.

Wreszcie stanęli na oblanej srebrnym blaskiem plaży.

– Wystarczy, że wejdiesz tu do wody, a wrócisz na okręt. Powodzenia – powiedział ibisogłowy. – Tutaj dałeś sobie radę, to i tam będzie dobrze.

– Dziękuję. – Ben podał mu rękę. – Bez ciebie... no, potrzebowa... łem tego, co powiedziałeś, to mi pomogło.

Jakaś się trochę, ale wcześniejsze zakłopotanie gdzieś uciekło. Chciał jeszcze coś dodać, ale potężne uderzenie węzowego ogona wepchnęło go w ciemności.

Znów dryfował w pustce. Po chwili jednak otulającą czerń rzeki zastąpiły gryzące kłęby równie czarnego dymu. Pod stopami poczuł ciepłe deski pokładu. Zawsze idealnie wyszorowane, teraz spływały krwią. Wskoczył na nagielbank⁸ i z tej niewielkiej wysokości spróbował się rozejrzeć. Tutaj minął ledwie moment, jakby grotmaszt przewrócił się przed chwilą. Marynarze z siekierami dopiero ruszyli, żeby odciąć liny i rzucić z pokładu połamane drzewce.

„Biec dalej na dziób i szukać tego przecieku? Pomagać, ogarniać tutaj?” – zastanawiał się gorączkowo.

Łomot salwy L'Orientu przeszył powietrze. Bellerophon najpierw zadrżał, odpowiadając, a potem zatrzęsł się od trafień. Wszystko znowu pokryło się dymem, z którego gęstwy wydostały się tylko krzyki rannych i polecenia podoficerów popędzające skrwawionych marynarzy do jeszcze jednej salwy.

– Sir! – Znajomy głos Daniela przebił się przez harmider.

– O bogowie, dobrze, że cię widzę! Mów, co się dzieje. Przyniosłeś rozkazy?

– Eeeee... – Starszy kucharz wyraźnie się zmieszał. – Drugiego oficera zabiło, kiedy padał maszt, a porucznik Cathcart jest na dziobie przy tym przecieku. Obawiam się, że chwilowo to pan wydaje rozkazy.

8 Nagielbank – pozioma belka z otworami na nagle (kołki), do których mocowane są liny.

Pod Benjaminem na moment ugięły się nogi. Pokład zadrżał od wymiany ognia. Trzy na dwie. Daniel coś do niego mówił, ale Ben widział tylko poruszające się usta. Znów dusił się, jak wtedy w wodzie przygnietyony olinowaniem. Za plecami kucharza, jak w zwolnionym tempie, zaczęła spadać na pokład reja⁹ odstrzelona z bezanmasztu¹⁰. Bezwiednie oparł się o reling, drugą ręką chwycił wiszący przy pasie pistolet. Ogień i błysk. Postanowił poudawać jeszcze chwile dłużej.

– Za mną! – rozkazał i biegiem ruszył na pokład rufowy.

Z jego wysokości ogarnął wzrokiem całą sytuację. Było źle, ale nie beznadziejnie. Posłał chłopca okrętowego po Cathcarta, ale musiał działać natychmiast. Czekanie, aż wróci oficer, nic by nie dało.

Dym na śródokręciu nie znikał. Widać wybuchł tam jakiś na razie niegroźny pożar. Ale jeżeli się rozwinie, nie będzie go kim gasić. Salwy Bellerophona były coraz bardziej niezborne, część dział strzelała z opóźnieniem. Dramatycznie brakowało ludzi. Tymczasem Francuz wciąż górował nad nimi, chociaż widać było, że też dostał w kość. Gdzieś na jego rufie pełgały płomienie.

„Trzeba stąd spadać. Najwyżej czeka mnie sąd wojenny” – pomyślał Ben i zaczął się drzeć na załogę.

– Weźcie trzech ludzi i postawcie na fokmaszcie¹¹ cokolwiek dacie radę, niech nas odrzuci od wiatru. Wy tam! Zostawcie te pościgówki¹² i przebrasujcie resztki bezana¹³ do pracy wstecz. Niech Michael na dole na chwilę przestanie strzelać i przygotowuje się do najlepszej salwy, jaką da radę oddać. Panie Danielu!

– Tak, sir?

– Odciąć kotwicę.

Jak zwykle przy poruszaniu ponad pięćdziesięciojardowym okrętem wszystko działo się bardzo wolno i bardzo szybko jednocześnie. Wolno, bo zanim kolos się rozpędził, mijały wieki. Szybko, bo przy wykonywaniu tak skomplikowanych manewrów wszystko trzeba było zaplanować co do sekundy.

– Ster lewo na burt!

Po odcięciu kotwicy i postawieniu rachitycznych żagli ciężki okręt liniowy zaczął się cofać. Kiedy tylko Ben zauważył, że się przemieszczają, wydał komendę na ster. Chciał wejść na tył Francuza i władować mu jeszcze jedną, tym razem naprawdę ostatnią salwę w rufę, najsłabszą część każdego okrętu. Taki strzał w sprzyjających okolicznościach mógł przesądzić o wygranej.

Bellerophon zaczął obracać swoje olbrzymie cielsko. Ben zaciskał palce na relingu. Do krwi. Przez sekundę myślał, czy się nie pomodlić, ale stwierdził, że pies tańczył z tymi wszystkimi bogami. Czekał na odpowiedni moment, żeby wydać komendę „ognia”. I wtedy poszedł bezanmaszt. Wcześniej uszkodzony ostrzałem nie wytrzymał obciążenia żaglem. Zwalił się wprost na pokład rufowy, ciągnąc za sobą z ogłuszającym hukiem liny i drzewce.

To był w zasadzie koniec. Nie było mowy, żeby jeszcze raz strzelić do nieprzyjaciela. Teraz mogli tylko dryfować z nocną bryzą i liczyć na to, że w ciemnościach nie wpadną na jakiś francuski okręt. Ben nie chciał się z tym pogodzić, rozpaczliwie przebiegał wzrokiem przez zadymiony pokład, szukając pomysłu, co jeszcze mógłby zrobić. Dryfkotwa¹⁴? Dostawić coś na fokmaszcie? Wyrzucić łodzie? Nabrać powietrza w piersi, żeby wykrzyknąć rozkaz, choć nie miał pojęcia jaki.

9 Reja – poziome drzewce, do których przymocowane są żagle.

10 Bezanmaszt – tylny maszt na trzymasztowym statku, zazwyczaj najmniejszy.

11 Fokmaszt – przedni maszt.

12 Pościgówki – małe działa przystosowane do strzelania w osie okrętu.

13 Bezan – największy żagiel na bezanmaszcie.

14 Dryfkotwa – rodzaj pływającej kotwicy w postaci czaszy lub worka. Nie umożliwia zatrzymania statku, ale pozwala obrócić go względem wiatru.

I nagle uderzył szkwał¹⁵. Niewielki i z zupełnie niespodziewanego kierunku. Od lądu zawiąło gorące powietrze niosące zapach kadzidła i drzewa sandałowego. Ben poczuł na twarzy znajomą pieśczęotę. Odwieczne wody Nilu zmarszczyły się białymi grzywami fal. Wiatr nacisnął burtę Bellerophona i obrócił go we właściwą stronę.

– Ognia! – wydarł się Ben.

Działa gruchnęły nie na raz, a sekwencją. Odpały, w miarę jak przed każdym z nich defilowała rufa L'Orientu. Przedłużony grzmot zdawał się trwać i trwać. Prawie każdy strzał był celny. Kule wbijały się w kadłub i przelatywały przez całą długość okrętu, siejąc spustoszenie.

Kiedy ucichła ostatnia kanonada, na francuskim flagowcu wzbily się płomienie. Co prawda Bellerophon był chwilowo niesterownym wrakiem, ale przynajmniej swoją robotę zrobił do końca. Sądząc po sygnałach, Alexander i Swiftsure zbliżały się, żeby dobić nieprzyjaciela.

Zamieszanie w zejściówce oznaczało, że trzeci oficer wraca na pokład. Ben przewidywał niezłą awanturę, ale miał to w nosie. Udało mu się jeszcze raz ich wszystkich oszukać. Ostatni powiew wiatru wyszeptał mu coś do ucha. Może to wcale nie było oszustwo, a on po prostu był kompetentnym oficerem. Może to wszystko prawda. Z pewnego punktu widzenia.

KOMENTARZ AUTORA:

Nie podkoloryzowałem tej historii jakoś szczególnie. W momencie, kiedy na L'Oriencie wybuchł pożar, Bellerophonem dowodził trzynastoletni midszypmen John Hindmarsh. To on zdecydował o odcięciu kotwicy i przerwaniu walki. Kapitan był ranny i niezdolny do służby. Pierwszy, drugi i piąty oficer zginęli, a trzeci był akurat pod pokładem.

Podczas bitwy u ujścia Nilu flota jeszcze nieadmirała Nelsona zaatakowała Francuzów, którzy

zakotwiczyli przy pasie mielizn dającym im pozorną osłonę. Bellerophon rzeczywiście znalazł się naprzeciw znacznie potężniejszego L'Orientu i w długim pojedynku artyleryjskim stracił wszystkie maszty. Udało mu się jednak wywołać ogień na pokładzie nieprzyjaciela. Kiedy do walki włączyły się Swiftsure i Alexander, francuski okręt flagowy szybko eksplodował zabijając nawet tysiąc swoich marynarzy.

Wreszcie na Bellerophonie rzeczywiście służył Benjamin Hulke. Musiał się wykazać, bo po bitwie awansowano go na porucznika i przeniesiono na świeżo zdobytego Spartiate.

PAWEŁ DOMOWNIK

Fan fantastyki, działający w stowarzyszeniu Avangarda i w redakcji Potencjalnego Mimika. Czasem też recenzent, projektant gier fabularnych, publicysta i organizator konwentów. Prowadzi w głowie złomowisko złej i dziwnej literatury. Wygrał konkurs Quentin i publikował w Nowej Fantastyce, Magazynie Biały Kruk i O!Fce. Chciałby polecieć do gwiazd, ale nie może, bo opiekuje się absolutnie szalonym kotem. Na co dzień art director w agencji reklamowej.

15 Szkwał – gwałtowny i niespodziewany powiew wiatru.

TANIA KSIĄŻKA DROGO KOSZTUJE

KTO NAPRAWDĘ ZA TO PŁACI

REDAKCJA: PAULINA MIKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA DZIEKAN

Są takie zdania, które brzmią sensownie tylko do momentu, gdy zaczniemy się im naprawdę przyglądać. Jedno z nich brzmi: „Na początek nie ma sensu inwestować. Zrób taniej, szybciej, zobaczysz, czy się sprzeda”.

Brzmi logicznie, a nawet można się pokusić, że odpowiedzialnie. A potem przychodzi rzeczywistość i mówi: sprawdzam.

Bo książka to nie testowy produkt, który można wrzucić na półkę na zasadzie „może się uda”. To nie jest też plik, który można puścić w świat bez konsekwencji. Każda publikacja – nawet ta pierwsza – jest komunikatem. O autorze, jego standardach i o tym, czy traktuje czytelnika poważnie.

I tu zaczyna się paradoks.

Autor oszczędza na redakcji, korekcie i składzie, z przekonaniem że „to tylko początek”. A właśnie ten początek kosztuje go najwięcej. Może nie od razu i nie wprost, za to konsekwentnie. No bo po co los ma od razu wskazywać to czy tamto. Prawda?

Najpierw autor traci opinię. Czytelnik nie musi znać zasad językowych, by wyczuć, że coś jest nie tak. Widzi, że zdanie się ciągnie, albo rwie, a dialog brzmi sztucznie. Tekst jest ciężki, choć miał być lekki. Literówki przestają być „drobnostką”, kiedy stają się normą.

I wtedy pojawia się coś, czego nie da się łatwo odzyskać: utrata zaufania. Czytelnik, który raz poczuje, że ktoś odpuścił jakość tekstu, nie będzie miał powodu, by dać mu drugą szansę.

Potem przychodzi kolej na sprzedaż. Nie tę całkowicie pierwszą – bo za nią często stoi ciekawość, znajomi, kampania, a czasem nawet przypadek. Problem zaczyna się później, kiedy

książka ma się sama obronić i zacząć żyć z poleceń. Kiedy ktoś wreszcie ma powiedzieć: „warto ją kupić”.

Jeśli jakość kuleje, to książka szybko zamilknie. Wtedy na końcu zostaje coś najtrudniejszego do odbudowania: wiarygodność.

Autor, który wypuszcza niedopracowane książki, zaczyna funkcjonować w świadomości odbiorców jako ktoś, kto „tak już ma”. Zostaje kimś, kto publikuje szybko, ale byle jak. Nie dopina treści, nie sprawdza i nie kontroluje szczegółów. Tłumaczenie: „to był debiut” w żadnym wypadku nie pomaga.

Rynek wydawniczy nie działa w trybie ulgowym, a co więcej – mam wrażenie, że jest wręcz odwrotnie.

Ostatnio pod jednym z moich postów pojawił się komentarz w tym temacie. Ktoś zarzucił mi, że broniąc profesjonalizmu, blokuję debiutantów. Że podnoszę poprzeczkę tak wysoko, że ktoś na starcie nie ma szans.

Oj nie, nie, i jeszcze raz nie. To nie profesjonalizm jest przeszkodą, a wiara, że można go pominąć bez konsekwencji. Debiutant nie jest w uprzywilejowanej pozycji.

Wręcz przeciwnie, jest na widoku. Wyrzucił się sam na żer, by zostać poszlachtowanym maczetami. Świeże mięsko do pożarcia. Brutalnie? Owszem, ale rzeczywistość właśnie taka jest. Nowy autor to autor niesprawdzony, a człowiek zawsze krytykował to, co nieznanne.

To idealnie łatwy cel. I nie chodzi tu tylko o rynek, sprzedaż czy opinie. Chodzi też o coś, o czym mówi się coraz ciszej, a co jest coraz bardziej obecne: hejt.

Nie mówię o pojedynczym, przypadkowym komentarzu, ale o zorganizowanym hejcie, który staje się nagonką. W sieci istnieją grupy i przestrzenie stworzone tylko po to, by punktować teksty. Wyłapywać błędy, pokazywać niedoróbki i nakręcać spiralę śmiechu. Bylejać jest dla nich paliwem. I tutaj oczywiście ktoś powie: „zaraz, ale jest przecież prawo do krytyki”. Oczywiście, że tak! Tylko że rzetelna krytyka – w tym przypadku na przykład literacka – to po prostu konstruktywna opinia podparta faktami.

A debiutant? No cóż, przykro mi, mój drogi debiutancie – jesteś łatwym celem, niczym debiutantka z piórem we włosach rodem z serialu *Bridgertonowie*. Dlaczego? Bo tak samo jak ta młoda debiutantka nie masz jeszcze odporności i dystansu. Często wierzysz, że jeśli coś stworzyłeś, to z pewnością zostanie to potraktowane uczciwie.

A nie zawsze tak jest. Oczywiście ktoś powie: „trzeba mieć grubą skórę”. Jednak to zdanie wypowiedzi zazwyczaj ktoś, kto już ją ma. Prawda jest taka, że nawet autor z doświadczeniem potrafi odczuć skutki takiej nagonki. A co dopiero ktoś, kto dopiero zaczyna.

I wreszcie, jakby tego było mało, pojawia się jeszcze jeden moment. Bardzo cichy, wypowiedziany w zaciszu domowym: „po co ja się starałem, skoro to się nie sprzedało?”

Pierwsza książka – poszła.

Druga – jeszcze jakoś.

Trzecia... już nie.

I zaczyna się rozczarowanie. Czasem złość, a z czasem i żal – do rynku, do czytelników, do algorytmów w mediach społecznościowych. Może nawet do adminów grup na Facebooku, gdzie post z prośbą o udostępnienie wisi tygodniami, czekając na akceptację.

Bardzo rzadko przychodzi jednak refleksja. Bo ten „oszczędny” autor nie bierze pod uwagę jednej rzeczy: że błąd wydarzył się znacznie wcześniej. Na etapie, który miał być „tańszy i szybszy”.

Szybka redakcja robiona po kosztach albo „przy okazji”. Albo, o bogowie! „AI ogarnie”. Pał licho, jeśli znajoma polonistka „rzuci okiem” – ona wyłapie literówki i najgrubsze błędy językowe.

Najgorszy jest całkowity brak redakcji. To już gotowy przepis na katastrofę.

Książka wychodzi, na początku może się nawet sprzedaje, ale ostatecznie się nie obroni. Czytelnik kupi raz, z ciekawości. Nie wróci jednak drugi raz, jeśli jakość go zawiodła. I wtedy zaczyna się proces, którego nie widać w statystykach sprzedaży: powolna, cicha i nieodwracalna śmierć na rynku.

Każda kolejna książka niesie za sobą już nie tylko historię, ale również pamięć poprzednich doświadczeń czytelnika. Jeśli poprzednie książki były słabe – nowa wystartuje z minusowego poziomu. I wtedy naprawdę w głowie autora pojawia się pytanie: „czy było warto oszczędzać?” Czy chociaż te kilkaset lub w najlepszym razie kilka tysięcy złotych mniej na starcie było warte tego, że kolejne książki nie dostają już tej samej szansy?

W tym momencie dochodzimy do kolejnej ważnej rzeczy, która często bywa pomijana w narracji typu: „zrób szybko i sprzedaj”.

Czyli marka osobista autora, która nie powstaje przy okazji, tylko jest wynikiem wielu świadomych decyzji. Każda książka jest jedną z nich, ponieważ nie ma publikacji neutralnych. Są takie, które mówią: „możesz mi zaufać” lub „może następnym razem będzie lepiej”. Problem w tym, że „następny raz” często już nie nadchodzi.

Dziś mamy wysyp kursów uczących, jak tworzyć produkty szybko i tanio. Jak skalować. Jak zarabiać. Jak „nie przepalać budżetu”. I inne „JAK...”. Te kursy same w sobie oczywiście nie są złe. Zły jest tylko moment, w którym zaczynają sugerować, że jakość jest dodatkiem. Że można ją odłożyć „na później”. Nie można. Bylejakość nigdy się nie obroni.

Może przez chwilę działać, ale zawsze zostawia ślad, który wraca niczym bumerang.

Oczywiście nie każda publikacja wymaga redakcji w tym samym zakresie. Krzyżówki, sudoku, kolorowanki – takie formy nie potrzebują pracy na poziomie stylu czy narracji. Ale nadal wymagają przygotowania, przemyślanego układu, czytelności i dopracowania technicznego.

Warto pamiętać, że czytelnik nie kupuje tylko treści, ale i doświadczenie, a to nie znosi niedbalstwa.

I na koniec coś, co boli może najbardziej. Wystarczy kilka słabych publikacji, by wszyscy trafili do jednego worka.

Self-publisherzy, którzy inwestują w jakość, są oceniani przez pryzmat tych, którzy tego nie robią. Czytelnik nie analizuje procesu. Nie

sprawdza, kto miał redaktora, a kto nie. Widzi efekt i uogólnia. „Self” zaczyna znaczyć „nie-dopracowane”. Niesprawiedliwe, jak niemal wszystko na tym świecie, ale skuteczne.

Więc, kiedy następnym razem pojawi się myśl: „może tutaj przytnę koszty”, warto zadać sobie jedno, bardzo niewygodne pytanie: „czy ja naprawdę oszczędzam, czy tylko odkładam rachunek na później?”.

Bo w książkach rachunki przychodzą zawsze. I rzadko kiedy są symboliczne.



Po drugiej stronie wdzięczności. Dziennik



Autor: Anna Korczyńska

Wydawnictwo: self-publishing

Oprawa: twarda

Gatunek: dziennik wdzięczności, rozwój osobisty

Data premiery: czerwiec 2026

Gdzie kupić? www.podrugiejstroniestrachu.pl

Był moment w moim życiu, kiedy wiedziałam wszystko o innych, a nie wiedziałam nic o sobie. Potrafiłam troszczyć się o bliskich, spełniać oczekiwania i pomagać każdemu wokół, ale zapomniałam, kim jestem ja. Właśnie wtedy odkryłam wdzięczność.

Kilka minut dziennie i kilka zapisanych słów pomogło mi zatrzymać się, lepiej zrozumieć siebie, odzyskać spokój i przypomnieć sobie własne marzenia. Zrozumiałam, że wdzięczność nie zmienia świata wokół nas – zmienia nas. A kiedy zmieniamy siebie, zmienia się wszystko.

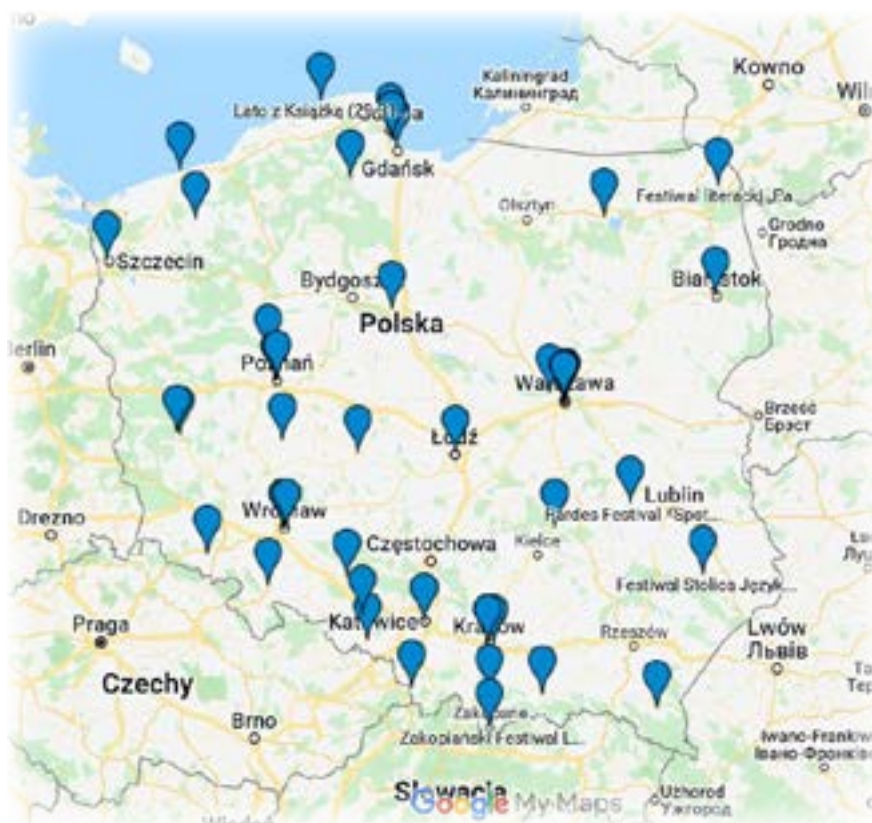
Ten Dziennik Wdzięczności stworzyłam po to, aby dać Ci przestrzeń tylko dla siebie. Przestrzeń, w której na chwilę zwolnisz, usłyszysz własny głos i przypomnisz sobie, jak wyjątkową kobietą jesteś.

Bo czasem jeden zapisany powód do wdzięczności może stać się początkiem najpiękniejszej podróży.

MAPA CZYTELNIKA,

CZYLI GDZIE WYBRAĆ SIĘ W NAJBLIŻSZYM CZASIE

Źródło: <https://rynek-ksiazki.pl/aktualnosci/mapa-targow-i-festiwali-2026/> | Rynek książki



- 10. Festiwal Książki w Opolu **12–14 czerwca 2026**
- 28. Izabelińskie Spotkania z Książką **czerwiec 2026**
- Krakow Comics Festival **27–28 czerwca 2026**
- Targi Książki Nad Odrą Kędzierzyn-Koźle **2 czerwca 2026**
- Warszawa Wierszy **13–21 czerwca 2026**
- Festiwal Literackie Objezierze **12–13 czerwca 2026**
- Festiwal Fantastyki Pyrkon w Poznaniu **19–21 czerwca 2026**
- Festiwal Literacki im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej w Świdwinie **12–14 czerwca 2026**
- Międzypokoleniowy Festiwal Literatury Dziecięcej – Ojciec i Dziaćki, Wrocław **27–28 czerwca 2026**
- Festiwal „Jednym Słowem. Grudziądz Literacki” **26–28 czerwca 2026**
- Big Book Festival **czerwiec 2026**
- Festiwal Non-Fiction w Gdyni **czerwiec 2026**
- Imieniny Jana Kochanowskiego w Warszawie **czerwiec 2026**

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

DZIĘKUJEMY ZA WSZYSTKIE DOBRE SŁOWA,
WASZE WSPARCIE, CIEPŁE MAILE I OBECNOŚĆ. DLA CAŁEJ
REDAKCJI ZNACZY TO WIĘCEJ, NIŻ SĄDZICIE.
JESTEŚMY WDZIĘCZNI, ŻE JESTEŚCIE Z NAMI, BO TO WŁAŚNIE DLA
WAS – AUTORÓW, WYDAWCÓW I REDAKTORÓW – STWORZYLIŚMY
TO CZASOPISMO.

WIEMY JUŻ, ŻE TA FORMA PRZYPADŁA WAM DO GUSTU
I WIERZYMY, ŻE DALEJ BĘDZIECIE CHCIELI WSPÓŁTWORZYĆ
„FRAGMENTARIUM”, PRZESYŁAJĄC NAM SWOJĄ TWÓRCZOŚĆ.

JUŻ TERAZ ŻYCZYMY WAM PIĘKNEGO, LETNIEGO CZASU.
NIECH KARTY NASZEGO MAGAZYNU TOWARZYSZĄ WAM
AŻ DO LIPCA – DO KOLEJNEGO, TYM RAZEM DZIECIĘCO-
MŁODZIEŻOWEGO NUMERU.

DZIĘKUJEMY,
REDAKCJA „FRAGMENTARIUM”



FRAGMENTARIUM